Pogodnych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku!

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

20—26.XII.1970 r.
51—52 (683—684))
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. W. Parys

WIERSZE O POLSCE
★
HANDEL TAJEMNICAMI
★
OBYCZAJE Z SASKICH CZASÓW
★
KANTYCZKI NOŻOWSKIE
★
SYPIALNIA DLA 60 TYSIĘCY
★
ŚWIĘTA ZA OCEANEM
★
BARDZO WAŻNA ZABAWA
★
POLSKIE WIGILIE
★
NOC SYLWESTROWA
★
ŁODZIANIE 1970 ROKU
★
STÓŁ
★
PSIA DOLA
★
„WIADOMOŚCI ODPISANE"
★
SPOTKANIE Z SOLARZAMI
★
KONKURS
★
KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

I znowu minął rok. I znowu nadeszły święta. Jedni spędzą je w domach rodzinnych przy suto zastawionym stole, zgodnie z tradycją, inni — w domach wczasowych, dokąd wyjadą, aby zaoszczędzić sobie kłopotów i krzątaniny, jeszcze inni — w pracy. Bo czuwać musi ktoś, aby ktoś inny mógł czuć się bezpiecznie — jak napisał poeta. Będą pełnić swoją służbę pracownicy elektrowni, dzięki którym będzie w naszych domach jasno, będą pracować palacze, byśmy mieli ciepło i przytulnie; będą czuwać lekarze, milicjanci, żołnierze pogranicza i wszyscy ci, którzy spełniają odpowiedzialne czynności i obowiązki.

Będziemy sobie życzyć zdrowia, pomyślności, wszystkiego najlepszego. Będziemy przyjmować gości i sami pójdziemy w gościnę. Będziemy, jak co roku, świętować Boże Narodzenie i Nowy Rok, będziemy snuć wspomnienia o tym, co przeminęło i będziemy próbowali odgadnąć to, co nadejdzie.

Rok 1970 był łagodny, ciekawy, ale bynajmniej nie łatwy. Na arenie międzynarodowej dokonało się wiele rzeczy korzystnych i niekorzystnych. Nastąpiło porozumienie między ZSRR i NRF oraz pomiędzy Polską i NRF, w którym granicę polską nad Odrą i Nysą uznano za ostateczną i nienaruszalną. Ważny to etap w procesie stabilizacji stosunków europejskich i w dążeniu do pokojowej egzystencji państw o różnych systemach ustrojowych. Zarysowały się możliwości polepszenia sytuacji na Bliskim Wschodzie. Nie widać natomiast końca wojny w Wietnamie. Raz po raz wybuchają w różnych punktach świata konflikty zbrojne, zamachy, niszczą ludzi i mienie ludzkie katastrofy i klęski żywiołowe.

Na froncie wewnętrznym, krajowym rok bieżący stał pod znakiem wysiłków gospodarczych i ekonomicznych. Dokonała i dokonuje się próba przesunięcia naszej gospodarki na nowe tory. Sprawa wprowadzenia nowych bodźców ekonomicznych i uintensywnienie naszego budownictwa i naszej produkcji — wysunęły się w mijającym roku na czoło wszystkich naszych planów narodowych. Żyjemy w świecie, w którym coraz bardziej liczy się solidna praca. Nie możemy pozwolić sobie na marnotrawstwo, musimy podwoić wysiłki, aby dotrzymać kroku światowej czołówce. Stać nas na to, bo naród nasz jest zdolny i nieraz już dawał dowody swych talentów, pracowitości i ofiarności.

Niechaj przy stołach świątecznych towarzyszy nam radość, pogoda, poczucie dobrze spełnionych obowiązków, ale i zaduma nad dniem jutrzejszym. Nasza osobista sytuacja, nasze indywidualne szczęście zależy także od pomyślności zbiorowej, od pomyślności całego społeczeństwa. Polska zdobywa sobie w ostatnich latach duże uznanie w świecie i umocniła swój autorytet w wielkiej rodzinie europejskich narodów. Pora wziąć się solidniej i goręcej do pracy we własnym gospodarstwie i na własnym podwórku. Nowe, lepsze domy, nowa wyższa produkcja a nade wszystko obywatelska postawa, duch patriotyczny, wysokie morale każdego z osobna i wszystkich razem — oto skuteczne źródła naszej siły i naszych osiągnięć. W tej myśli witamy święta, żegnamy rok stary i witamy nowy, w tym duchu życzymy naszym Czytelnikom zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności. Do Siego Roku!

ROK WALKI I NADZIEI – 1970

Przerzucamy ostatnie kartki kalendarza 1970 roku. Stronice minionych dni zapisane są różnymi osobistymi radościami i troskami. Kalendarz komentatora rejestrował prócz nich także najważniejsze wydarzenia, jakie przyniósł kończący się rok. Odtworzyć z nich można przebieg międzynarodowej sytuacji i zbilansować tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu główne kierunki, w jakich ewoluowała. Z ołówkiem w ręku łatwo ustalić problematykę, najczęściej powtarzającą się w naszych cotygodniowych komentarzach. Jeśli założyć, że podejmowaliśmy w nich tematy w danym czasie najaktualniejsze i najważniejsze, ułożą się one w główne punkty międzynarodowej polityki 1970 roku. Częstotliwość podejmowania problemów szereguje je następująco: Niemcy, Bliski Wschód, Indochiny... Niemało miejsca w komentarzach zajęła także dyplomacja bezpośrednia, a więc wizyty mężów stanu i toczące się przy tych okazjach rozmowy. Był to bowiem rok niezwykłej aktywności dyplomatycznej i niezmiernie ważnych zdarzeń.

Powróćmy do nich, przejrzyjmy je, jak na taśmie filmowej, aby ocenić rok, który odchodzi.

STYCZEŃ

Pierwsze dni 1970 roku sygnalizują niemal wszystkie najważniejsze zagadnienia międzynarodowe. Przez pryzmat stycznia dostrzec można sytuacje konfliktowe i główne tendencje w polityce świata towej.

◆ Najbardziej nabrzmiały problem — bliskowschodni — ujawnia się już 2 stycznia. Jordania składa w Radzie Bezpieczeństwa skargę na Izrael, który w dzień sylwestrowy dokonał ataków powietrznych na terytorium tego kraju. W kilka dni później samoloty izraelskie wdzierają się nad Syrię i Liban oraz atakują — po raz pierwszy od czerwcowej agresji — przedmieścia Kairu. Do gwałtownych walk dochodzi na okupowanych przez Izrael wzgórzach Golan.

◆ W Paryżu 20 już miesiąc trwają rozmowy na temat pokojowego uregulowania konfliktu wietnamskiego. Ciągle bez widocznego skutku. „Associated Press" ujawnia liczbę ofiar wojny z okresu rokowań: prawie 18 tys. Amerykanów, ponad 27 tys. żołnierzy wojsk reżimowych.

◆ W Moskwie toczą się dwudniowe obrady przedstawicieli 28 europejskich partii komunistycznych i robotniczych. Celem spotkania — wymiana poglądów na temat pokoju i bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

◆ Kanclerz Willy Brandt przesyła pismo do premiera Willi Stopha. Niestety, nie ma w nim żadnej opinii na temat projektu układu normalizujące go wzajemne stosunki między obu państwami niemieckimi, który zaproponował Walter Ulbricht.

LUTY

◆ W Warszawie po raz pierwszy spotykają się przedstawiciele rządów PRL i NRF, aby dokonać wymiany poglądów na temat zawarcia bilateralnego układu. Jego podstawę stanowić ma potwierdzenie przez NRF ostatecznego charakteru granicy na Odrze i Nysie. Punktem wyjścia jest propozycja Władysława Gomułki z maja 1969 roku. Krótki komunikat po wymianie poglądów zapowiada kontynuowanie rozmów w marcu.

◆ W Moskwie przebywa Egon Bahr — sekretarz stanu w federalnym urzędzie kanclerskim NRF. Kilkakrotnie spotyka się on z min. Gromyką. W kilka dni później radziecki minister jedzie do Berlina.

◆ Premier rządu NRD — W. Stoph, proponuje Brandtowi bezpośrednie rokowania. Kanclerz NRF przyjmuje propozycję.

◆ Sytuacja na Bliskim Wschodzie — coraz bardziej niebezpieczna. Premier Kosygin w liście do Nixona, Pompidou i Wilsona podkreśla potrzebę natychmiastowego przerwania zbrojnych napaści Izraela na kraje arabskie. Proponuje, aby efektywniej wykorzystać płaszczyznę rozmów konsultacyjnych czterech mocarstw. W Nowym Jorku dochodzi do 27 spotkania stałych przedstawicieli ZSRR, Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji.

◆ Prezydent ZRA — Naser potępia USA za dostarczanie Izraelowi samolotów odrzutowych typu Phantom.

◆ W Genewie wznowił pracę Komitet Rozbrojeniowy, w Moskwie natomiast przez pięć dni toczą się rozmowy radziecko-amerykańskie na temat wykorzystania eksplozji nuklearnych w celach pokojowych.

◆ Agencja TASS ogłasza oświadczenie, potępiające agresywne akty USA wobec Laosu. Z aktów tych wynika niedwuznacznie — Waszyngton narusza neutralność tego kraju.

MARZEC

◆ W Moskwie, Londynie i Waszyngtonie następuje uroczyste złożenie dokumentów ratyfikacyjnych układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. W ten sposób układ wchodzi w życie. Warto więc odnotować, że dotychczas podpisało go 98 państw, 48 zaś dokonało ratyfikacji.

◆ W złożonej sytuacji bliskowschodniej pojawia się promyk nadziei — sekretarz generalny, U Thant postanawia wznowić misję amb. Jarringa.

◆ W Indochinach dalsze skomplikowanie sytuacji. Kambodżańskie siły prawicowe proklamują usunięcie ze stanowiska szefa państwa — księcia Norodom Sihanouka. Po Wietnamie i Laosie — trzecie niebezpieczne ognisko. Sihanouk odpowiada na zamach stanu wezwaniem do partyzanckiej wojny przeciwko samozwańcom z Phnom Penh. Sajgon spieszy z pomocą reżimowi Lon Nola — zmotoryzowane jednostki przekraczają granicę Kambodży.

◆ Na kontynencie europejskim wydarzeniem nr 1 jest spotkanie Stopha z Brandtem w Erfurcie. Rozmowa szefów rządów dwóch państw niemieckich, pierwsza od chwili ich powstania, kończy się postanowieniem kolejnego spotkania — w maju w Kassel, na terenie NRF. Znaczenie spotkania w Erfurcie trzeba mierzyć nie wynikiem rozmów, lecz samym faktem, że mogło do niego dojść. Czy ktokolwiek w NRF może teraz zamykać oczy na istnienie również drugiego państwa niemieckiego?

◆ We Włoszech po długotrwałym przesileniu Rumor utworzył nowy rząd centrolewicowy.

◆ Kronikę miesiąca zamykają wizyty: w Polsce — partyjno-rządowej delegacji Ludowej Republiki Bułgarii z Todorem Żiwkowem na czele, w USA — prezydenta Pompidou, w W. Brytanii — kanclerza Brandta, w ZSRR — księcia Sihanouka (tuż przed jego obaleniem), w Iranie — przewodniczącego Prez. Rady Najwyższej ZSRR — Podgornego, w Czechosłowacji — min. Gromyki.

KWIECIEŃ

◆ Wydarzeniem miesiąca są centralne uroczystości w Moskwie, związane z 100 rocznicą urodzin W. I. Lenina. Biorą w nich udział najwyżsi przedstawiciele partii komunistycznych i robotniczych. Delegacji polskiej przewodniczy Władysław Gomułka.

◆ NRD rozszerza oficjalne stosunki państwowe. Nawiązuje je z Demokratyczną Republiką Somali i Republiką Środkowoafrykańską.

◆ W Warszawie: trzecia runda wymiany poglądów między min. Winiewiczem i sekretarzem stanu — Duckwitzem. Komunikat głosi, że dokonano dalszej rzeczowej wymiany poglądów na temat normalizacji stosunków między obu państwami.

◆ Min. Jędrychowski przeprowadza w Moskwie konsultacje z Andrzejem Gromyko. Dotyczą one przede wszystkim problemów bezpieczeństwa europejskiego.

◆ Z trzydniową wizytą przebywa w Polsce minister spraw zagranicznych NRD — Otto Winzer. Rozmowy — rzecz zrozumiała — poza stosunkami bilateralnymi — dotyczą aktualnych problemów międzynarodowych.

◆ Z wydarzeń pozaeuropejskich odnotujmy telewizyjne przemówienie Nixona. Ogłasza on decyzję o podjęciu zmasowanej inwazji wojsk amerykańskich na Kambodżę.

MAJ

◆ Premier Kosygin na konferencji prasowej składa oświadczenie rządu radzieckiego w sprawie agresji amerykańskiej w Kambodży. Tymczasem wojska amerykańskie stosują taktykę „spalonej ziemi", niszcząc całe wsie kambodżańskie. Dzieje się to właśnie wtedy, kiedy świat obchodzi 25-rocznicę zwycięstwa nad hitleryzmem.

◆ Uroczystości ćwierćwiecza zwycięstwa połączone są w Polsce z 25 rocznicą powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Macierzy. Okolicznościowa akademia odbywa się we Wrocławiu. Tam raz jeszcze Władysław Gomułka precyzuje stanowisko Polski wobec przygotowywanego układu z NRF.

◆ 25-lecie wyzwolenia Czechosłowacji, w którym uczestniczy m. in. partyjno-rządowa delegacja Polski, poprzedza podpisanie w Pradze nowego Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między CSRS a ZSRR.

◆ Na Bliskim Wschodzie wciąż nowe akty agresji Izraela. Dwukrotnie atakowany jest Liban, często egipskie pozycje w sektorze Kanału Sueskiego. W Nowym Jorku toczą się nadal rozmowy konsultacyjne przedstawicieli czterech wielkich mocarstw. Właśnie odbyło się 35 spotkanie (od kwietnia 1969, kiedy to podjęto rozmowy).

◆ W Wietnamie Południowym oddziały wyzwoleńcze dokonują coraz to nowych ataków, w Kambodży liczba wojsk interwencyjnych wzrosła do 80 tysięcy. Oddziały wierne księciu Sihanoukowi rosną w siły, osiągając zwycięstwa militarne.

◆ I znów Europa. Premier Wilson, pewny zwycięstwa labourzystów, ogłasza termin wyborów powszechnych w Wielkiej Brytanii — 18 czerwca. Bliska data wyborów ma zaskoczyć konserwatystów, termin podobno najlepszy z najlepszych.

◆ W Kassel odbywa się drugie spotkanie szefów rządów obu państw niemieckich: Stopha i Brandta. Spotkaniu towarzyszą prowokacyjne demonstracje sił neofaszystowskich. W kilka dni później w Bundestagu, w związku z interpelacją frakcji opozycyjnej CDU/CSU, dochodzi do ostrych starć w dyskusji nad „polityką niemiecką i polityką wschodnią".

CZERWIEC

◆ W Berlinie zachodnim odbyło się kolejne spotkanie ambasadorów ZSRR, USA, W. Brytanii i Francji na temat Berlina. Prasa zachodnioniemiecka z dużą uwagą śledzi przebieg rozmów. Z wielkim zainteresowaniem przyjmuje także wystąpienie Waltera Ulbrichta na XIII plenum KC SED, w którym poruszył on sprawę rozmów między NRD i NRF.

◆ W Bonn — kolejna tura rozmów Polska — NRF.

◆ Partia pracy przegrywa wybory do brytyjskiej Izby Gmin. Nieoczekiwanie konserwatyści zdobywają 331 mandatów, o 44 więcej niż partia Wilsona. Premierem nowego rządu zostaje Edward Heath, ministrem spraw zagranicznych — Alec Douglas-Home.

◆ W Trypolisie toczą się rozmowy przedstawicieli państw arabskich (nie uczestniczy tylko Arabia Saudyjska) na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie.

◆ W ZSRR odbywają się wybory do Rady Najwyższej ZSRR.

◆ W Polsce przebywa prezydent Republiki Indii — Giri, w kilka dni później — przewodniczący Izby Niższej Parlamentu Indii — Dhillon.

LIPIEC

◆ Mimo, iż pełnia lata — dyplomaci nie mają wakacji. W Polsce przebywa premier Demokratycznej Republiki Sudanu — Nimeiri, w Zgorzelcu z udziałem premierów: Cyrankiewicza i Stopha odbywają się uroczystości, związane z 20-leciem układu między Polską i NRD o granicy na Odrze i Nysie; premier Kosygin składa oficjalną wizytę w Rumunii; w Moskwie przebywa delegacja ZRA z prezydentem Naserem, tam też trwają dalsze konsultacje między Ministerstwami Spraw Zagranicznych PRL i ZSRR.

◆ W dalszym ciągu toczą się ważne rozmowy: w Paryżu — 75 posiedzenie konferencji w sprawie Wietnamu, w Nowym Jorku — 39 spotkanie przedstawicieli czterech mocarstw na temat Bliskiego Wschodu, w Berlinie — spotkanie ambasadorów wielkich mocarstw z burmistrzem Berlina zachodniego.

◆ Dużą aktywność polityczną wykazuje Bonn. Kanclerz Brandt rozmawia z papieżem, minister Scheel konsultuje projekt układu NRF — ZSRR w Londynie i Waszyngtonie.

◆ W Belfaście — nowe starcia.

◆ Jak można było oczekiwać, utworzony w marcu gabinet włoski premiera Rumora, podaje się do dymisji.

SIERPIEŃ

◆ 7 sierpnia przynosi dwa ważne wydarzenia:

◆ W Moskwie nastąpiło parafowanie układu między NRF a ZSRR, który zawiera wiele sformułowań odnoszących się do europejskiego bezpieczeństwa, a w tym o niezmienności granicy na Odrze i Nysie.

◆ Na Bliskim Wschodzie wprowadza się w życie porozumienie o trzymiesięcznym przerwaniu ognia nad Kanałem Sueskim.

◆ Wydarzeniem, budzącym powszechne zainteresowanie, jest wizyta Willy Brandta w Moskwie, w czasie której następuje uroczyste podpisanie tydzień wcześniej parafowanego układu.

◆ W stolicy ZSRR zbiera się na kolejne posiedzenie Doradczy Komitet Polityczny Państw-Stron Układu Warszawskiego. Delegacji polskiej przewodniczy Władysław Gomułka. Główną uwagę w czasie obrad poświęcono układowi ZSRR — NRF.

◆ Opozycja CDU/CSU ostro atakuje rząd Brandta — Scheela za treść układu ze Związkiem Radzieckim. Kurt Kiesinger, były kanclerz, a obecnie przewodniczący CDU, wypowiada się przeciwko potwierdzeniu ostatecznego charakteru granicy na Odrze i Nysie.

◆ W Ułan-Bator wiceministrowie spraw zagranicznych krajów socjalistycznych omawiają problemy XXV sesji ONZ, która w części będzie miała charakter jubileuszowy.

◆ Dowództwo amerykańskie informuje, że od początku wojny wietnamskiej straty USA wyrażają się liczbami: ponad 43 tys. zabitych żołnierzy, ponad 285 tys. rannych i prawie 2 tys. wziętych do niewoli.

WRZESIEŃ

◆ Automatyczna stacja radziecka, „Luna-16", ląduje na powierzchni Księżyca, pobiera próbki gleby księżycowej i powraca na Ziemię. Bez narażania ludzkiego życia efekt ten sam, jaki osiągnęli Amerykanie.

◆ W Nowym Jorku rozpoczyna się jubileuszowa XXV sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ. W ogólnopolitycznej dyskusji wzięli udział delegaci 70 krajów.

◆ Spośród 25 członków genewskiego Komitetu Rozbrojeniowego — 24 opowiada się za radziecko-amerykańskim projektem układu o zakazie umieszczania na dnie mórz i oceanów broni masowej zagłady.

◆ Obradująca w stolicy Zambii — Lusaca, III konferencja krajów niezaangażowanych uchwala ważne dokumenty. Najważniejszy, to; „Deklaracja pokoju, niepodległości, rozwoju, współpracy i demokratyzacji stosunków międzynarodowych".

◆ W Polsce z trzydniową wizytą przebywał premier rządu NRD — W. Stoph.

◆ Prezydent Nixon rozpoczyna kolejną podróż po zachodniej Europie. Znamienne — trasa podróży nie prowadzi przez Paryż i Bonn.

◆ Na atak serca umiera prezydent ZRA — Gamal Abdel Naser. W pogrzebie bierze udział ponad 4 miliony Egipcjan.

PAŹDZIERNIK

◆ W dwa tygodnie po pogrzebie Nasera prezydenturę obejmuje towarzysz broni zmarłego — El-Sadat. W ogólnonarodowym referendum otrzymuje on ponad 90 proc. głosów.

◆ Radzieckie MSZ ogłasza oświadczenie, stwierdzające, iż Izrael i USA ponoszą odpowiedzialność za zwłokę w podjęciu rozmów przez zainteresowane strony w konflikcie bliskowschodnim. Amb. Jarring wciąż nie może podjąć swej misji. Waszyngton tymczasem dostarcza Izraelowi nowe samoloty.

◆ Z oficjalną wizytą w ZSRR przebywa prezydent Francji — Georges Pompidou. Toczą się ważne rozmowy polityczne.

◆ Bułgaria gości przewodniczącego Rady Państwa PRL — M. Spychalskiego; Kanada — min. S. Jędrychowskiego. Polski minister udaje się na uroczystą część sesji Zgromadzenia Ogólnego, gdzie wygłasza przemówienie.

◆ Pod koniec miesiąca marsz. Spychalski składa wizytę w Pakistanie. W jej ostatnim dniu ginie na lotnisku w Karaczi wicemin. Z. Wolniak. Okoliczności tragedii nie pozostawiają złudzeń — był to zamach.

LISTOPAD

◆ W Warszawie, przy udziale ministrów: Scheela i Jędrychowskiego, toczą się rozmowy polsko-zachodnioniemieckie. Ich przebieg jest trudny, ale przynoszą rezultat — tekst układu o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków jest gotowy. W kilka dni później obaj ministrowie w obecności premiera Cyrankiewicza, parafują tekst układu.

◆ W Bukareszcie następuje uroczyste podpisanie nowego Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między Polską i Rumunią. Podpisy pod tekstem układu ze strony polskiej złożyli: Władysław Gomułka i Józef Cyrankiewicz.

◆ W Polsce składają wizyty: premier Francji — Chaban-Delmas, ministrowie spraw zagranicznych Luksemburga — G. Thorn i Jugosławii — M. Tepavac.

◆ Włochy, jako 49 kraj w kolejności, nawiązują stosunki dyplomatyczne z ChRL. Niemal jednocześnie za wnioskiem o przyjęcie ludowych Chin do ONZ po raz pierwszy pada 51 głosów.

◆ Francja pożegnała swego wielkiego syna — gen. de Gaulle'a, który zmarł w wieku lat 80.

◆ Listopad przynosi wielką sensację kosmiczną: po Księżycu porusza się sterowany z Ziemi radziecki pojazd — „Łunochod".

GRUDZIEŃ

◆ Ostatni miesiąc roku rozpoczął się ważnymi wydarzeniami politycznymi. Wśród nich znaczenie najbardziej zasadnicze ma podpisanie układu między Polską a NRF o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków. Tak więc wielomiesięczne rozmowy uwieńczone zostały sukcesem. Pod układem, potwierdzającym niezmienność granicy na Odrze i Nysie, widnieją podpisy premiera Cyrankiewicza i kanclerza Brandta, ministrów: Jędrychowskiego i Scheela.

◆ Wizyta kanclerza Brandta w Polsce poprzedzona została kolejnym posiedzeniem Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego w Berlinie. Przyjęto na tym posiedzeniu cztery ważne dokumenty, świadczące o tym, że zainteresowania państw socjalistycznych nie sprowadzają się tylko do Europy, chociaż ta jest w orbicie szczególnego zainteresowania.

◆ Tymczasem w Helsinkach toczą się nadal rozmowy, dotyczące ograniczenia zbrojeń strategicznych. Tajemnica, jaka je otacza, uniemożliwia śledzenie ich postępu. Wszyscy są jednak przekonani, że nie są one bezowocne.

Już choćby na podstawie tych faktów, chociaż miesiąc nie dobiegł jeszcze końca, można wysnuć optymistyczne wnioski. Zwycięża rozsądek! Lata siedemdziesiąte rozpoczęły się w atmosferze ogólnego odprężenia. Nie, nie łudźmy się, że wszystko nadal potoczy się łatwo. Zbyt złożona jest sytuacja, aby wykluczyć różne napięcia. Mimo to — bądźmy optymistami!

W. SŁAWSKI

Wiersze o Polsce

PIMEN PANCZANKA

Śląski taniec

Na górniczych czapkach pióra w tęczy,
Z trąb orkiestry buchnął nagle płomień,
Tupnij nóżką, Zosiu,
Zegnij ręce.
Teraz kręć się. Tak. Już wszystko płonie.

Śląski taniec, tyle barw poranku,
Trochę rytualny, hardy, dźwięczny.
Jak szarotek górskich i rumianków
Nagle w tańcu osypanie dziewczyn.

Tyle w nim jest figur, wygibasów,
Rozwichrzenia i gwałtownych omdleń.
Prędko — prędko stukają obcasy,
Aż mi duszę obejmuje ogień...

Tam Beskidy, a tam znów Sudety.
Pachnie słońcem i opadłym liściem.
Jest tak pięknie!
Lecz czemu jak wtedy
Ból w mym sercu do tej pory tli się?

Bo stąd właśnie w krwi ciemnej i dymie
Boleść wyszła, która dotąd wstrząsa.
Gliwice!
Czy znacie już to imię?
...Panna Zosia mieszka tam i pląsa.

Z białoruskiego przełożył
KONRAD FREJDLICH

WŁADIMIR ŻUKOW

Obcasy

W tamtym sierpniu to było zamglonym.
Szurgot obcasów był, jak sennej wrony skrzek,
kiedy młodość swej urody nieświadoma
w życie weszła i w mój weszła wiersz.

Może by sierpień dał mi ją na moment,
może i o niej zapomniałbym wkrótce,
tylko burza się zerwała nade mną,
tylko burza przewaliła się przez bunkier.

Przewaliła się żelazną zamiecią
tamta burza aż przez wiorsty dwie.
(Jakże śmieszny i niepotrzebny
stał się wierny dotąd druh mój SWeT).

Zasypała towarzyszy zamieć.
Wśród zamieci skamieniałem z żalu
w tym dalekim, dalekim sierpniu,
gdy obcasy groźnie szurgotały.

Nie spaliła mnie zamieć,
nie zawiała.
Ocalałem wcale nie zdziwiony,
że już koniec mojej drogi poplątanej,
że już koniec tamtej wielkiej wojny.

Przez Mołdawię, Nowy Targ, Poronin
wprost do Pragi dojść się nam marzyło.
Prowadziła nas durna młodość,
górnolotna do Ojczyzny miłość.

Znowu sierpień. Chociaż tak odległy
od zamieci tamtej, tamtych głodów,
szurgotając obcasami biegnę
nad kamienne brzegi wielkiej wody.

Znowum młody
i płynę wśród mgieł,
lecz choć Tatry nad skronią mi świecą
do młodości mojej towarzyszy
już nie wrócić:
nie dopłynąć,
nie dojść.

Przełożyła DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

FRIEDRICH GROSS

Powitanie Polaków w Lipsku

Witajcie w Grodzie Lipowym dostojnym,
Witajcie, Bracia, na polach Saksonii,
Tu niech Wam z dala od koszmarów wojny,
Kojący spokój tęsknotę przesłoni.

Nie zasłużyliście. Bracia, na klęski,
Na srom odwrotów, hańbę i wygnanie.
Lecz choć nie wieńczy Was laur zwycięski,
Bądźcie spokojni, dzień pomsty nastanie.

Przeto duch upaść nie może w Polakach,
Choć tylko chwałę zyskali dla siebie.
Będą Wam świecić na tułaczych szlakach
Gwiazdy na polskim pałające niebie.

Wszak jest, nie wszyscy polegli w powstaniu,
Jest jeszcze legion ofiarnych i dzielnych,
I płynie w blaskach, choć młódź na wygnaniu,
Ojczyzny Srebrny Aar nieśmiertelny.

A więc witajcie, mężni, w naszych murach
I przyjaźń z nami zechciejcie odnowić.
Kiedy bój ucichł, a na czole chmura,
I tutaj służyć możecie krajowi.

Słyszeliśmy o czynach znamienitych,
Któreście w szrankach rycerskich spełniali,
I zdumiewała odwaga Lechity
Tych, co beztroski żywot wiedli w dali.

Ściskaliśmy się wzajem w uniesieniu,
Potok łez lali gorących i czystych,
W dniach zwycięstw łącząc się z Wami w pragnieniu,
By ujrzeć wolnym kraj Lecha ojczysty.

Lecz wyrok padł. Wtargnęły do Warszawy
Skroś twardy bój cesarskie pułki wraże.
Tęczę swobody opar zasnuł krwawy
I noc objęła zgliszcza i cmentarze.

Jak złoty sen rozwiały się nadzieje,
Które nasz lud pospołu z Wami pieścił,
Wolności młodej piękny szczep niszczeje,
Ziemię praojców hardy wróg bezcześci.

Rozbite mężne Polonii legiony,
Co w tylu bitwach odpierały wroga.
Gdy w kraju armat carskich eszelony,
Przed Wami staje polityczna droga.

I cóż, że losu dotknęło Was ramię,
Gdy w piersiach męstwo i żądza odpłaty!
Głaz, co zaciekłość srogiej fali łamie —
Oto jest obraz prawdziwy Sarmaty.

Jako lawina, kiedy wiatr z zenitu
W śniegowe wały uderzy mocarnie,
Nabiera siły, mknąc z alpejskich szczytów,
I wszystko miażdży, i wszystko zagarnie

Tak Wy znów boje o wolność zaczniecie,
Gdyż nieśmiertelna mieszka w Was odwaga,
Wielu przyjaciół spotkacie na świecie.
Zadrży, kto dzisiaj tyrana wspomaga.

Opuściliście pola Wasze smutne,
Gdzie kości braci spoczywają w ciszy —
Świadkami czynów tegoczesne lutnie —
A tylko męstwo dziś Wam towarzyszy.

Tutaj Wam azyl dajemy bezpieczny.
Witajcie pośród nas, Bracia — Żołnierze.
Zwierzcie tej płycie żal i ból serdeczny,
Gdzie Poniatowski miał śmiertelne leże.

Pod bohaterstwa szczytnego pomnikiem
Przysiężcie zemstę i proście niebiosy,
By przywróciły księcia politykę
I samowładcy srogie niosły ciosy.

A gdy Was drogi gdzie indziej powiodą,
Gdy podążycie do Francji, pielgrzymi,
Wspomnijcie kiedy, że nad Plessy wodą
Są ludzie dobrzy, z sercami czystymi.
1831 r.

przeł. TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Jeden z licznych wierszy o walkach powstańczych Nocy Listopadowej i dramatycznym końcu powstania (tzw. „Polenlieder"), w których niemiecka liberalna młodzież poetycka dawała wyraz podziwowi dla polskiego heroizmu.

MIKOŁAJ GOWORKOW

Spotkanie z polską dziewczyną

Idąc brzegiem Wisły spytałem dziewczyny
Dokąd tak płyną rzeką białe mgielne dymy?

A skąd u was — odparła — tacy twardzi ludzie
i skąd zimy zaklęte w mrozu białej grudzie?

Zapaliliśmy skręta grzejąc sobie ręce,
Cóż miałem odpowiedzieć pytaniom dziewczęcym...

Tak, my, ludzie twardzi na wojnę i mrozy,
zostawiliśmy w bojach nadwołżańskie brzozy,

Żołnierskim szlakiem szliśmy wierni karabinom,
żeby skręta przyjaźni wypalić z dziewczyną.

Dostałem bukiet kwiatów z nadwiślańskich łąk
i uścisk najszczerszy twych dziewczęcych rąk.

Przekład: JERZY WILMAŃSKI

MIKOŁAJ GOWORKOW — współczesny poeta radziecki starszego pokolenia, mieszkający obecnie w Iwanowie. W czasie ostatniej wojny brał udział m. in. w wyzwalaniu Warszawy i Łodzi.

ROBERTO GAGNO (SIENA)

Polsce

Wiatr zdmuchnął nadzieję
— nadpłynął trupi świt
i zamilkł nawet matek lament

Pod nieba powałą
pogasłe nadzieje i śmierci echo nieme
wiatr niesie

Ucichły barykady
w gruz i samotność upadła Warszawa
— miasto z którego wyciekła krew

Żołnierze nieznani
nie narodzeni synowie zabitych bohaterów
wyrwani z łona matek
zdeptane butem kwiaty polskich pól
Wśród ruin — ostatnie cienie

Narodzie waleczny!
Znów brzmi twój hymn nieśmiertelny
zza białych grobowców wojny

Polsko
uniosłaś głowę twarzą w twarz słońcu
gdy mrok pochłonął katów

Przekład: JERZY WILMAŃSKI

ROBERTO GAGNO — współczesny poeta włoski. Wiersz z tomu pt. „Canti del Smarrito" („Pieśni zagubionego czasu"), wydanego w Mediolanie w 1969 roku nakładem Wydawnictwa Gastaldi.

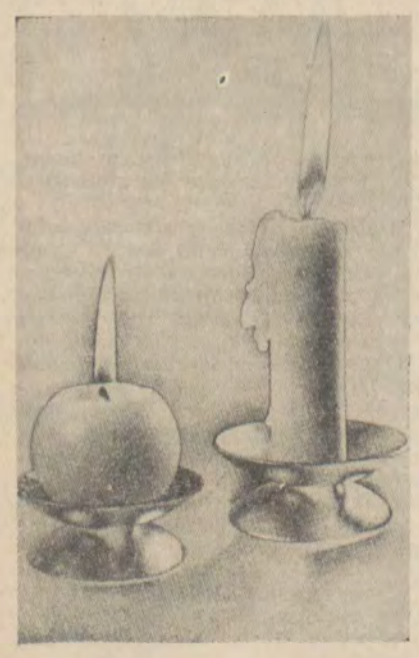

HENRYK WALENDA

Święta za oceanem

Tak się zdarzyło, że przyleciałem do Waszyngtonu na początku grudnia i od razu wydało mi się jakby kalendarz oszalał — zewsząd spoglądały na mnie uśmiechnięte twarze Mikołajów, w sklepach dzieciarnia fotografowała się z brodatymi panami w czerwonych płaszczach, na ulicach migotały choinki obwieszone lampkami. Zdawać by się mogło, że gdzieś po drodze zgubiłem parę naście dni i znalazłem się w przededniu wigilii w stolicy USA. Jednakże dokładne i powtarzane „konsultacje kalendarzowe" potwierdziły, że o pomyłce mowy być nie może — do świąt brakowało jeszcze 19 dni.

Kiedy, oszołomiony nieco tą przedświąteczną histerią, pytałem sąsiadów w czym rzecz, odpowiadali mi ze stoickim spokojem: — To handel, proszę pana, rozpętuje ten szał. Chodzi o to, by ludzie kupowali jak najwięcej, jak najwcześniej, by do maksimum wykorzystać tę szansę, jaką dają świąteczne zakupy.

Potem nastąpiło kilka dni emocjonującego czekania — jak też Amerykanie obchodzą te urokliwe święta, gdzie się kończą podobieństwa z nami, gdzie zaczynają różnice?...

*

Zacznijmy od zakupów. Zdążyłem już zawrzeć znajomość z przemiesznym sprzedawcą w jednym z pobliskich sklepów i ten pewnego dnia spytał mnie wręcz, kiedy go odwiedzę, by dokonać „Christmas shoping", czyli świątecznych zakupów. Postanowiłem odbyć tę ceremonię na trzy dni przed wigilią.

Nie będę zanudzał Czytelników wyliczaniem produktów, które zamierzałem mieć na świątecznym stole, ale jedno, przynajmniej dla mnie, nie ulegało wątpliwości — poprosiłem o szynkę, na co sprzedawca z kuszącym uśmiechem spytał:

— A turkey (indyka) pan dzisiaj nie bierze?...

Nieco zdziwiony tym pytaniem odparłem, że nie lubię tego skądinąd sympatycznego ptaszka, więc na Boże Narodzenie nie kupuję.

Biedulek załamał ręce: — Christmas bez indyka! Toż to niemożliwe, tak nie można.

I w ten oto prosty sposób dowiedziałem się, że, przynajmniej w jadłospisie świątecznym, nieco się od Amerykanów różnimy.

Potem przyszły dalsze zdziwienia. Pewnego ranka spostrzegłem, że mój sąsiad zawiesił na drzwiach fantazyjną girlandę z podobizną Mikołaja pośrodku. Cóż pomyślałem sobie, dziwak najwidoczniej.. Ale owych girland i wieńców przybywało — z godziny na godzinę było ich coraz więcej, na wszystkich piętrach. Aniołki, osiołki, Mikołaje, świeczki, wstążeczki — jedne mniejsze, inne ogromniaste Okolone to wszystko prawdziwymi lub sztucznymi gałązkami jodły czy świerka.

Dalszy ciąg na str. 7

ZYGMUNT FIJAS

Obyczaje z czasów saskich

Kitowicz — Gogol — Chmielowski

Tyle różnych starych książek miałem w ręce: i w pierwotnych edycjach i w wydaniach późniejszych, lecz niestety — rotmistrza, proboszcza z Rzeczycy pod Wolborzem, Jędrzeja Kitowicza „Opisu obyczajów za panowania Augusta III", Sasa: tego tęgiego żarłoka z kosmykami białej peruki, wymykającymi się spod czapy z staroszlacheckim pióropuszem, nigdy przed wojną nawet nie oglądałem.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu wydał ten skarb po wojnie już trzeci raz. Wśród dawnych było lwowskie, poznańskie; z Petersburga i Mohylewa, czterotomowe; wydawał to arcydzieło pamiętnikarskie Kazimierz Brodziński w roku 1823 w „Pamiętniku Warszawskim" w paru kawałkach. Któreś z tych wydań musiało trafić przed oczy Mikołaja Gogola, skoro, zdaniem Romana Pollaka, początek szkicu „Wij", autora „Martwych dusz", o życiu studentów Akademii Kijowskiej, zorganizowanej na wzór polskich szkół jezuickich, zdradza związek z dziełem Kitowicza.

Czemu książka Kitowicza wymknęła się mej uwadze, nie wiem. Swego czasu, przed wojną w Krakowie, mieszkałem przez kilka letnich miesięcy u mego starszego ode mnie krajana, bibliotekarza Muzeum Czartoryskich. On, ten bibliotekarz, przy tym asystent profesora Józefa Kallenbacha, przynosił do swego i „mego" (?) mieszkania na Łobzowie różne rzadkości: „Pochwałę głupoty" — Erazma Rotterodamczyka, Pana z Czerwonej Grobley-Rotterodamskiego, więc Erazma z Rotterdamu; „O wzgardzie świata — De contemptu mundi", dość przeze mnie uważanego szlachetnego papieża Innocentego, przyjaciela poniżonych i „kijmi" bitych; jakieś „Gościńce pewne albo gospody poczciwym wydmikuflom świata tego", „Wróżki", „Higieny piękności", „O ślachetności a zacności pogłowia niewieściego rozprawy śliczne, a podziwienia godne". Przewinęły się przed mymi oczami różni Wereszczyńscy, Podworzeccy, Glaberzy, Agryppy z Nettessheim, Mantegazze i Anonimy. Lecz nazwisko tego Kitowicza, co swemu służącemu zapisał w testamencie „parę najlepszych wołów, pług, radło, parę bron żelaznych" niewiele dla mnie znaczyło.

Mogłem przecież, dzięki pomocy mego mieszkanio- i jedzeniodawcy, asystenta Ludwika Nowaka, dotrzeć do dzieła Kitowicza, skoro jego autograf, jak się dowiaduję, był w zbiorach Muzeum. Nie dotarłem. Milszą memu sercu była książka tak zwanego upiora saskich czasów, Benedykta Chmielowskiego, opluta przez Tomasza Kajetana Węgierskiego i wielu innych:

NOWE ATENY

ALBO

Akademia Wszelkiey Sciencyi Pełna na różne tytuły iak na Classes podzielona, Mądrym dla memoryału, Idiotom dla Nauki, Politykom dla Praktyki, Melancholikom dla rozrywki erygowana

ALIAS

O Bogu, Bożków mnóstwie, Słów pięknych wyborze,
Kwestyi cudnych wiele, o Sybillów zbiorze,
O zwierzu, Rybach, Ptakach, o Matematyce,
O cudach Świata, Ludzi, Rządach, Polityce
O językach y drzewach, o Żywiołach, Wierze,
Hieroglifikach, Gadkach, Narodów Manierze,
Co Kray który ma w sobie dziwnych ciekawości,
Cały Świat opisany z gruntu w słów krótkości".

Pierwsza, przyznajmy to, polska encyklopedia, napisana przez Dziekana w Firlejowie nad Gniłą Lipą w powiecie rohatyńskim na Pokuciu, gdzie też spoczywają zwłoki Chmielowskiego pod epitafium własnego autorstwa.

Z okazji świąt pozwalam sobie zacytować parę haseł, wygrzebanych przez Dziekana z dzieł różnych autorów, między nimi i z Cardana, włoskiego matematyka, od którego pochodzą równania trzeciego stopnia:

„Rzeka Odra od odzierania kraiów y brzegów nazwana. Roku 1270, trzy dni

całe krwawy reprezentowała kolor. Teste Miechowita". (Maciej z Miechowa).

„Niektórzy twierdzą, że Owidiusz na Polisiu (Polesiu) był wygnańcem, iż tam y górę y jezioro pokazują Owedowemi nazwane, twierdząc, że Czarne Morze aż się tam opierało, wielkiemi jeziorami y kotwicami często znalezionemi tego zdana popieraiąc".

„Wisła, naysławnieysza Polska rzeka, Princeps Fluviorum Poloniae (Królowa rzek polskich). Navigabilis albo spustna, nie złote piaski, iak Tagus y Ganges maiąca, ale za zboża y różny frukt cudzym kraiom kommunikowany, wiele Polakom przynosząca złota... Wisła się zowie, że albo ze skały wysokiey spada y nibi wisi zgóry na dół, albo od Wiosła, do którego się Flisi często zwołują: Do wiosła, do wiosła".

„Antoni nieiaki Benzus, maiąc lat 34, w piersiach tak wiele miewał pokarmu, że Dziecię karmić mógł, teste Cardano". (We dług Cardana).

„W Ingolstadzie, Mieście Bawarskim, Jerzy Stengelius widział roku 1628 y napisał w Księdze swoiey de Monstris, że tam Człek w Konwikcie się znaydował ramion y rąk nie maiący, ale palcami u nóg grał na organach, w karty, dzban utrzymywał y nalewał trunek, pisał wybornie, nić w igłę nawlókł, prządł cienko".

„Eryk Król Szwedzki, którędy obrócił kapelusz, z tamtąd wiatr wiać zaczął".

„We Szwecji Panna porwana była od Niedźwiedzia, y do iamy sprowadzona, z nim miała Dziecię ludzkiey postaci, ale szerścią obrosłe, któremu dano imię Ursus. Saxo, Joannes Magnus, Jonstonus".

Wydawać by się mogło, że tylko wróg polskiego rozumu i inteligencji zdolen był napisać coś równie ogłupiającego, aby zmatolić Polaków i ich dzieci, ale jak piszą we wstępie, ci, co to wydanie opracowali, Cardanus, włoski lekarz, a zarazem jeden z Ojców Kościoła matematyki, wierzył w sny i czary, i był autorem równie śmiesznego dzieła pod tytułem De subtilitate; zaś inny Kopernik: fizyki, sir Isaac Newton „przymierzał historię do proroctw Daniela i Apokalipsy".

A czymże są baśniowe bajania Gogola o strachach i różnych dziwach? Jak odnieść się do Gogola, tego bicza na ustrój carski, który pod koniec swego hemoroidalnego żywota, objął urząd profesjonalnie zbliżony do urzędu dyrektora policji, zaczął kajać się przed carem, lizać jego buty, podobnie jak Puszkin: wyrzekł się swej krytyki i satyry, ulegał podszeptom ciemnego, głupiego popa?

FRAGMENT WIERSZA Z TEJ KSIĄŻKI:
(wydatki moje)

opisana następuiącą muzą:

„Potrzeba kupić mięsa, kur y cielęciny,
Nie maiąc na podwórzu tey wiele zwierzyny,
Trudno ieść kisiel, kluski, albo umrzeć z głodu:
Gdy mię Dwór Senatorski lepiey karmił z młodu,
W post oliwy, oleiu, a często y ryby,
Kupić sobie potrzeba, dać złoty na grzyby.
Kawa, cukier, Herba The dla mnie y dla Gościa
Kosztuią, czyli z Lwowa, czyli to z Zamościa.
Staram się, choć by drogo, by miód był w mym domu,
I piwo, nie żałuiąc tych trunków nikomu,
Jest wódka pospolita y alembikowa,
Takiey się wolno napić, iaka komu zdrowa".

NAPRAWMYŻ

błąd młodości i wieku dojrzalszego! Zaprzęgnijmy tekst Kitowicza do świątecznej roboty obsługowej, świadczmy usługi i my. Jak przedświąteczni tapicerzy, myśliwi polujący na dziczyznę i cukiernicy, pracownicy przemysłu garmażeryjnego, przygotowujący różne pikantne zakąski dla samotnych kawalerów, samotnych wdów i samotnych panien, zamiatacze skoczni wyrównujący ich nawierzchnię do świątecznych zjazdów, sprzątaczki froteru jące balowe podłogi w celach sylwestrowych i nakładający różne gumolea na klepiska PGR, żeby czeladź pegeerowska i kółko-rolnicza miała na czym karnawałowo hasać lub, wywróciwszy się w tańcu, nie powalała sobie garniturów i minispódniczek.

CO MÓWI KITOWICZ O STOŁACH I BANKIETACH PAŃSKICH?

„Panowie — tak w domach, jak i na publicznych miejscach kochali się w wielkich stołach, dawali sobie na publice nawzajem obiady i wieczerze; do tych zapraszali przyjaciół, obywatelów, wojskowych i sędziackich (sądowych), w domach zjeżdżali się do nich pobliżsi sąsiedzi; rzadki był dzień bez gościa; częste biesiady z tańcami i pijatyką. W całym kraju pędzono życie na wesołości i lusztykach, wyjąwszy małą garsztkę skromnych w napoju. Stoły zastawiano wielkimi misami, które u wielkich panów były srebrne, u mniejszych — prócz wazów i serwisów (zastaw stołowych) — cynowe; talerze także — podług pana — srebrne i cynowe".

...„Nożów i widelców u wielu panów nie dawano po końcach stołu, trwał albo wiem długo od początku panowania Augusta III zwyczaj, iż dworzanie i towarzystwo, a nawet wielu z szlachty domatorów (lubiących raczej w domu poucztować) nosili za pasem nóż, jedni z widelcami, drudzy bez widelców, inni zaś prócz noża za pasem z widelcami miewali uwiązaną u pasa srebrną, rogową lub drewnianą — z cisu, bukszpanu lub trzmielu (krzew, którego drewna używano do toczenia na tokarni) łyżkę w pokrowcu skórzanym".

...„Jeśli zaś który nie zastał u stołu łyżki gospodarskiej, i swojej nie miał, po życzał jeden u drugiego, skoro ten, rzadkie zjadłszy, do gęstego się zabrał, albo zrobił sobie łyżkę z skórki chlebowej, zatknąwszy ją na nóż, co nie było poczytane za żadne prostactwo w wieku, wykwintnością francuską nie bardzo zarażonym czyli też nie wypolerowanym".

„Serwety także i odmienianie talerzy za każdą potrawą nie zaraz nastało; gdy nastało, to oboje najprzód tylko używane do środka stołu nie zasięgając końców, przy których stołownicy obywali się jednym talerzem, a gdy ten już był napełniony ogryzkami i kościami, podawali go posługaczowi jakiemu, aby zruciwszy gdzie w kąt owe gnaty, czymkolwiek talerz ochędożył".

...„Komu się nie dostało serwety, zasłonił się chustką od nosa, choć czasem uta baczoną, co nic gospodarza domu ani wspólników bankietu nie obchodziło. Z jednej szklanki pili za jedną koleją lub z jednego puchara, nie brzydząc się kroplami napoju, które z wąsów jednego spadały w puchar podawany drugiemu. Biała płeć nawet nie miała mierziączki przytykać swoich ust delikatnych do puchara w kolej idącego, po wąsach uszarganych".

PO OBIEDZIE

„Po obiedzie trunki wielkich panów: wino węgierskie, w Krakowskiem, Sandomierskiem i na Rusi; w Prusiech, w Kujawach i w Litwie francuskie rozmaite i zamorskie, jako to pontak (ciemnoczerwone wino francuskie), muszkatel i szczecińskie (jabłecznik z jabłek: Szteltyn); w

Poznańskiem i Kaliskiem, gdzie panowie i szlachta we wszystkim wielką zachowują ostrożność, dla pryncypalnych osób wino węgierskie, i to dobre, na szary koniec francuskie; na Ukrainie wino wołoskie i manasberskie" (reńskie).

...„Czterech, a czasem dwóch łykaczy, tylko dobrych, wypróżnili piwa beczkę 50-garncową do wieczerzy do poduszki, mało albo nie zarwawszy do północka. (Jeden garniec: cztery kwarty). Na triumf po zwycięstwie napili się gorzałki i poszli spać z dobrym zdrowiem, cokolwiek podochoceni. Takowa junakieria czyniła reputacją (sławę) w narodzie rycerzom kuflowym".

...„Gdy albowiem w narodzie nic nie można było zrobić bez pijaństwa, czy to zgodę jaką, czy elekcyją, czy interes własny utrzymać, nie oblawszy go trunkiem jakim podług wartości osób", panowie starali się o tęgich łykaczy, którzy ich w piciu zastępowali; i po zamroczeniu rozumów fetowanych gości „jako machiny bez rozumne do swoich zamiarów nakręcali" tego, kogo chcieli do odpowiedniego celu nakręcić".

Jak widzimy wróg, czy to hitlerowski, czy dawny, imał się tego samego propinacyjnego oręża, aby powoli społeczeństwo rozłożyć na nieszkodliwe, nikomu niepotrzebne części zapasowe i dalej innych rozkładające.

O CZĘSTOWANIACH I PIJATYKACH SEJMIKOWYCH

Na sejmikach „drobna szlachta nie mięszała się z panami, miała swoje osobne stoły po różnych gospodach, a w lecie po sadach i podwórzach pod szałasami, gdzie ich przez ciąg sejmiku karmiono i pojono".

„Ordynaryjnie taką szlachtę pojono winem z gorzałką zmieszanym — dla prędszego zawrotu głowy — i piwem dla ochłody pragnienia. Pijąc tedy na przemianę raz owę mieszaninę wina z gorzałką, drugi raz piwo, prędko się i niewielkim kosztem popili. Popiwszy się, wywracali się i tam zaraz, gdzie który padł, spali: przy stole, pod stołem, pod płotem,

na środku ulicy, w rynsztoku, w błocie, gdzie kogo nogi taczające się zaniosły i powaliły".

„Tę drobną szlachtę (proletariat szlachecki ale z prawem veta) zwozili panowie na sejmiki brykami, a po skończonym sejmiku rozpuszczali do domów pieszo, zamknąwszy garkuchnie i zniknąwszy im z oczu. Takie były traktamenta domowe i sejmikowe przez całe panowanie Augusta III..."

Tyle słów kazania na Nowy Rok, Trzech Króli i święta Bożego Narodzenia. Resztę Kitowicza zostawmy sobie na inny dzień karnawału, inne święta, gdy będzie tak aktualny dwuwiersz zamieszczony na stronie tytułowej drugiego wydania powojennego Nowych Aten:

„Imię Wiosna zaczyna. Wielkiey Nocy blisko,
Głowę w Piwie y Miodzie zawraca Nazwisko".

RYSZARD BINKOWSKI

Barwy czasu narodzenia

I znów w nasz kociołbisty dziedziniec wszedł grudzień. Zadudniła gruda pod końskim kopytem, powiało zwiastunem zimy.

Wracałem do domu pod zimnymi gwiazdami. Przed skrzydłami wiatru krył mnie senny las, w ów czas usiany tropem głodnych zwierząt.

Wstępowałem w senne ciepło naszej chaty, gdzie coraz częściej witała mnie bratowa. Wchodziła do izby w długiej różowej koszuli.

W świetle naftówki pod tym koszulowym różem prężyły się nabrzmiałe, wilgotne guzy sutek. Przez ten róż przebijał ciemny trójkąt między szerokimi biodrami.

Nie chciałem patrzeć na to duże, różowe ciało. Patrząc bowiem na tę szerokobiodrą dziewczynę, okradałem w jakiś sposób mojego brata. Tak to właśnie widziałem i czułem... A jednocześnie, patrząc na żonę brata, dokonywałem jakiegoś porównania z Anką. I cieszyłem się, że moja dziewczyna jest inna.

Ale z podzięką brałem z rąk bratowej kubek mleka, chleb, skwierczącą w skwarkach słoniny jajecznicę. Bo dłonie bratowej były dla mnie dopiero co wyjęte ze snu.

Nie zauważyłem na razie, że oczy bratowej coraz mocniej ciemnieją w świetle naftówki. Aż do zakrzepłej w słońcu, przepaścistej smolistości...

Nie czułem jeszcze, że przywykam do pragnienia obcowania z zapachem jej mlecznego ciała. Ale tłumaczyłem sobie, kiedy już przekonałem się, że jestem żądny owego pragnienia, iż dzieje się to z tej przyczyny, że nigdy w naszym domu nie zaznałem matki.

A w podwórcu fabrycznym pieniło się mlecznie. Pierwszą biel pstrzyły owsiane grudy, które zostawiały dwa silne kasztany od naszej rolwagi. Krzywy Mundek walczył z bielą, ale bezskutecznie.

Jan z windy, opatulony waciakiem, naciskał dźwigienkę i odbywał swą górno-dolną czterometrówkę w mrocznym szybiku. W wolnych chwilach, jak co roku, majstrował przy szopce. W jego grubych, sękatych palcach rodziła się betlejemska stajenka. I powstawał żłób z pudełka od zapałek.

Ale Janowi nie szło już tak składnie, jak w minionym grudniu. No, wprawdzie wykonał jak dawniej figurki aniołów, zwierząt, pasterzy i królów, i wszystkie ład nie zamocował i pospinał sprytnie drucikami, a kiedy pociągał z dołu nitkami, postacie ożywały, ale już nie tak... Cóż, że król potrząsał zapałczanym berłem, aniołki trzepały skrzydłami, pasterze zaś gięli się w kornym ukłonie?...

Życia w tym nie było...

Coś smutnego w tej szopce... Wyleciała z niej barwa, ruch człowieczy, radość narodzenia...

Nadszedł wigilijny czas.

— Raźniej będzie, weselej przy naszym opłatku — powiedział brat. — Bo i z osiem potraw, a smak w nich tak długo oczekiwany, rychtowany babską ręką...

— Długo na to czekałem, Józku, za długo... — powiedziałem. — Przez ten cały czas sierocy. I znalazłem nowy dom, w którym aż cztery kobiece dłonie...

— To nie zostaniesz z bratem? A cieszyłem się na tę chwilę. Jak że tak?... Przecież tutaj twój dom...

— Już on nie mój i ty o tym wiesz. Już jest w nim kobieta, z którą pójdziesz przez wszystkie dnie życia. Poza nią nikt ci teraz niepotrzebny...

— Życie nas rozłącza. Nie mogę cię zatrzymać... — szepnął brat. — Zresztą — dodał — i tak nie pod naszym dachem przejdzie nam wigilia. Idę do teściów, do tej wsi przy szlakowanej drodze.

Pojechałem do miasta. Mocno mi pachniała tym wieczorem narodzenia maleńka izdebka. Po raz pierwszy w życiu brałem kruchą biel z dłoni kobiet. Byłem wzruszony.

— Od piętnastu lat — mówiła matka — nie było w tej izbie mężczyzny. I każda wigilia miała słony smak... Pragnęłabym, aby to się zmieniło...

— To się zmieni — powiedziałem. — I w tej izbie nikt nie będzie płakał nad białym opłatkiem.

— Wierzę, że Anka będzie w życiu szczęśliwsza niż ja — powiedziała matka. — Ale ja zostanę sama w tej małej izdebce... Pójdziecie do bloków, założycie nową rodzinę...

— Nie zostaniesz sama — powiedziała Anka. — Gdzie my, tam i ty...

— Choć raz chcę mieć matkę. I pani nią będzie — dodałem.

Nocne miasto żyło światłem, pieśnią, muzyką. A pasterka była podobna do tej z drewnianego kościoła we wsi przy szlakowanej drodze.

Ludzie stali pod bledniącym w świetle latarń niebem. Z zawieszonego na murze głośnika spływały na ich obnażone głowy obrzędowe słowa narodzenia.

W te święta nie wróciłem na wieś. Spałem w małej izdebce. Anka przeniosła się do łóżka matki, a ja kładłem się na jej kanapce.

Byłem szczęśliwy, że kiedy zasypiam, towarzyszy mi oddech śpiącej obok Anki. Ponadto mogłem tulić głowę do miejsca, gdzie jeszcze wczoraj sypały się jasne włosy mojej dziewczyny.

A potem matka Anki wybrała się w odwiedziny do koleżanki.

Zostaliśmy sami.

W zielonym cieniu wigilijnego drzewka poznawałem smak dziewczęcego ciała...

Z kugli spływała barwa poburzowej tęczy. W tej tęczy całowałem biały, płaski brzuch dziewczyny, która jeszcze nie rodziła.

Z pachnącego wigilijnie święta wchodziłem w wyziębiony, mroczny magazyn. Drżąc w chłodzie, smarowałem koła wózka.

A pod wagą przedłużał się rząd naładowanych wózków.

Jan z windy nie zjawił się w pracy. Było w tym coś niepokojącego, gdyż dotychczas windziarz nie opuścił żadnego dnia.

— Ciekawe, co też mogło mu się przydarzyć?

— Może zachorował? Po świętach zdarza się. Z przeżarcia, przepicia...

— Jasne! Jednego kielicha za dużo łupnął i tyle! — zaśmiał się Andrzej.

— Albo sielnie rozkochał się z kobitą przez te wolne dni — powiedział Stepan.

— Mowa! Baba koszulę przyciesła i chłop z łóżka nie może wyliźć!

— Śmichy-chichy a robota stoi — powiedział magazynier. — Wojczek, ty mieszkasz najbliżej. Skocz no i sprawdź, co tam z tym naszym Jankiem.

Rozjechaliśmy się po korytarzach. Podczas pracy zapomnieliśmy o wyjściu Wojczka. Wrócił dopiero po dobrych dwóch godzinach. Siadł na ławce w ganku, patrzył w czubki zaśnieżonych butów. Milczał. Coś dziwnego przyniósł w twarzy.

— No, gadaj! Co tam? — spytał Kopacz.

— Jęzor zwinął ci się w trąbkę? — naparł na starego Maniek.

— Przecież w kadrach już wiedzą — mruknął Wojczek.

— Co wiedzą? Mów!

— A powiem — rzekł ściszonym, zmęczonym głosem. — Powiem, że bedzieta się składać na wieniec...

— Ty, żarty to se schowaj, wiesz gdzie! — zagrzmiał Barczak.

— Kiedy mnie wcale nie do śmichu... Janek... powiesił się...

Stanęliśmy przy wózkach jak zamurowani. W drżącej w korytarzach ciszy zaszeleścił prostujący się w paczkach papier. Sufit szumiał pod rozpędzonymi maszynami. Stojąca w drzwiach kantorka pani Józia pisnęła cicho. Barczak zaklął ciężko i z całej siły kopnął kłąb wełny. Żółte kłaki frunęły na ścianę kojca.

Nikt nie wątpił w prawdomówność Wojczka.

— Wiecie — mówił ochrypłym, sennym głosem — że Jankowa kobita piła ostatnio jak szewc. A we wigilię Jan poszedł na pasterkę. I wtedy babsko dorwało się do wina. Mieli z pół balona, takiego swojskiej roboty. I zapiła się w trupa. Coś ją siekło, jakaś biała gorączka czy inny zajob, że zaczęła tłuc klatki. Ptaki fruwały po izbie, a ona je gnała i dusiła szmatami. Ludzie słyszeli, ale myśleli, że tam jaka wojna domowa, więc nie chcieli się wtrącać.

A baba usnęła. Jan wrócił, zobaczył to mieszkanie zawalone drutem, szczebelkami, pierzem, ptasimi trupkami... Wiecie, jak on lubił ptaki... Chwycił babę za kudły i w dziób! Z miejsca oprzytomniała i zaczęła się stawiać. W kotłowaninie chwyciła czajnik z wrzątkiem i chlusnęła chłopu na łeb. Dobrze, że zasłonił twarz dłońmi, bo by oczy wyparzyło... Ale na co się to zdało — urwał Wojczek z goryczą. — Na ten wrzask i lamentowanie — ciągnął po chwili — wpadli ludzie i zadzwonili po pogotowie. Babę zabrali do Kochanówki, a jego na opatrunek. I jeszcze tej nocy wrócił. Rano ludzie chcieli wziąć go na poczęstunek, pocieszyć. Pukają, ale nikt nie odpowiada. A klucz w zamku od środka... Wyłamali drzwi. Puściły, a wraz z nimi wywalił się na korytarz Jan. Paskiem przywiązany do klamki, z wywieszonym językiem...

Wojczek skończył w zupełnej ciszy.

— Cholera jasna, żeby przez babę — zaklął Kopacz.

— Ona też nielekkie miała życie — powiedział Pelka. Zygmuś chlipał w kącie.

Rudy Maniek ściągnął z głowy siwy od czesankowego pyłu beret. Przeszedł pośród nas. Padały monety, papierki. Po raz pierwszy z tej forsy nie będzie gorzały na wesołość, uciechę, bo to składka żałobna.

— Pogrzeb o trzeciej, trza się śpieszyć. — powiedział Wojczek.

Nawet pani Józia z kantorka poszła na pogrzeb. Kiedyśmy dotarli do cmentarza, z czarnego auta wyjmowano brązową, osrebrzoną skrzynkę. Prosto od krajania przywieźli Jana. Nie zobaczyliśmy już jego twarzy w brodzie lśniącej jak nowo narodzony kasztan. I wjechał Jan na linach do żółtej, gliniastej jamy. Zadudniła po wieku trumny rzucona przez księdza gruda zmarzliny. Zaskrzybiały łopaty. Magazynier położył na grobie pachnący jedliną wieniec.

— Ech! Zasrany ten ludzki żywot — powiedział Barczak.

— Był chłop, żył i nie ma go — stęknął Wojczek.

— Chłopy, zróbmy jeszcze jedną składkę. — zaproponował Kopacz.

Było mi wszystko jedno. Przyłączyłem się. Pośród kolegów czułem się pewniej. Władowaliśmy się całą gromadą do cuchnącej gorzałą, śledziem, dymem knajpy. Piłem żytnią wódkę, zagryzałem krwistym tatarem. Ale wódka nie rozwodniła w nas smutku. Było nam jeszcze rzewniej.

— Szkoda Jana, jaka szkoda — ślinił się Ziutek.

— Aleś mu za życia potrafił na dogryzać.

— Co innego żarty w robocie, a co innego śmierć...

— Przecież życie jest ładne — mówił Barczak. — Coraz lepsze, wygodniejsze, dostatnie.

— Jakże więc można samemu pozbawiać się tego życia? — dziwił się magazynier.

— Na co czekać? — powiedział Andrzej. — Dobra dla nas godzina, inna Polska, ale po cholerę człowiek tyra, kupuje graty, radia, łachy, kiedy i tak musi wszystko zostawić?

— Eee, wódka, żal was rozkleja — powiedział Barczak.

— A ja ci mówię, Barczak, że to największa sprawiedliwość. Jednaki los... Bogaty, czy bidny, ksiądz czy partyjny, każdemu tyłek piaskiem przyklepią.

— I tylko górka piasku po nim zostanie.

— Ale i tę górkę zmyje deszcz i rozsypie wiatr — dodałem.

Zapatrzyliśmy się w puste kieliszki. Kelnerka podała Kopaczowi rachunek.

Fragment książki „Pójdziesz po nad sadem".

JERZY WILMAŃSKI

POLSKIE WIGILIE

Jakże różne były te polskie wigilie... Można snuć wspomnienia wygrzebywane z zakamarków ludzkiej pamięci, można notować je z pożółkłych kart dawno zapomnianych ksiąg... Można...

U pani podwojewodziny Dobrzyckiej w Pęsach na Mazowszu, jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku nie siadano do wigilii bez snopów żyta po rogach komnaty ustawionych. Lud wiejski, po uczcie wigilijnej, ze słomy tych snopów kręci małe powrósła i wybiegłszy do sadu owiązuje nimi drzewa owocowe w przekonaniu, że będą lepiej rodziły. Wieczerza wigilijna u ludu składa się z potraw siedmiu, szlachecka z dziewięciu, pańska z jedenastu... Kto ilu potraw nie skosztuje, tyle go przyjemności w ciągu roku ominie — rzecze Gloger.

I zaraz potem wybiegnijmy w początek lat sześćdziesiątych. W gdańskiej zbrojowni samotny, stary malarz, Piotr Potworowski zbiera na wieczerzę gromadkę studentów swojej pracowni... Za oknami zamieć, duje wiatr od Bałtyku, a wokół stołów — zestawionych podestów dla modeli — obrazy Profesora. W ugrach i żółcieniach błyskający słoneczny rynek w Sienie, zieleń łąk Kornwalii — słońce, tak wiele słońca na płótnach, a za oknami polska zamieć i wiatr od morza... „Nie zapomnę nigdy tej właśnie nocy wigilijnej — mówi trzydziestoletni dziś malarz — wigilii bez tradycyjnej kutii czy barszczu, właśnie dlatego, że była spektaklem tak pięknym z włoskim niebem i zielenią łąk — tu na płótnie — i z polską zamiecią i wiatrem tuż za ścianą, za oknami, wokół nas..."

Tak — piękne mogą być wspomnienia wigilijnej nocy, osnute mgiełką rozmarzenia, ogrzane ciepłem rodzinnego ogniska lub słońcem sieneńskiego pejzażu...

Ale między tamtą wigilią XIX-wieczną na Mazowszu, a tą współczesną w pracowni artysty mieści się inna wigilia, inne wigilie — mieści się inny, okrutny czas...

Bolesław Hanicz-Boruta, dowódca III Brygady AL im. Generała Bema opowiada o polskiej, partyzanckiej wigilii, choć nie było tej nocy ciepła i biało nakrytego stołu. Nieoczekiwanie 21 grudnia 1944 roku do wsi Wymysłówka w powiecie radomszczańskim zjechała kolumna niemieckiej żandarmerii. Błyskawicznie obsadzono ze wszystkich stron zabudowania rolnika Władysława Kosmali. Tu właśnie znajdowała się skrzynka kontaktowa sztabu III Brygady... Łączniczką była córka Kosmali, miodziutka „Staśka".

Jeszcze tej samej nocy ciężarówka powiozła dziewczynę do radomszczańskiego gestapo. Minęły dwa dni. W przeddzień wigilii wywiad Brygady otrzymał informację, że mimo tortur „Staśka" nikogo nie „zasypała" podczas śledztwa. Nie przyznała się także do przynależności partyjnej.

Następnego dnia — w samą wigilię Bożego Narodzenia — wywiad ustalił, że bohaterska łączniczka przebywa w szpitalu powiatowym w Radomsku. I wtedy przyszła decyzja. Odbić dziewczynę — mimo wzmocnionej ochrony, mimo silnych jednostek wojskowych, stacjonujących w mieście.

„Dzielnica, w której mieścił się szpital — mówi Hanicz-Boruta — nie nadawała się do działań partyzanckich. Wszystkie przylegające ulice były obsadzone przez wojsko. Szpital stał u zbiegu ulicy Legionów i Wąwozowej — w pobliżu była siedziba gestapo, zaledwie kilkadziesiąt metrów... Równocześnie ulicę poprzeczną przebiegającą za murami szpitala obsadzono przez Wehrmacht. Na dodatek w pobliskim magistracie mieściły się biura policji granatowej oraz Kripo. Zachodnią zaś stronę dzielnicy zamykała katowicka autostrada — a po niej przesuwały się dniem i nocą długie kolumny niemieckich samochodów wojskowych, które w razie alarmu mogły natychmiast udzielić pomocy miejscowemu garnizonowi..."

A jednak w tę wigilijną noc 1944 Hanicz-Boruta podjął decyzję. Szło pod osłoną mroku piętnastu odważnych z dwoma erkaemami, z pistoletami maszynowymi, granatami... Szli razem z dowódcą Brygady przeciwko zatłoczonemu wojskiem miastu, szli przeciw logice — ale szli niosąc w dłoniach broń a w sercach największy dar, jaki mogli oni, chłopcy z lasu, dać swojej towarzyszce — wolność, życie...

Na skrzyżowaniu Długiej i Legionów obok ulicznej pompy pozostał porucznik Konarski z czwórką ludzi. Mieli ubezpieczać grupę operacyjną, mieli rozkaz przyjęcia walki i stawiania oporu do końca. Druga piątka partyzantów zajęła stanowiska w bramach niedaleko siedziby gestapo, z takim samym rozkazem.

Było już ciemno, dawno zaświeciła pierwsza wigilijna gwiazdka, kiedy Hanicz-Boruta z pięcioma ludźmi wdarł się od ulicy Legionów na teren szpitala. Zaskoczenie było kompletne. Personel osłupiał — żandarmi ukryli się w jednej z separatek, policjanci oddali broń.

„Wpadłem na górę — mówi Hanicz-Boruta — w dużym pokoju z lewej strony przy ścianie leżała nieprzytomna „Staśka". Ułożyliśmy ją na noszach i bez jednego wystrzału opuściliśmy szpital".

A potem zwinięcie ubezpieczenia i szybki marz za miasto. W pobliskim Zakrzówku dziewczyna znalazła opiekę. Towarzysze broni przynieśli jej w prezencie życie i wolność.

Kiedy dziś kartkujemy pożółkłe tomy Glogera, mówiące tak pięknie o polskiej wigilii, kiedy dziś my — trzydziestolatki, wspominamy nasze ciepłe rodzinne i przyjacielskie wigilie — warto pomyśleć choć przez chwilę o tamtych grudniowych nocach... Nie pierwsza gwiazdka wyznaczała wtedy p o r ę, lecz rozkaz. Więc szli po białym obrusie pól zawianych świeżym śniegiem, niosąc nie gwiazdę betlejemską lecz erkaemy.

Niektórzy z nich nie doszli, więc ich pamięci poświęćmy choć chwilę zadumy, choćby to wigilijne wspomnienie starego partyzanta.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Już nam odchodzi stary rok

Wyobrażam sobie taką szczególną chwilę: oto przy świątecznym stole zebrali się przyjaciele i koledzy po piórze, dymi w dzbanach nagrzane, czerwone wino, doprawione ziołami, a my wznosimy pierwszy toast. Za pomyślny rozwój naszej literatury! A potem gwarzymy spokojnie o tym, co my, pisarze związani z Łodzią, dla tej literatury zdołaliśmy uczynić. Gromadka przy stole niemała, razem pięćdziesięciu trzech ludzi, bardzo rozmaitych co do swoich pisarskich zainteresowań, różne stylistyki, a i światopoglądy nie zawsze do siebie podobne. A gdyby po pierwszym toaście, przecież to całkiem możliwe, padły nawet jakieś cyfry, okazałoby się, że w przemijającym roku nasi pisarze wydali 22 książki, dokonali setek przekładów z różnych poezji, napisali kilkadziesiąt reportaży, esejów, felietonów i artykułów publicystycznych. Niemało, lecz jeśli wierzyć zapowiedziom, rok przyszły znacznie będzie bogatszy, powinien przynieść co najmniej trzydzieści książek.

Myślę, że po drugim kielichu gorącego wina, mówilibyśmy o zawartości tych książek, ich rodzajach, a może i czytelniku.

Sądzę też, że nie milczeliby wcale liczni spośród tych, którym rodzinna gleba, burzliwe dzieje Rzeczypospolitej zawsze dostarczały bezcennego kruszcu, z którego ich książki powstawały i będą powstawać. Są to pisarze zaangażowani w sprawy naszego kraju, jego historii, walki, którzy z wielu zafałszowań i kłamstw na temat Polaków, tak modnych w pewnych kręgach politycznych i dzisiaj, szukają prawdy o nas samych.

Ale też właśnie w tym miejscu, choć nie wiem po którym kielichu, doszłyby do głosu, musiałyby dojść, bardzo istotne niekiedy różnice. Rozmaite są bowiem pojmowania zasadniczego celu literatury. Jest ona niemal zawsze darem ze strony pisarza dla czytelnika, darem w postaci talentu, który wzrusza, dostarcza wielu przeżyć estetycznych, zachwyca barwami, nastrojami bohaterów, muzyką słów. Czytelnik powiada często po otrzymaniu takiego daru — jakież to ładne, miłe, ale i dalekie ode mnie. Piękne, lecz nie moje. Mniejsza o to, co ci z tej historyjki w końcu przyjdzie. Dla czego zaraz sądzić, że literatura musi wypełniać jakieś poważne funkcje społeczne? To już było, minęło, nie wróci, teraz możemy się tylko zabawić wzajemnie, trochę zachwycić tym lub owym i trochę posmucić.

Ktoś mógłby przy naszym stole taki sens literatury przedstawić, niewykluczone, że któryś z młodych, no bo oni nie zawsze lubią słuchać, kiedy się mówi, że poza nimi istnieje jeszcze reszta świata. Oczywiście nie wszyscy.

Proszę słuchać — podnoszą się właśnie głosy, że literatura dawno już straciła swoje kreacyjne moce, żadnego więcej wpływu na powstawanie wizji społecznych, wszystko co nam pozostało, to odkrywanie na powrót pojedynczego człowieka, najlepiej siebie samego, zapisywanie własnych przeżyć, sądów o sprawach, które zechcieliśmy dostrzec, dreptanie wokół własnego serduszka, a może już tylko wokół własnego pępka? Co było przed nami — już nieważne, czas nie wraca, stary rok nie wróci, co po nas — także nieważne, my jedni jesteśmy ważni, choć domek nasz ubożuteńki i chudziutkie doświadczenia. Nie mamy żadnego wpływu na blaski i cienie naszego współczesnego życia, władze mają i tylko one, nie ma żadnych możliwości dla szerokiej literacko-społecznej panoramy przemian, które przechodzi współczesny człowiek, dajmy mu więc trochę ładnych słów, odrobinkę wzruszenia, zabawmy go sobą. A że mało kto nas czyta? Nawet Mickiewicza współcześni nie uznawali, ani Norwida, piszmy więc dla wieczności, bezradni jesteśmy bowiem wobec współczesności.

Nie każdy się z takim stanowiskiem zgodzi, więc i w naszym umownym gronie nie brak gorących oponentów. Znika nam z oczu stary rok, ale właśnie w tym roku padło wiele interesujących głosów, wyszły nawet książki, poświęcone sensowi i zadaniom współczesnej literatury. Zadaniom, powtarzam, właśnie zadaniom, gdyż bez nich nie ma co mówić o sensie literatury. Wypijmy wraz z całą gromadą jeszcze po kielichu, nie zaszkodzi przecież i przypomnijmy sobie od razu starą prawdę: źródła inspiracji pisarskiej zawsze tkwiły poza niejako wewnętrznym życiem sztuki, tkwiły w realnym życiu. I podyskutujmy.

Oj, roku, stary roku, w ładną nas kabałę wpakowałeś. Cóż mamy powiedzieć my, którzy uporczywie twierdzimy, że literatura posiada sensy społeczne, powinna wyrażać zaangażowany stosunek autora do współczesnego mu człowieka? Nic? Nie jest tak źle, bo oto następny z naszych rozmówców przy nieco zmyślonym stole przypomina oczywistą prawdę: świat się specjalizuje, dezintegruje się człowiek, dzieli na wąziutkie specjalności, w medycynie jest ich już blisko setka, kilkadziesiąt w biologii, cóż mówić o mechanice, czy wielu innych specjalnościach. I właśnie temu rozbiciu, atomizacji, podziałom, potrzebny jest wielki wspólny mianownik, nadrzędna idea wiążąca w całość ludzką pracę i wynalazczość. Tak więc literatury nie należy pojmować, jako drążenia problemów samotnej, pojedynczej jednostki, lecz akurat przeciwnie — wyrażać poprzez nią jak najbardziej uniwersalne, wartości, scalające rozproszkowanych ludzi.

Już widać dno w dzbanach, ale po jednym starczy jeszcze. Komuś się pewnie troszeczkę zakurzyło w głowie, gdyż podnosi głos, ale to co mówi, jest prawdą. Wielki pisarz, pisarz ambitny nigdy nie wyrażał siebie, lecz epokę, syntetyzuje doświadczenia ludzi tej epoki, mówi im przy pomocy tego, co wiedzą, o tym, czego nie wiedzieli, lub tylko domyślali się, urlop od rzeczywistości w literaturze nie istnieje. Jeżeli nie rozumiesz epoki, to przynajmniej nie pisz, że jest niepojęta, jeżeli sam tkwisz w chaosie, jesteś rozsypany — nie twierdź, że właśnie taki jest świat. Nasz mówca podnieca się trochę, ale podzielałbym jego zdanie: jeżeli pisarz, świata, który go otacza, nie rozumie, to wcale jeszcze nie znaczy, że poznanie w ogóle jest niemożliwe.

Przy zmyślonym stole świątecznym rośnie temperatura, pojawiły się nowe dzbany wina. Nic tu po nas, dyskusja, jeśli jeszcze będzie się toczyć, z pewnością nie może być podana do publicznej wiadomości. A ta daleko ważniejsza, tycząca zadań, jakie może i powinna wypełniać nasza literatura, z pewnością nie wygaśnie i w roku, który nadchodzi.

JAN KOPROWSKI

Uroki pesymizmu

W największy podziw wprawiają mnie ci, którzy z żelazną konsekwencją i uporem realizują narzucony sobie system postępowania. Są to ludzie uporządkowani wewnętrznie, obdarzeni silną wolą i umiejętnością organizowania swojego czasu. Człowiek siejący wokół siebie chaos jest z pewnością osobnikiem o nie ustalonych poglądach któremu ciągłe rozterki i wątpliwości uniemożliwiają zaprowadzenie ładu i porządku we własnym życiu.

Kiedy w młodości studiowałem historię filozofii, najbardziej zdumiał mnie fakt, że Immanuel Kant całe życie spędził w Królewcu, nigdzie stamtąd nie wyjeżdżając i wiodąc żywot tak ustabilizowany, że aż trudny do wyobrażenia. Codziennie o godzinie szóstej po południu wychodził na spacer, a czynił to przez tak długie lata i z taką akuratnością, że sąsiedzi sprawdzali według jego wyjścia zegarki. Inny filozof, Artur Schopenhauer, po opuszczeniu Berlina osiadł na stałe we Frankfurcie nad Menem, gdzie w ciągu długiego czasu, bo aż do śmierci, jadał obiady w tej samej restauracji, przy tym samym stole i na tym samym miejscu. Goście, spożywający posiłki o tej porze, widzieli jak Schopenhauer po skończonym obiedzie czytał długo i skrupulatnie angielskie gazety, bowiem język ten znał wyśmienicie.

Słynny ten filozof niemiecki uchodzi za twórcę pesymistycznego poglądu na świat. I to jest prawda. Ale nie jest prawdą, że pesymizm oznacza totalne czarnowidztwo, nieuznawanie ciągłego postępu i tym podobne rzeczy. Schopenhauer nie byłby filozofem, gdyby zaprzeczał rozwojowi nauki i cywilizacji. Lecz jako człowiek, stojący na gruncie empirii i czerpiący wiedzę z doświadczenia, wiedział w jak niewielkim stopniu zmieniają się ludzie pod wpływem postępu techniki. Nauka postępuje naprzód, lecz ludzie po dawnemu są źli, samolubni, nieustępliwi. Działają pod przemożnym wpływem woli, a wola ich jest ślepa. Według Schopenhauera świat jest zły w swej istocie i nigdy nie będzie inny, to znaczy nie stanie się lepszy. Dlatego daremne i skazane na niepowodzenie są wszelkie reformatorskie i naprawcze wysiłki filozofów.

Ten potężny zastrzyk pesymistycznego poglądu na świat i życie nie powinien jednak wprawiać nas w rozpacz. Szczypta pesymizmu jest zawsze bardzo twórcza. Przeczytałem gdzieś kiedyś, że „optymiści piszą źle". A właśnie Schopenhauer pisał znakomicie, był wybornym stylistą, jednym z najlepiej piszących filozofów niemieckich. Czyli że wyznawana przez niego filozofia nie osłabiła w nim talentów i zdolności twórczych. Pesymista ogląda wszystko nie przez jedno, lecz przez kilka szkiełek, ocenia każdą rzecz wielokrotnie, dwa razy pomyśli, nim raz powie.

Skąd się biorą uroki pesymizmu? Dlaczego w młodości mojej i mojego pokolenia, kiedy to człowiek winien z wiarą i nadzieją patrzeć w przyszłość, pasjonowaliśmy się pesymistycznymi poglądami Schopenhauera? Może właśnie dlatego, że był to znakomity pisarz, wyrażający swoje myśli precyzyjnie i z niezwykłą jasnością. To przecież on, Schopenhauer, napisał, że styl niejasny ma swoje źródło w niejasnym, zagmatwanym myśleniu, a autorów dzielił na trzy kategorie: takich, co myślą przed przystąpieniem do pisania, takich, co myślą w czasie pisania, i wreszcie tych, co piszą w ogóle nie myśląc.

Uwodziła nas więc nie filozofia Schopenhauera jako taka, sama w sobie, lecz jej rezultaty twórcze, pisarskie, stała i usilna dążność do ścisłego i możliwie pięknego formułowania przeżyć, doświadczeń i obserwacji.

Po latach braku zainteresowania Schopenhauerem, zauważamy obecnie coś w rodzaju nawrotu do świata jego myśli. Na naszym polskim gruncie komentatorem i popularyzatorem Schopenhauera stał się Jan Garewicz, autor dwu pozycji poświęconych ojcu filozofii pesymizmu. Czytałem te rzeczy z prawdziwą przyjemnością, przypominając sobie dawne lektury, jak na przykład „Erystykę, czyli sztukę prowadzenia sporu", tłumaczoną ongi na polski przez Jana Lorentowicza. I nie chodzi o to, aby się godzić na wszystko, co proponuje Schopenhauer, i aby wszystko to akceptować (Garewicz też do tego nie namawia). Szczypta filozofii pesymistycznej działa jak łyk gorzkiego piołunu: przypomina, że życie nie składa się z samych radości, a historia nie staje się jedynie przedmiotem duchowej kontemplacji.

Jeśli Zacny i Szanowny Czytelnik będzie wszelako innego zdania, nie zgłoszę doń o to pretensji. Wiem przecież, że doświadczenia ojców nie są nigdy doświadczeniami ich dzieci. Na szczęście, lub niestety, zależy od punktu widzenia.

ROMAN ŁOBODA

Co nas czeka w 1971 r.

MOWA BĘDZIE O TEATRACH ŁÓDZKICH. Cóż, prorokować nie jest łatwo. Jak dotychczas wszystko, co widzieliśmy z repertuaru 1970/71 w teatrach łódzkich, to prawie same niespodzianki... Cokolwiek by się więc powiedziało o przyszłości na podstawie analizy teraźniejszości, będzie zalatywało wróżbiarstwem. Fachowy wróżbita nigdy się nie bawi w szczegóły, mówi w ten sposób, że może być i tak i inaczej — różnie, przeważnie jednak trafia w ukryte lęki i nadzieje swoich „klientów", intonacją i sugestywnością wymowy utwierdzając ich w tym, czego jest w nich najwięcej.

W polityce niektórych naszych teatrów sporo było improwizacji i dorywczości. Zatem wróżba pierwsza: czeka Was wiele niespodzianek w roku 1971. Miłych? I miłych i niemiłych. Zatem, gdy coś wyjdzie, bo talenty na ogół są, wiele radości będzie i wszyscy zakrzykną: widzicie, wy, co kraczecie — jest dobrze! Gdy zaś nie wyjdzie, to smutek, że aż szkoda mówić.

Wróżenie więc może się też przejawiać w działaniu, co jest grą niesłychanie pasjonującą i nader kosztowną, w odróżnieniu od wróżenia felietonowego.

Wytrawny i dobry „wróżbita" to osobnik nie tylko chytry i przezorny. W XX wieku wróżby nie utraciły wszystkich swych czarownych uroków, ale pewni uprzykrzeni pedanci zaczynają pytać o szczegóły. Zatem: skąd wiesz? Na czym się opierasz? Jaki sens? Jaki cel? Niesłychanie kłopotliwe, choć proste pytania. Każde z tych pytań ma co najmniej osiem głów pytających. Z takim wielopodzielnym „pytonem" współczesny wróżbita musi się zmagać w pocie czoła i już nie wystarczą wymijające, pięknie brzmiące i okrągłe kolorowe słowa, w których dawniej przyszłość się odbijała, jak Pytia chciała.

„Wróżbita" XX wieku to planista, ekonomista, artysta, uczony, polityk. Każdy z tych ludzi, innymi narzędziami się posługując, widzi przyszłość, usiłuje ją wydedukować z teraźniejszości, programuje. Szklaną kulę i czarnego kota wyparły księgi, instrumenty, automaty i współczesny aparat poznawczo-postulujący.

Najmniej wolny od improwizacji artysta, jeżeli jest odpowiedzialny za zespół środków materialnych i duchowych, za ich zgranie, właściwe użytkowanie, organizację, modelowanie, kształt artystyczny i funkcję społeczną, przestaje być wyodrębnioną i niezawisłą w improwizacji osobowością. Staje się organizatorem złożonego z wielu elementów organizmu sztuki. Myślę o dyrektorach i kierownikach artystycznych teatrów jako już nie wróżbitach, ale twórcach programujących przyszłość.

Po górnych słowach dolne, a przecie nie tak wytarte pytania:

Czy planowanie, przynajmniej roczne, repertuaru, to działalność twórcza? Czy modelowanie stylu scenicznego to działalność artysty? Czy realizacja założonej przez siebie formuły ideowo-artystycznej, to czynność pedantyczna i niegodna ręki kreatora?

Na te pytania odpowiedzieli twierdząco ludzie odpowiedzialni za całokształt życia teatralnego w Łodzi.

Bieżący sezon nie przyniósł jeszcze radykalniejszych zmian w systemie planowania i synchronizacji w działalności teatrów, chociaż szeroko i rzeczowo potraktowana informacja Wydziału Kultury PRN m. Łodzi zawiera szereg cennych postulatów w tej kwestii.

Nie chodzi, oczywiście, o sugerowanie wyboru i realizacji kształtu artystycznego scen łódzkich, idzie o to, żeby ten kształt w ogóle był, a realizacja była jego konsekwencją, żeby formuła teatralna była wykładnikiem wszystkich sił twórczych i materialnych instytucji artystycznej zwanej teatrem. Dorywczość gospodarowania talentami i środkami nie może służyć ich rozwojowi. Każdy artysta, nie tylko czynniki postulujące, chce wiedzieć i znać koncepcję twórczą swego teatru, żeby jego praca na scenie była istotnym i świadomym wkładem, sumą realizacji tej koncepcji. Żywy teatr to zespół ludzi, których styl kreacyjny i wizja twórcza łączy a nie rozdziela. Scena albo jest sumą osobowości aktorskich, albo, co częściej bywa, ze względu na dużą płynność kadr — miejscem, gdzie te osobowości kształtują się wedle idei artystycznej tej sceny.

To nie są zarzuty, to są życzenia świąteczne, a że „wróżby" już dziś nie można opierać na snach i fusach, śmiem wróżyć większości scen Łodzi lepszego Nowego Roku.

Niestety, nie wszystkim. Jest teatr w Łodzi, w którym program artystyczny uważa się za zło, wymyślone przez nudziarzy i doktrynerów. Niech go geniusz wielkiej improwizacji ma w swojej opiece.

KAROL BADZIAK

Sypialnia dla 60 tysięcy

TEOFILÓW — najmłodsze osiedle Łodzi ma już prawie 50.000 mieszkańców. Cóż można o nim powiedzieć? Powstało nieoczekiwanie w przyspieszonym tempie, w wyniku budowlanej eksplozji. Przed sześcioma laty szumiało tu zboże, dziś zwartymi szeregami stoją bloki i wieżowce. Mieszka w nich kilkanaście tysięcy rodzin przeszczepionych z zagęszczonego centrum. Niewątpliwie mieszkają lepiej, wygodniej i higieniczniej niż poprzednio. Osiedle może nie jest ewenementem architektonicznym, choć pod względem urbanistyki prezentuje się okazale mimo, że jest typowe, standardowe, wielkopłytowe. Dawniej takimi osiedlami szczyciono się w naszym kraju, dziś są one czymś naturalnym, weszły na stałe do pejzażu polskich miast.

Choć cienkie ściany bloków są akustyczne, sąsiedzi wcale się tu nie znają, prawie wcale nie utrzymują kontaktów, rzadko nawet pozdrawiają się w przejściu. Taki sam brak więzi towarzyskich i społecznych jak we wszystkich nowych osiedlach. Nic nowego czy specyficznego. Identyczne zjawiska, identyczne objawy notuje się w innych osiedlach, w innych miastach, na całym świecie. Ludzie są motni są tu jeszcze bardziej osamotnieni. Procesy integracyjne przebiegają wolno, z oporami, najszybciej wśród dzieci i młodzieży oraz emerytów.

Sprawy te są dość znane i już dawno opisane. Sądzę nawet, że się z nimi pogodzono, wychodząc z założenia, że działają tu jakieś automatyzmy, że tak być musi, że związane jest to bardziej ze współczesną cywilizacją niż z systemem społeczno-politycznym.

Niestety, brak trwalszych więzi społecznych rodzi bardzo ujemne skutki. Rzuca się szczególnie w oczy obojętny stosunek do wspólnego mienia, ba, żeby tylko obojętny. Nagminne kradzieże żarówek z korytarzy i piwnic, odkręcanie klamek i luster w windach, notoryczne wzajemne podkradanie sobie butelek z mlekiem przez lokatorów — to oczywiście tylko drobiazgi, lecz one właśnie stwarzają między mieszkańcami klimat podejrzliwości, nieufności i niechęci. Budowano początkowo w nowych blokach na Teofilowie boksy na motocykle. Właściciele zapalali motory wewnątrz tych pomieszczeń, powodując niesamowity hałas. W związku z tym część boksów zlikwidowano, nowych się w ogóle już nie buduje. Praktycznie większość mieszkańców osiedla pozbawiona została możliwości posiadania motorów.

W ubiegłym roku przed świętami Bożego Narodzenia zdarzały się wypadki wyrywania ze skwerków młodych świerczków na choinkę. Wypadki wandalizmu zwykło się przypisywać chuliganom, tutaj czynili to przywiązani do starej tradycji zwyczajni lokatorzy. Po Nowym Roku całe osiedle zaśmiecone zostało suchymi drzewkami, które normalnie wyrzucano oknem przed bloki. Nie wierzę, by ci sami ludzie w poprzednich miejscach zamieszkania podobnie postępowali.

A równocześnie spośród mieszkańców Teofilowa dość szybko wyłoniła się spora grupa aktywnych społeczników, działających w Radzie Osiedla i FJN. Cechuje ich zapał, oddanie i rzeczowość w pracy społecznej. Pracy tej mają raczej dużo, gdyż nowe osiedle nie jest doskonałe i ma jeszcze wiele potrzeb. Wszystko się tu rodzi od nowa, od podstaw trzeba budować całą organizację życia społecznego i kulturalnego. Osiedle zbudowane zostało prawie w całości przez RSM „Lokator". Doświadczenie i dorobek działaczy tej spółdzielni jest bezsprzecznie bardzo pożyteczny. Niemniej jedna rzecz jest dla mnie trochę dyskusyjna. Otóż każdy członek „Lokatora" otrzymując klucze od nowego mieszkania wpłaca obowiązkowo kaucję 300 zł jako ekwiwalent za pracę społeczną w wymiarze 30 godzin. Kaucja ma rzekomo mobilizować członków spółdzielni do czynów społecznych na swoim terenie. Mam niejakie wątpliwości, czy to jest najlepszy sposób. Wydaje mi się, że działa ona wręcz odwrotnie, demobilizuje, uwalnia od wszelkiego obowiązku. Rozumowanie ludzi jest proste: wpłaciłem więc mam spokój. O ile dobrze pojmuję sens pracy społecznej, to posiada ona walor moralny i wszelkie przeliczanie jej na walory finansowe — choć się coś takiego u nas utarło — deprecjonuje jej rangę. Obawiam się, że popychanie ludzi do pracy społecznej środkami finansowymi, choć z początku skuteczne, na dłuższą metę kształtuje postawy raczej aspołeczne. W każdym bądź razie sprawa jest dyskusyjna i tylko pozornie błaha.

Zaopatrzenie na Teofilowie, powoli, ale stale się poprawia. Obok wiaduktu powstaje ostatnio duży kompleks usługowo - gastronomiczny z restauracją o nieco dziwnej nazwie „Zulana". Oprócz baru mlecznego jest to jedyny lokal gastronomiczny w tej dzielnicy. Zaplecze i urządzenia kuchenne ma „Zulana" bardzo nowoczesne, lecz smak potraw raczej zniechęcający. Obsługa młoda, uprzejma, robi co może. Nie wróżę tej restauracji sukcesów kulinarnych, opartych na wypróbowanej recepturze ŁZG. W tym samym budynku mieści się również kawiarnia. Oba lokale duże, chłodne, nieprzytulne. Co najciekawsze, obok powstaje budynek baru szybkiej obsługi. Wszystko więc zlokalizowano na jednym krańcu osiedla, chyba nie z myślą o wygodzie mieszkańców. Wkrótce ma być oddany do użytku dom handlowy „Teofil" przy Traktorowej. Poprawi on zapewne w dużym stopniu zaopatrzenie osiedla.

Kiedy projektowano Teofilów mowa była o budowie domu kultury, zakrytych i odkrytych basenach, boiskach sportowych, kinie itd. Jak dotąd pozostało to wszystko raczej w sferze wizji architektów. Za dwa, trzy lata osiedle będzie liczyło 60.000 ludzi, to znaczy mniej więcej tyle co Pabianice. Wyobraźmy sobie Pabianice bez kin, domów kultury, boisk i telefonów. Prawda, trudno to sobie wyobrazić. A jednak taka jest rzeczywistość. Teofilów nie ma kina, domu kultury, klubów z prawdziwego zdarzenia, czytelni, nie wspominając już o telefonach. Biblioteka jest jedna w pomieszczeniu zastępczym. Skupia 1.700 czytelników, chętnych jest dwa razy tyle. Osiedle ma więc charakter typowej sypialni, co prawda dość przyjemnej i wygodnej, o zdrowszym na razie mikroklimacie niż centrum Łodzi, choć przy niesprzyjającym wietrze docierają tu wyziewy aż ze zgierskiej „Boruty". Położone na osi ulicy Aleksandrowskiej na przeciwko dzielnicy przemysłowej, nie odgrodzone żadnym pasem zieleni. Usytuowane jest chyba trochę za blisko tej dzielnicy. Wydaje mi się, że mogło być zlokalizowane o tysiąc metrów w głąb od ulicy Aleksandrowskiej. Ale stało się i jest to fakt nieodwracalny. Łódź jakoś nigdy nie miała szczęścia do planowania przestrzennego, perspektywicznego.

Odrębnym zagadnieniem osiedla jest komunikacja. Ponieważ dzielnica spełnia funkcję sypialni, połączenie komunikacyjne z innymi dzielnicami posiada tu istotne znaczenie. Obecnie bez zarzutu jest tylko komunikacja ze śródmieściem, choć i pod tym względem mieszkańcy osiedla postulują zwiększoną częstotliwość ruchu autobusowego oraz przedłużenie linii tramwajowych. Jeśli chodzi o tramwaje, to w najbliższym czasie kwestia zostanie rozwiązana, przystąpiono bowiem już do budowy nowej pętli obok szpitala im. Babińskiego, tak że chyba nic nie będzie stało na przeszkodzie, aby tramwaje linii „5" i „21" kursowały dalej niż do tychczas. Nie ma na osiedlu zebrania, by o tej sprawie nie wspominano. Jeśli idzie o linie autobusowe to postulaty mieszkańców są jeszcze bardziej radykalne. Chodzi przede wszystkim o bezpośrednie połączenie autobusowe z Dołami, z Dąbrową i z Rondem Titowa. Trasy tych linii domagają się w szczególności ludzie, którzy w tych kierunkach dojeżdżają do pracy. W tej chwili czas dojazdu w godzinach szczytu z Teofilowa na Dąbrowę wynosi niewiele mniej niż z Łodzi Fabrycznej do Warszawy. Oczywiście jest to rezultat ogólnie dość trudnej sytuacji komunikacyjnej w Łodzi, a nie jakiegoś wyjątkowego upośledzenia tej właśnie dzielnicy. Ale człowiekowi śpieszącemu rankiem do pracy świadomość ta niewiele jest pomocna.

Oczywiście, do pracy trzeba jechać, do kina, teatru, czy kawiarni — tylko można. Większość mieszkańców rezygnuje z zaspokajania potrzeb kulturalnych wyższego rzędu, ograniczając się wyłącznie do oglądania telewizji w domu. Biorąc pod uwagę brak na miejscu klubów, czytelni, kin, (istnieją na całym Teofilowie zaledwie dwa kluby młodzieżowe i jeden dziecięcy, wszystkie trzy w pomieszczeniach zastępczych), należy się obawiać, by nie ukształtował się tu jakiś typ domatora, zasiedziałego w czterech ścianach własnego mieszkania — człowieka pędzącego żywot jałowy, wegetatywny, a w perspektywie, nawet antyspołeczny.

W starej Łodzi znany był widok młodzieńców, wystających godzinami przed bramą lub w bramie. Na nowym osiedlu bram nie ma, młódź wieczorem zbiera się w klatkach schodowych, zimą wygrzewa pod kaloryferami, zabijając czas w sposób bezmyślny, bierny i głupi. A młodzieży jest tu dużo. Ponad 30 procent społeczności.

Moje wątpliwości i obawy nie biorą się z czarnowidztwa, lecz z troski o społeczne i obyczajowe konsekwencje wynikające z takiego modelu życia mieszkańców w osiedlu-sypialni. Osiedle jest nowe, a ludzie żyją tu po staremu.

Kilkudziesięciu społeczników Teofilowa robi co może, godzą nawet zwaśnione małżeństwa, sami wychodzą przed blok sadzić krzewy i róże, porządkują trawniki, a z kilkudziesięciu okien przyglądają im się biernie lokatorzy, czyniąc uwagi ironiczne i kpiące. Rzecz znamienna, że wśród społeczników Teofilowa najwięcej jest inżynierów. Rada osiedla im. W. Reymonta prawie w całości składa się z ludzi techniki. Jedynie Danuta Kamińska, przewodnicząca komisji społeczno - wychowawczej jest kierowniczką biblioteki. Jedynej, jak już wspominałem, biblioteki na osiedlu, której czytelnicy chętnie i dużo czytają, gorzej natomiast jest ze zwrotem książek. Też bardzo przykry objaw.

Do najaktywniejszych działaczy społecznych nowego osiedla należą m.in. Jan Grzesiak, Włodzimierz Tracz, Henryk Andrzejewski oraz przewodniczący RO — Chęciński i inni. Społeczeństwo Teofilowa bardzo wiele im zawdzięcza.

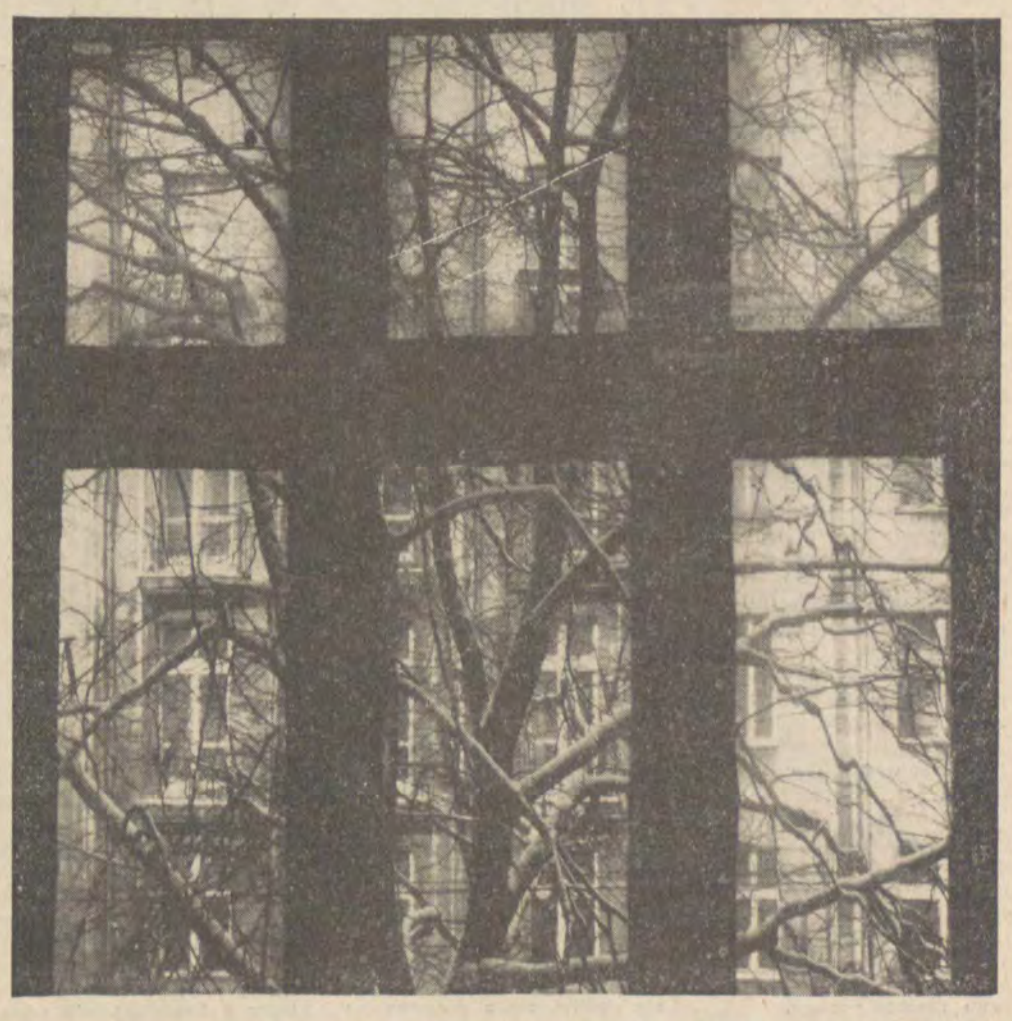

Święta za oceanem

Dalszy ciąg ze str. 3

W jednorodzinnych domkach, a właściwie przed nimi, zaczęły się pojawiać porcelanowe figurki zwierząt, drzewka obwieszano świecidełkami i lampkami. Malowano też okna kredkami i farbami.

Skoro wszedłeś między wrony...

Doszedłem do wniosku, że nie wypada ograniczyć się do skromnej, tradycyjnej choinki — zmajstrowałem też wieniec, kupiłem rumianego Mikołaja i zawiesiłem „:oto" na własnych drzwiach. Wyglądało głupawo, ale za to bardzo po amerykańsku.

* ✲ *

Wróciłem z biura wcześnie, jak to na wigilię. Przed domem spotkałem jednego z sąsiadów, z którym zawarłem już nieco bliższą znajomość. — Słuchaj, Harry — zagadnął mnie — może wpadniesz do nas wieczorem, pogramy trochę w karty... Szok był co się zowie — wigilijny wieczór, spędzany w rodzinnym gronie, wspólne pałaszowanie tradycyjnych przysmaków, a tu raptem zaproszenie na karty...

Postanowiłem nieco rozjaśnić swą skołataną głowę, więc odciągnąłem go na bok i zacząłem wypytywać o ich zwyczaje.

Cóż się okazało? Oni po prostu nie mają tradycji tego, co u nas nazywa się wieczerzą wigilijną. To normalny wieczór, jak każdy inny. Główny ceremoniał bożonarodzeniowy następuje podczas śniadania w pierwszy dzień świąt, kiedy to dzieciaki, po przebudzeniu, znajdują prezenty pod choinką, albo w wielkiej wełnianej pończosze, a potem rodzinka w komplecie zasiada do uroczystego śniadania. Wtedy właśnie króluje na stole indyk, bez którego, jak u nas bez szynki, nie ma Bożego Narodzenia.

Osobny rozdział to karty z życzeniami świątecznymi. W następnych latach spędzonych w USA przekonałem się, że stanowią one coś w rodzaju miernika popularności, zajmowanej pozycji towarzyskiej i społecznej. Każdy Amerykanin, u którego gościłem podczas świąt prowadził mnie zaraz na wstępie odwiedzin do choinki, pod którą leżały otrzymane karty, ułożone oczywiście w całej swej okazałości.

Niby od niechcenia pokazywał mi co ładniejsze, ale zawsze nadchodził moment, kiedy to, jakby na marginesie, dodawał: — W tym roku zebrało się tego prawie dwieście. W ubiegłym miałem tylko sto trzydzieści.

Musiał mi to powiedzieć — to znaczyło, że w ciągu roku zyskał kilkudziesięciu nowych znajomych, u tyluż uznanie i szacunek, a może nawet poważanie. Ja z kolei nie mogłem nie wyrazić swego podziwu i zdziwienia — gdybym przeszedł obojętnie obok tych jego zwierzeń, popełniłbym towarzyski nietakt i kwalifikowałbym się do wyrzucenia za drzwi.

Ale wracajmy do pierwszych świąt spędzonych w USA. Pojadło się w wigilię, gościło przyjaciół w pierwszy dzień świąt i nic też dziwnego, że rankiem drugiego dnia Bożego Narodzenia miałem nieco ciężką głowę. Obudziło mnie warczenie motorów parkujących przed domem. Wyjrzałem zdziwiony. Sąsiedzi uwijali się przy swych wozach, rozgrzewali je, oczyszczali ze śniegu. Kie licho, czyżby znów jakiś nie znany zwyczaj wczesnych wędrówek? Może pikniki za miastem? Ale przecież to zima!

Otworzyłem okno i mimo zimna wychyliłem się, by ich pozdrowić, stosownie do okazji, okrzykiem, który słyszałem od kilku już dni setki razy: — Merry Christmas — czyli Wesołych Świąt.

W odpowiedzi pomachali mi łopatami i miotełkami — dla nich było już po świętach, zaczynał się normalny dzień pracy. Wracając pod ciepłą kołderkę z zamiarem pospania sobie jeszcze odrobinkę, pomyślałem: Jak to dobrze być Polakiem i mieć, nawet w USA, dwa dni świąt. Chętnie na to zamienię ich indyka.

HENRYK WALENDA

„WIADOMOŚCI ODPISANE”

Nr 1 (i ostatni)

1.I.1900 – 31.XII. 1900 r.

Rozpanoszyło się jak zaraza przekonanie, że koniec kolejnego wieku jest zarazem końcem naszego świata. Wszakże dotychczasowe doświadczenie, czego dowodem najświeższy numer „Wiadomości Odpisanych”, uczy, że jest to przekonanie błędne. Co więcej, możemy zapewnić naszych abonentów, że rok 1900 widziany przez niektórych na kształt Apokalipsy, nie był ani szczególnie uciążliwy ani też nie wyróżnił się niczym ostatecznym i historia zna o wiele niebezpieczniejsze okresy, z którymi przychodziło się mocować cywilizacji.

Darowujemy Wam Szanowni Czytelnicy, zapatrzeni w wiek XXI, w kosmosy, atomy i lasery, maleńką próbkę tego, czym pasjonowano się siedemdziesiąt lat temu, maleńkie zwierciadło ruchu umysłowego, artystycznego i obyczajowego (bez żadnej tam, Boże broń, polityki) końca ubiegłego stulecia.

Chcemy abyście potraktowali wszystko jako zabawę i wyrażamy przekonanie, że znajdziecie na łamach naszego czasopisma dość rozrywki, przy której zapomnicie na chwilę o rozkoszach suto zastawionego stołu.

Jednocześnie ślemy Wam nasze (ostateczne) życzenia Wesołych Świąt i jeszcze lepszego Nowego Roku.

PS. Prenumeratorzy „Wiadomości” jako premium otrzymać mogą listownie (po przedstawieniu odcinka prenumeraty) fachowy komentarz na temat wydarzeń międzynarodowych w r. 1900.

Kronika wypadków

Spotkanie się pociągów pod Włochami

Znajdowałem się w wagonie kl. II, pociągu nr 74, który na kilkanaście minut przed jedenastą wyszedł z przystanku Włochy i dążył wolno w stronę Warszawy. Po jakich dwóch minutach jazdy usłyszałem straszliwy trzask i uczułem silne wstrząśnienie, które obaliło mnie na podłogę.

W głębokim rowie leżały dwa wagony spiętrzone jeden na drugim. Pod spodem brankard z rozbitą ścianą, przez której otwór widać było dwie nogi w butach z cholewami: nogi konduktora zabitego na stanowisku.

Wtem ujrzałem na szczycie piantu kolegę GADOMSKIEGO, redaktora „Gazety Polskiej”.

— Jechałem z Warszawy, tam jest moja siostra, trzeba ją ratować.

Z Warszawy? A więc to było spotkanie pociągów, spotkanie w biały dzień! — myślałem biegnąc z Gadomskim na drugą stronę nasypu, gdzie leżały szczątki, a właściwiej mówiąc, wióry z wagonów I i II klasy, w które uderzyła lokomotywa naszego pociągu.

Dobiegliśmy do rozbitego wagonu, spod którego wydobywał się powieściopisarz REYMONT, pracując pokrwawionymi rękoma. Obok płonął wielkim, czerwonym, ale już spokojnym płomieniem gaz, wydobywający się z pękniętego zbiornika wagonowego. Gaz zapalił się widocznie od lokomotywy, i wybuchając w pierwszej chwili osmalił Gadomskiego i Reymonta. Na polu manej podłodze leżał trup młodej kobiety przywalony aksamitnymi ławkami i poduszkami, oraz tłumokami.

— To siostra Gadomskiego — powiedział Reymont — trzeba ją stąd wydostać.

Przy pomocy brata i dwóch robotników wydobyliśmy ciało panny Gadomskiej. Po jakich dwudziestu minutach przyjechał parowóz i przywiózł grono licznych dygnitarzy, ale ani jednego lekarza. Dopiero na drugim parowozie spostrzegliśmy niebieskie czapki lekarzy i sanitariuszów „Pogotowia”, które powitano okrzykami radości. Gadomski był tak zgnębiony śmiercią siostry, że nie czuł obrażeń fizycznych, które, jak się później okazało, były bardzo poważne. Stał w milczeniu, wsparty o ścianę domku dróżniczego i patrzył ponurym wzrokiem przed siebie. Reymont również zdawał się spokojny i nie skarżył się z początku na nic; dopiero po jakiejś godzinie, kiedy podniecenie minęło, nastąpiła gwałtowna reakcja. Uczuł się tak osłabionym i rozbitym, że zdecydował się jechać pod opieką „Pogotowia” do Warszawy, do szpitala praskiego.

Sztuki plastyczne w ofensywie

Otwarcie galerii „Zachęty”

Nareszcie sztuki plastyczne doczekały się własnej siedziby i nie będą już, niby kopciuszek społeczeństwa, wycierały kątów zamożniejszych krewnych. Dzięki życzliwym ustępstwom magistratu, który udzielił placu, zapobiegliwości Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych oraz pracy fachowej architekta pana Szyllera powstał gmach okazały, na którym już bez wszelkich zastrzeżeń wypisać można było: „Aribus”, w którym istotnie sztuki zapanują wyłącznie, niepodzielnie, a malarstwo nasze, rzeźba i architektura znajdą przecież najniezbędniejsze warunki wygody i komfortu.

A kiedy u nas?

Cudowne dziecko

Nowe cudowne dziecko zwraca obecnie powszechną uwagę w Paryżu: Pepito Rodriguez Anola, rodem z Hiszpanii jest nie tylko wirtuozem fortepianistą, lecz i kompozytorem, a ma zaledwie lat trzy i cztery miesiące. Przed rokiem mniej więcej, a zatem mając 2 i pół lata Pepito wdrapał się pewnego dnia na taboret przed fortepianem i zaczął wygrywać ustępy z sonaty Beethovena, którą matka jego przed chwilą była ukończyła. Odtąd fortepian stał się ulubioną rozrywką malca, który stopniowo zaczął improwizować i komponować.

Chwilowo przebywa Pepito w Paryżu, gdzie przedstawiony na kongresie psychologów wprawił w zdumienię obecnych uczestników obrad. Nie umie on oczywiście czytać nut, nie ma pojęcia o harmonii, trudno zatem pojąć, w jaki sposób może wykonywać utwory muzyczne, i to we właściwym takcie, z odpowiednim rytmem i wyrazem. Zresztą jest dzieckiem inteligentnym, ale bynajmniej nie nadwiek rozwiniętym. Członkowie kongresu psychologów zajęli się żywo tym niezwyklę genialnym malcem, który może wyrosnąć zarówno na Mozarta jak i na pospolitego wirtuoza.

W pracowniach artystów

LITERATURA: Artysta - malarz Wyspiański w Krakowie kończy obecnie nową sztukę teatralną, której główną postacią będzie Adam Mickiewicz. Rzecz dzieje się w Rzymie w 1848 r., a jeden akt rozgrywa się w katakumbach. Sztuka będzie wystawiona najpierw na scenie lwowskiej, pod kierownictwem p. Pawlikowskiego.

PLASTYKA: Wojciech Kossak powrócił do Berlina z wycieczki, którą w celach studiów artystycznych przedsięwziął do Egiptu dolnego. Obecnie pracuje Kossak nad obrazem wystawiającym epizod z niemieckich walk o niepodległość.

MUZYKA: Ignacy Paderewski przebywa obecnie w willi swojej nad Jeziorem Genewskim, gdzie śród odpoczynku pracuje po kilka godzin dziennie nad wykończeniem opery. Pierwsze to dzieło sceniczne znakomitego artysty ma być w ciągu zimy wystawione w Dreźnie.

Zagadka dla nauki

Życie jest snem

Przed rokiem mniej więcej obiegła prasę zagraniczną wiadomość, że oficjalista kolejowy Dittrich, który w Nausslitz pod Dreznem w r. 1882 był podczas wypadku kolejowego poszkodowany (rany głowy i kontuzje) nie został jeszcze wyleczony z tajemniczej choroby i pogrążony w głębokim śnie, żyje już 17 lat.

Lekarze stanęli wobec niezgłębionej zagadki, stawiali i odrzucali kolejno wszelkie istniejące diagnozy. Nagle w ubiegłym miesiącu powstała wieść, w jaki sposób trudno sprawdzić w tym wypadku, jak zresztą przy każdej plotce, że Dittrich jest symulantem, oszustem wyzyskującym zarząd kolejowy (który mu wyznaczył pensję) i dobroczynność publiczną która go hojnie zaopatrywała w datki.

Wieści doszły do wiadomości władz.

Dr Quenzel, leczący chorego, wezwał wobec tego grono lekarzy i przedstawicieli prasy drezdeńskiej do mieszkania Dittricha w Nausslitz i tu wszyscy mogli się przekonać, że chory symulantem nie jest; stosowano różne środki, między innymi tak silny prąd elektryczny, że gdyby chory istotnie symulował, ciało jego musiałoby reagować.

Wobec tego lekarze uznali symulację za wyłączoną. Nie stłumiło to jednak plotek. Doprowadzona wreszcie do ostateczności żona Dittricha zastrzeliła męża, a sama powiesiła się, pozostawiwszy list, w którym wyjaśnia, że złość ludzka zniewoliła ją do rozpaczliwego czynu.

Z życia wyższych sfer

Historia współczesnego małżeństwa

Poznali się, grając w lawn-tennis,
oświadczyli sobie miłość przez telefon,
zaręczyli się telegraficznie.
Pojechali do ślubu na rowerach.
Podróż poślubną odbyli na automobilu.
Dowiedli sobie zdrady za pomocą kinematografu.
Rozwiedli się w balonie.

Przygotowania do jubileuszu Sienkiewicza

Komunikat Komitetu Organizacyjnego

Na ostatnim posiedzeniu komitetu jubileuszowego skarbnik p. Julian Wieniawski zawiadomił, że do dn. 25 września ze składek zebrano 70.315 rubli 89 kop, z których na kupno Oblęgorka i różne roboty wydano 51.249 rubli.

Do tej pory, mimo kilkakrotne wezwania, nie zwrócono 196 list składkowych. Uroczysty obchód jubileuszu urządzony będzie około Świąt Bożego Narodzenia. W dniu tym odbędzie się nabożeństwo w kościele, prawdopodobnie św. Krzyża i wręczenie aktu darowizny w sali ratuszowej, czym zajmą się J. E. ks. biskup Ruszkiewicz i ks. Chełmicki.

Wieczorem odbędzie się przedstawienie w teatrze Wielkim, którego urządzeniem zajmą się pp. Fr. Ejsmont, M. Gawalewicz, Edward Lubowski i Julian Wieniawski (Jordan).

Bilety na to przedstawienie publiczność będzie mogła nabywać w Komitecie.

W hołdzie Słowackiemu

Tablica pamiątkowa

W Warszawie doczekał się autor „Króla Ducha” pierwszego publicznego pomnika — pomnik w Miłosławiu bowiem stoi w parku prywatnym. W dniu 26 listopada odbyło się w kościele Św. Krzyża uroczyste poświęcenie tablicy pamiątkowej, ufundowanej przez p. HALINĘ TOKARZEWSKĄ.

Roboty rzeźbiarskie koło tablicy wykonał p. Jan Woydyga, portret zaś poety na blasze miedzianej wymalował p. Bronisław Wiśniewski, opierając się na materiałach ze zbiorów Leopolda Meyeta.

Tablicę, niestety, zawieszono tak wysoko, że nie widać jej szczegółów.

Polonica

„Quo vadis” na scenie

Jak wiadomo aktor i autor dramatyczny angielski Barrett przerobił romans Sienkiewicza „Quo vadis” na dramat i prawo własności tej przeróbki na Królestwo Polskie przelał na kasę literacką. Od kasy literackiej nabył to prawo dyrektor wodewilu p. Dobrzański, który, nie szczędząc kosztów, wystawił „Quo vadis” na scenie swego teatru z wielkim powodzeniem. Rzecz prosta, że zamknięcie akcji olbrzymiego romansu w ciasne ramy dramatyczne nie mogło się obyć bez znacznych skróceń i przeróbek, ale sztuka mimo to sprawia dobre wrażenie i przyznać należy, że odegrana została doskonale.

Śmierć wielkiego filozofa

Fryderyk W. Niełzsche

Zmarł Fryderyk Wilhelm Nietzsche, filozof, ur. 1844 w Rocken pod Luetzen. Kształcił się w Bonn i Lipsku. W 1869 został profesorem filozofii klasycznej w Bazylei, ze stanowiska tego ustąpił w 1879 z powodu choroby nerwowej, która w 1889 w połączeniu z przepracowaniem i nadużyciem środków nasennych, wpędziła go w obłąkanie. Od 10 lat przeto Nietzsche przestał żyć dla świata i wegetował nie wiedząc nic, jaką rewolucję w umysłach młodzieży europejskiej wywołały jego dzieła, wśród których największą popularnością cieszyły się „Also sprach der Zarathustra”, „Jenseits von Gut und Boese” i „Zur Genealogie der Moral”.

22 grudnia 1900 r. w Warszawie

Jubileusz wielkiego Polaka

Jeżeli jubileusze zasłużonych literatów nie są w Warszawie rzadkością, to jednak obchód 25-letniego jubileuszu SIENKIEWICZA przybrał z wielu względów cechę uroczystości wyjątkowej. Złożyło się na to, prócz osobistych zasług jubilata, nad którymi zatrzymywać się dłużej nie potrzebujemy, wiele okoliczności.

W jubileuszu Sienkiewicza brało udział nie grono przyjaciół, zwolenników itp., lecz całe społeczeństwo nasze, a pośrednio i cały świat cywilizowany. Nad książkami Sienkiewicza bowiem, jak pięknię powiedział Prus w „Kuryerze Codziennym”, nie zachodzi słońce.

Po odśpiewaniu przez mieszany chór „Lutni” pieśni do znanych słów Sienkiewicza „Wierzcie rycerze” przemówił treściwie J. Eks. biskup Ruszkiewicz i wręczył jubilatowi akt własności Oblęgorka. Potem cztery małe, biało ubrane dziewczynki prowadzone przez uczestników Kasy, pełniących służbę honorową, podały Sienkiewiczowi cztery olbrzymie, oprawne w pergamin księgi z podpisami hołdowników i hołdowniczek jubilata. Następnie zaczęła się milcząca defilada 28-u delegacji. Po ukończeniu tej uroczystej ceremonii przemówił sam jubilat.

„WIADOMOŚCI ODPISANE”, (z „Tygodnika Ilustrowanego”)
Redakcya: JERZY DARNAL, Administracya: takowej brak.
CZASOPISMO UKAZUJE SIĘ RAZ NA ZAWSZE.

JULIAN SYMONS

Noc sylwestrowa

— Bez wątpienia Gertie Harvey zachowała się niewłaściwie i nic dziwnego, że Alvin Harvey tak ostro zareagował — tłumaczyła detektywowi pani Broom. — Jak wiadomo zawsze w wigilię Nowego Roku urządzam przyjęcie dla rodziny. Mój siostrzeniec Alvin przyjeżdża z żoną Gertie. Myślałam, że są dobranym małżeństwem, oboje kochają Berta...

— Bert? Kto to jest?

— Ich synek, ma trzy lata, jest słabo rozwinięty. Uwielbia ojca, krzyczy, gdy dotyka go inny mężczyzna. Mieszkają w lasach Suffolk, w domu bez żadnych wygód, czy to nie okropne?

— Pani Broom — przerwał detektyw Francis Mallard — co ja mam uczynić w tej sprawie?

— Co? Przecież to jasne: znaleźć Alvina. W noc noworoczną gdzieś zniknął i nikt go odtąd nie widział. Wczoraj otrzymałam list od Gertie.

Mallard długo jeszcze musiał słuchać chaotycznego opowiadania, nim się dowiedział, co zaszło owej nocy. Pani Broom, wdowa po oficerze, zwykle w wigilię Nowego Roku zaprasza dwadzieścia osób z najbliższej rodziny. Gertie i Alvin z synkiem przyjechali autem z Suffolk wraz z dalekim kuzynem Gertie — Tomem. Tom przyleciał z Australii i zamieszkał u nich. I właśnie Tom stał się przyczyną skandalu.

— To dzikus — oburzała się pani Broom — mówi strasznym akcentem australijskim. Jest tego wzrostu co Alvin, lecz brzydszy. Nie wiem, co Gertie w nim widzi. Całą noc flirtowała z Tomem w skandaliczny wprost sposób. Alvin trochę wypił i nie ukrywał złego humoru.

Krytyczny punkt nastąpił o północy, gdy podano gorący poncz i goście zaczęli składać sobie życzenia. Gertie odsunęła się od Alvina i gdy biły dzwony na powitanie Nowego Roku, znalazła się w objęciach Toma, całując go namiętnie. Tego już Alvin nie mógł znieść. Zbliżył się do nich i wymierzył policzek swej żonie. Tom próbował schwycić go za ramię, lecz i jemu dostało się mocne uderzenie pięścią.

W tym momencie usłyszano płacz małego Berta. Alvin poszedł na górę, żeby uspokoić dziecko. Nie wrócił już na zabawę, wszyscy myśleli, że się położył do łóżka.

Nad ranem goście się rozjechali, lecz państwo Harvey i kuzyn mieli przenocować u pani Broom. Gertie wróciła do pokoju ciotki i powiedziała, że Alvina nie ma na górze.

— To się zdarzyło dwa tygodnie temu — opowiadała dalej pani Broom. — Alvin został sprowokowany, myśleliśmy, że spędził noc w jakimś hotelu a potem wrócił do domu. Tymczasem dostałam ten list.

Detektyw przeczytał list, był pisany w pośpiechu: „Caule House-Moldringham-Suffolk. 12 styczeń. Droga ciociu Broom, czy widziałaś Alvina? Nie mam o nim wiadomości od Nowego Roku. Martwię się. Napisz kilka słów. Całuję cię. Gertie."

— Czy pani do nich telefonowała?

— Telefonować? Mój drogi, nie mają telefonu, ani prądu, ani bieżącej wody. Alvin stracił wszystkie pieniądze na urządzenie szkoły jazdy konnej. Konie zachorowały i musieli je zastrzelić. Od tego czasu Harveyowie pracują na roli i cierpią biedę.

— Czy Alvin pisał do pani?

— Ani słowa. — Wzięła jedną z fotografii, które stały na pianinie. — Oto on, zdjęcie sprzed roku.

Detektyw zobaczył przystojnego mężczyznę, około trzydziestu lat. — A Tom? — zapytał.

Pani Broom westchnęła. — Nic o nim teraz nie wiem. Gertie mnie rozczarowała, wydawało mi się, że jest bardzo zakochana w swym mężu.

Mallard nie bardzo wierzył w odnalezienie Alvina. Wielu jest mężów, którzy opuszczają żony. Postanowił, że nie będzie się tym zajmował dłużej niż kilka dni.

Potem pojechał do Suffolk.

Maldringham leży o trzy kilometry od stacji kolejowej. Detektyw poszedł pieszo, gdyż nie było taksówki. Przybywszy wreszcie do miasteczka wstąpił najpierw do baru. Był tam tylko jeden klient i właściciel. Detektyw zamówił duży kieliszek whisky.

— Pan chyba nie tutejszy? — zapytał właściciel.

— Tak. Szukam Caule House. Czy to daleko stąd?

— Dobry kawałek drogi. Trzeba przejść całe miasteczko. Pójdzie pan tą ulicą, przed kościołem trzeba skręcić na lewo, potem na prawo zobaczy pan farmę, należy ją minąć i iść prosto do wywieszki „Caule House". Czy pan szuka pani Harvey?

— Tak.

— Bo paną Harveya nie ma w domu.

— Skąd pan wie?

— Już od kilkunastu dni nie widzimy go, dawniej często przychodził tu na piwo. Dwa dni temu zjawiła się jego żona i zapytała: „Bill, czy pan nie spotkał mojego męża? Ostatni raz widziałam go w noc sylwestrową i odtąd gdzieś zniknął." „Nic nie wiem" — odpowiedziałem.

— Jednak nie jest sama — wtrącił klient. — Ma gościa, kawał chłopa z wąsami i brodą. Ten nie przychodzi do miasteczka, pewnie ma tam wszystko, co mu potrzeba. Joe ich widział, jak płynęli kajakiem...

— Cicho, George! — upomniał go właściciel.

Mallard zdał sobie nagle sprawę, że to wszystko jest poważniejsze, niż sprzeczka między żoną a mężem...

Przybywszy do Caule House zobaczył skromny dom z czerwonych cegieł stojący pośrodku łąki. W jednym z okien na parterze błyszczało słabe światło. Zapukał mocno do drzwi.

— Kto tam? — zapytała kobieta wystraszonym głosem.

— Francis Mallard. Przysyła mnie pani Broom. Chodzi o pani męża.

Kobieta otworzyła drzwi i zaprowadziła gościa do salonu. Na kominku paliły się szczapy drewna, lampka oliwna dymiła.

— Czy pani Harvey?

— Tak, to ja. — Miała przyjemny głos, była bardzo ładna. Nosiła spodnie podarte na kolanach i za duży sweter. Zapytała: — Czy Alvin pokazał się u cioci Broom?

Mallard potrząsnął przecząco głową. — Nic o nim nie wiadomo. Dla tego przysłała mnie tutaj. Jest bardzo zmartwiona.

— Nie tylko ona. To dla mnie za bójcze prowadzić cały dom bez gospodarza. Nie wiem co bym zrobiła, gdyby mi Tom nie pomagał. Czy mogę prosić o papierosa?

Detektyw szukał papierosów w kieszeni gdy nagle za jego plecami odezwał się głos: — Trzymaj! — Papieros poleciał w kierunku Gertie. Człowiek, który go rzucił, siedział w fotelu w kącie pokoju i uśmiechał się.

— Mój kuzyn Tom Grainger — wyjaśniła pani Harvey. — Przyjechał mnie odwiedzić.

— Miło mi pana poznać — rzekł mężczyzna. Mówił z akcentem wyraźnie australijskim. Nie podniósł się.

— Dlaczego pan się interesuje tą sprawą? — zapytała Gertie.

— Jestem prywatnym detektywem.

— Nie widzę, żeby tu coś było do śledzenia. Pokłóciliśmy się i Alvin odszedł. To wszystko. A teraz jestem bez męża, bez pieniędzy, mam dziecko i długi do płacenia.

— Czy tak się już kiedyś zachował?

— Nigdy. Pogniewał się z powodu Toma — rzekła z ironią. — Bywał czasem zazdrosny, to głupie.

— Czy ma z sobą pieniądze?

Myślała przez chwilę a potem rzekła powoli: — O ile wiem, to nie ma.

Z głębi swego fotela Tom Grainger rzekł spokojnie: — Mam ochotę na filiżankę herbaty, myślę, że i pan Mallard też by się napił.

— Postawię wodę na ogniu — rzekła Gertie.

— Czym pan się zajmuje? — zapytał detektyw po odejściu pani Harvey.

— W Queensland prowadziłem hodowlę owiec. Sprzedałem je i postanowiłem podróżować. To są moje pierwsze od wielu lat wakacje. Chciałem zobaczyć ojczyznę i Gertie.

— Kiedy pan tam wróci?

— Może nigdy. Czy sugeruje mi pan, że powinienem odjechać?

— W miasteczku ludzie plotkują.

— Co mnie to obchodzi. Staram się tu pomagać, czy to coś złego?

— A co pan robił w noc sylwestrową, że doszło do awantury?

Nim Grainger zdołał odpowiedzieć, z pokoju na górze doszedł płacz dziecka. Zerwał się z fotela i pobiegł na piętro schodami, które prowadziły z salonu.

Gertie przyniosła herbatę. Gdy nalewała ją do filiżanek detektyw zauważył, że drżą jej ręce.

Dziecko uspokoiło się, Tom wrócił do salonu. Przechodząc obok kobiety pocałował ją w policzek. Potem zagłębił się w fotelu.

— Pan Mallard powiedział przed chwilą, że w miasteczku plotkują z mojej przyczyny. Uważa, że byłoby lepiej, gdybym sobie odjechał. Co o tym myślisz?

— Wszystko mi jedno, co zrobisz! — krzyknęła Gertie. — I nie obchodzi mnie także, co robi Alvin. Chcę tylko, żebyście zostawili mnie w spokoju!...

Powróciwszy do Londynu detektyw zadzwonił do pani Broom.

— Sprawa Harveya, nie wiemy, co z tym robić! — krzyczał do słuchawki Rogers. — Ta czarownica ubezpieczyła go na trzydzieści tysięcy funtów!

— Wypłacicie?

— Jeszcze nie, ale jeżeli nie wykażemy, iż ona zabiła, będziemy zmuszeni wypłacić sumę asekuracyjną. Na pewno ona i ten jej skarb kuzyn australijski zabili go w noc sylwestrową.

— Nie zapominaj, że Alvin odszedł sam.

— Więc może dzień później, w Suffolk.

— Nikt go nie widział w Suffolk.

— Nie wiem, jak było, ale faktem jest, że mu zmasakrowali głowę, to diabelska robota. Policja twierdzi, że przywiązali go do skalnego dna morskiego i trzymali tam przez wiele dni. Potem wyrzucili na brzeg, ponieważ zwłoki były potrzebne dla uzyskania asekuracji.

— Czy zwłoki zostały zidentyfikowane?

— Żona go zidentyfikowała bez chwili wahania.

— A co się stało z kuzynem?

— Widzę, że nie jesteś poinformowany o najważniejszych sprawach, mój przyjacielu. Kuzyn zwiał. Chcę, abyś mi go odnalazł.

Następnego dnia detektyw udał się do znajomego kapitana policji Josepha Greena. Kapitan potwierdził to, co mówił Rogers.

— Ja myślę, że sprawa miała następujący przebieg. W dzień Nowego roku Tom i Gertie z dzieckiem powracali autem do Suffolk. Spotkali w drodze Alvina, który postanowił pogodzić się z żoną. W jakimś momencie tego dnia zabili go...

— Czy pan ma jakieś dowody?

— W domu nic nie znaleźliśmy. Mieli przecież dość czasu, aby zatrzeć ślady krwi, mogli go także

— No i co pan wykrył? — zainteresowała się staruszka.

— Byłem u Gertie Harvey, nie ma pojęcia, gdzie znajduje się jej mąż. Nie będę dalej prowadził śledztwa.

— Czy ten mężczyzna jest tam jeszcze?

— Tak. Na pani miejscu porozumiałbym się ze Scotland Yardem.

— Czyżby pan myślał, że...

— Myślę, że należy donieść policji o zniknięciu Alvina Harveya, bo jego żona tego nie zrobi...

Następnego dnia, dowiedział się, że jego sekretarka przyjęła pilne zlecenie towarzystwa nawigacyjnego w sprawie kradzieży w kabinach pasażerskich jednego ze statków.

W czasie pobytu na statku był tak zajęty, że nawet nie czytał prasy. Wiadomości, które po powrocie do Londynu otrzymał od sekretarki, zaskoczyły go.

— Pana klient, zaginiony mąż, znalazł się.

— Jaki mąż? Ach, Harvey! Czuje się dobrze?

— Nie żyje, roztrzaskano mu głowę. Pan Rogers, dyrektor agencji ubezpieczeniowej chce koniecznie z panem rozmawiać.

— Proszę mnie z nim połączyć.

Mallard już nieraz pracował dla Rogersa i przyjaźnił się z nim.

— Hallo, Rogers, co nowego?

zabić gdzie indziej. Gertie przysięga, że Alvin nie powrócił do Caule House. Tymczasem nie mamy żadnych dowodów, że kłamie. Czy pan zna Toma?

— Tak, widziałem go przez kilka minut.

— Przypuszczam, że niechcący przyczynił się pan do jego ucieczki. Odszedł następnego dnia po pańskiej wizycie. Wsiadł do londyńskiego pociągu, przypuszczam, że wyjechał z kraju, a Gertie na pewno za kilka miesięcy uda się za nim do miejsca, w którym nie obowiązuje ekstradycja. Trzymamy pod obserwacją telefon. Gertie przyjechała do Londynu do swej ciotki. Otwieramy jej korespondencję, jest stale pod kontrolą. Lecz nie możemy tego robić w nieskończoność.

— Co o tym wszystkim mówi pani Broom?

— Nie pozwala na żadne słowo przeciw Gertie, utrzymuje, że tylko kuzyn mógł zawinić...

Mallard wrócił do biura. Sekretarka Molly przyniosła mu kilka listów do podpisania. Potem rzekła: — Chciałabym zwrócić panu uwagę na coś, co mi się teraz przypomniało. Opowiadał mi pan o tym po powrocie z Suffolk.

— Proszę bardzo!

Gdy skończyła mówić detektyw spojrzał na nią z podziwem. — Jeżeli to jest słuszne, na pewno będą próbowali porozumieć się. Od jutra zajmie się pani śledzeniem tego domu. Krąży tam także policja.

Gertie Harvey była inteligentna i na pewno domyślała się, że jest pod nadzorem policji. Dom pani Broom znajdował się w pobliżu parku Kensington i Gertie często wychodziła z dzieckiem na spacer. Molly chodziła za nimi po parku, jeździła razem autobusem. Przesiadywała w pobliskim barze łykając niezliczone ilości kawy i obserwując dom pani Broom. Nie zauważyła, aby Gertie z kimś rozmawiała lub spotykała się. Nocami zastępowała Molly agentka towarzystwa ubezpieczeniowego. Policja zapatrywała się sceptycznie na możliwość spotkania się Gertie z Tomem. Nie wierzyła także w koncepcję Molly.

Pewnego dnia, w miesiąc po rozpoczęciu obserwacji domu pogoda się zmieniła, świeciło słońce, niebo wybłękitniało. Rano o 8 listonosz przyniósł paczkę listów, które na pewno otworzyła przedtem policja. O 10 pani Broom wyszła z domu. O 11 przyjechał jakiś robotnik, zsiadł z roweru, wyjął z furgonetki składaną drabinę i ustawił ją przy murze domu. Na furgonetce była tabliczka z napisem: „R. Smith — Czyszczenie szyb". Człowiek wszedł na szczyt drabiny i zaczął czyścić szyby na ostatnim piętrze.

Molly spacerowała po drugiej stronie ulicy przyglądając się wystawom, które znała już na pamięć. W jednym ze sklepów sprzedawano artykuły skórzane: torebki, portfele... Nagle w jej mózgu zabrzmiał dzwonek alarmowy — skóra zamszowa! Podniosła wzrok na czyściciela. Spryskiwał szyby płynem z butelki i wycierał je szmatą. Nie używał zamszu! A przecież słyszała, że specjaliści używają tylko zamszu.

Obserwowała dalej mężczyznę, lecz była zbyt daleko, aby mu się przyjrzeć dokładnie. Stał odwrócony do niej plecami. Nagle pojawiła się za szybą twarz małego Berta. Czyściciel otworzył okno, wyjął z kieszeni kawałek papieru i włożył do ręki dziecka.

Molly przeszła powoli przez ulicę. Mężczyzna spojrzał w dół, zobaczył ją. Chciał zamknąć okno, lecz nie mógł tego zrobić, ponieważ dziecko wysunęło głowę i coś do niego mówiło. Molly usłyszała słowa: „Tatusiu, tatusiu!". Dziecko znalazło się prawie na parapecie, za małym pokazała się twarz przerażonej Gertie. Nieznajomy wyciągnął ręce i podał dziecko matce. Cofając się do tyłu stracił równowagę i spadł z drabiny.

Molly krzyknęła przeraźliwie. Z ulicy nadbiegł policjant. Odwrócił nieruchome ciało. — Nie żyje! — Potem zdziwiony przyjrzał się bliżej zmarłemu. — Ależ to nie ten, którego szukamy! To jest Alvin Harvey!

Gdy później, w gabinecie Rogersa omawiano przebieg wydarzeń, najwięcej miał do powiedzenia Francis Mallard.

— Odgadliśmy fakty, ale nie człowieka. Gertie i Alvin bardzo się kochali, lecz byli bez pieniędzy. Gdy przyjechał z Australii kuzyn, bardzo podobny z sylwetki do Alvina, postanowili zainscenizować kłótnię w noc sylwestrową. Wszystko zostało dobrze zorganizowane. Zabili go, żeby zainkasować premię asekuracyjną. Potem Alvin „wcielił się" w Toma i przebywał w Caule House. Aby pułapka chwyciła, należało udawać, że Alvin jest zabity, a Tom żyje.

W pewnym momencie doszedłem do przekonania, że Alvin żyje. Pomyślałem, że zechce na pewno zobaczyć dziecko i przesłać Gertie jakieś zlecenie. Jak wiemy, wynajął ekwipunek czyściciela szyb i wsunął do domu list, w którym zawiadomił żonę, że kupił bilety do Brazylii.

— W jaki sposób przekonał się pan, że to Alvin?

— To jest zasługa Molly, która zwróciła uwagę na pewien szczegół. W czasie przyjęcia sylwestrowego, gdy Bert zaczął płakać, Alvin poszedł na górę, żeby go uspokoić. Pani Broom powiedziała mi, że dziecko krzyczy, gdy jakiś obcy mężczyzna, chce je wziąć na ręce. Gdy byłem w Caule House i mały płakał, rzekomy Tom Grainger pobiegł na piętro, aby go uciszyć. A później, na koniec, właśnie dziecko go poznało i zdradziło.

Pan Rogers zatarł ręce z radości na myśl o tym, ile pieniędzy zaoszczędziło towarzystwo ubezpieczeniowe. Dla niego Nowy Rok zaczął się pomyślnie!

Oprac. A. S.

PO RAZ TRZECI JUŻ (TRADYCYJNIE W ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW") OGŁASZAMY KONKURS-PLEBISCYT P.N. „ŁODZIANIE ROKU". PRZEDSTAWIAMY DZIŚ DZIESIĘĆ SYLWETEK KANDYDATÓW, PRETENDUJĄCYCH DO ZASZCZYTNEGO TYTUŁU „ŁODZIANINA 1970". SĄ TO LUDZIE, KTÓRZY, NASZYM ZDANIEM, ZWRÓCILI NA SIEBIE UWAGĘ W OKRESIE MINIONYCH DWUNASTU MIESIĘCY SWOJĄ POSTAWĄ ALBO SWOJĄ PRACĄ I SYMBOLIZUJĄ DOBRE TRADYCJE NASZEGO MIASTA. ZDAJEMY SOBIE JEDNOCZESNIE SPRAWĘ, ŻE LISTA TO DALECE NIEPEŁNA, ŻE OBEJMUJE TYLKO CZĘŚĆ ŚRODOWISK I PROFESJI, ALE USTALILIŚMY JĄ W DRODZE WEWNĄTRZREDAKCYJNEJ DYSKUSJI I Z KONIECZNOSCI MUSI BYĆ NIEDOSKONAŁA.

NA ZAŁĄCZONYM TU KUPONIE PLEBISCYTOWYM PROSIMY WYPISAĆ TRZY NAZWISKA KANDYDATÓW, NA KTÓRYCH PADA WYBÓR CZYTELNIKÓW. O ZDOBYCIU TYTUŁU PRZEZ KANDYDATÓW ZADECYDUJE ILOŚĆ ODDANYCH NA NICH GŁOSÓW. ZWYCIĘZCY PLEBISCYTU OTRZYMAJĄ OD NAS PAMIĄTKOWE, METALOWE TALERZE I WEZMĄ UDZIAŁ W SPOTKANIU Z CZYTELNIKAMI PODCZAS UROCZYSTEGO OGŁOSZENIA WYNIKÓW KONKURSU. NA GŁOSUJĄCYCH TAKŻE CZEKAJĄ LICZNE NAGRODY. ROZLOSUJEMY JE POŚRÓD TYCH WSZYSTKICH, KTÓRZY W TERMINIE DO DNIA 1 LUTEGO 1971 ROKU NADEŚLĄ NAM WYPEŁNIONE KUPONY NA ADRES: REDAKCJA „ODGŁOSÓW", ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 96. (LISTY Z UZASADNIENIEM WYBORU MILE WIDZIANE). WYNIKI KONKURSU OGŁOSIMY DO DNIA 1 MARCA 1971 ROKU.

WACŁAW BALD

Wacław Bald ukończył Wydział Architektury Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie w 1960 roku. W tymże samym roku przyjechał do Łodzi.

Wacław Bald pracuje w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej przy Wydz. Bud. i Architektury Prez. RN m. Łodzi. Urbanistyka jest więc głównym terenem jego działań zawodowych. Inż. Bald pracował i pracuje nadal w zespołach opracowujących Ogólny Plan m. Łodzi. Plan ten został wysoko oceniony i uzyskał nagrodę Ministerstwa Budownictwa I stopnia. Poza urbanistyką jest architektura — projekt domu wczasowego w Arturówku (opracowywany też w zespole) również uzyskał nagrodę Ministerstwa Budownictwa. Na koncie zawodowym Wacława Balda są też liczne realizacje z dziedziny architektury wnętrz — między innymi przebudowa i adaptacja Muzeum Włókienniczego, sala posiedzeń Prezydium Rady Narodowej. Jest jeszcze klamra, która spina owe działania na polu architektury i urbanistyki w jedną organiczną i celową całość — tą klamrą jest konserwacja zabytków, która z młodzieńczych zainteresowań ubocznych i amatorskich stała się z czasem drugim nieomal zawodem.

Sięganie do historii budownictwa, ciekawość tego, co odziedziczyliśmy po pokoleniach minionych pozwala bowiem na głębszą ocenę współczesności.

Będąc współautorem Ogólnego Planu Łodzi Wacław Bald styka się z zagadnieniami wśród których właśnie zabytki zajmują jedno z poczesnych miejsc. Rozwiązanie problemu, jakie miejsce mają zająć budowle zabytkowe, zespoły architektury XIX-wiecznej i podstawowe dla historii miasta rozwiązania urbanistyczne w Łodzi dnia jutrzejszego nie jest łatwe. A na pewno nie można uporać się z tym problemem bez wnikliwej znajomości historii budownictwa, w oderwaniu od tradycji i historycznych zdarzeń.

ZENON PŁOSZAJ

Łodzianin, syn tkacza, naukę gry na skrzypcach rozpoczyna w dziesiątym roku życia. Po okupacji, spędzonej na Podhalu, powraca do Łodzi. W 1952 roku kończy Średnią i wstępuje do Wyższej Szkoły Muzycznej, do klasy prof. Szalewskiego. Kończy ją w 1955 roku, po trzech latach studiów, uzyskując dyplom z odznaczeniem.

W tym samym roku, podczas V Międzynarodowego Festiwalu Studentów i Młodzieży w Warszawie, jako jedyny z Polaków, zdobywa Brązowy Medal na Konkursie Skrzypcowym. Potem kontynuuje studia pod kierunkiem Ireny Dubiskiej, przygotowując się do Konkursu im. Wieniawskiego. Na tym Konkursie w 1957 roku, jako jedyny Polak dochodzi do finału i zostaje laureatem.

Po Konkursie — koncerty i wyjazdy zagraniczne. W 1962 roku tournee po Japonii, 30 koncertów, nagrania dla radia i telewizji.

Kiedy w 1958 roku umiera prof. Szalewski, Zenon Płoszaj, nie bez oporów, przyjmuje propozycję prowadzenia uczniów profesora w Liceum Muzycznym. To jest początek działalności pedagogicznej. W tym samym roku, jako adiunkt rozpoczyna pracę również w WSM.

W 1965 roku przeprowadza przewód habilitacyjny i uzyskuje tytuł docenta. W 1969 roku zostaje mianowany rektorem Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi.

Odznaczony przez Min. Kultury i Sztuki w 1967 r. za pracę pedagogiczną w Liceum, w 1969 roku — za działalność dydaktyczną, naukową i organizacyjną w WSM.

Zenon Płoszaj, mimo, że nie zrezygnował całkowicie z wykonawstwa i koncertuje nadal, poświęcił jednak karierę wirtuoza dla pracy pedagogicznej, a talent artysty — kształceniu przyszłych talentów. Jako rektor WSM wykazał jeszcze jeden talent — dobrego organizatora, umiejącego dzięki życzliwemu i mądremu stosunkowi do ludzi, stworzyć dobrą atmosferę, sprzyjającą twórczej pracy w uczelni.

IRENA CHOJNACKA

Od 12 lat jest pracownikiem handlu, ofiarnym, dobrym, z inicjatywą, toteż dyrekcja PSS-Bałuty powierzyła jej pieczy sklep spożywczo-monopolowy przy ul. Bukowej. Była w tym sklepie jednocześnie kierowniczką i personelem. Sklep peryferyjny, niewielki, nie wymagał większej obsługi. Pracowała w nim dobrze, ku zadowoleniu klientów i zwierzchników. Trzykrotnie otrzymała Odznakę Wzorowego Sprzedawcy.

Przez 12 lat nie miała większych nieprzyjemności z klientami. Aż nadszedł 19 marca 1970 roku. Imieniny Józefa. Ruch większy, bo imię to popularne, a więc i kupujących wódkę tego dnia było więcej. Zebrał się wcale pokaźny utarg — blisko 40 tys. zł. Zbliżał się wieczór, trzeba było podliczyć kasę i zamykać sklep. Właśnie wtedy do sklepu przyszedł młody mężczyzna.

Mężczyzna poprosił o pół litra wódki. Zapłacił i wyszedł. Po chwili wrócił i poprosił o wymianę na inny gatunek. Kiedy Irena Chojnacka odwróciła się do półki, uderzył ją metalową rurką. Krew zalała oczy, ale kobieta nie straciła ani przytomności, ani zimnej krwi. Broniła się zaciekle. Broniła społecznego dobra, które powierzono jej opiece. Obroniła, choć nie była to walka łatwa. Dopiero na dźwięk tłuczonej szyby i jej krzyk nadeszła pomoc.

Później nadjechała milicja i karetka Pogotowia Ratunkowego. Milicjanci zabrali młodego mężczyznę, który usiłował ogłuszyć starszą, bo przeszło 50-letnią kobietę i obrabować kasę. Pracownicy Pogotowia Ratunkowego odwieźli pokrwawioną kobietę do szpitala.

Potem były podziękowania, nagrody i słowa uznania. Odpowiadała zawsze skromnie: — Wypełniłam tylko swój obowiązek. Przepłaciła to utratą zdrowia i jeszcze dziś, po tylu miesiącach nie powróciła do swojej, tak umiłowanej pracy.

JERZY GRZEGORZEWSKI

Jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych twórców dzisiejszego teatru polskiego. Jego inscenizacje rodzą zażarte dyskusje, budzą sprzeciwy — nigdy jednak nie pozostają bez echa. Widz teatralny i teatralny krytyk nie mogą przejść obok nich obojętnie, nie zauważywszy ich. Pobudzają wyobraźnię, zmuszają do myślenia i analiz. Więcej — zmuszają do rewizji powszechnych opinii o sposobach inscenizacji sztuk, stanowiących klasykę repertuaru teatralnego.

W działalności teatralnej Jerzego Grzegorzewskiego nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż zanim ukończył on w 1968 roku Wydział Reżyserii w Warszawie pod kierunkiem prof. Korzeniewskiego wcześniej jeszcze ukończył studia plastyczne w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Zawód plastyka pozwala mu na projektowanie scenografii do reżyserowanych przez siebie spektakli, pozwala na maksymalne scalenie założeń reżyserskich z wizualnymi. Zwiększa swobodę i skalę działania.

Grzegorzewski związał się w Łodzi z Teatrem im. Jaracza. Spośród kilku sztuk, które w tym teatrze inscenizował, trzy zostały odznaczone wysokimi nagrodami na Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. W 1967 roku „Kaukaskie kredowe koło" Brechta, w 1969 roku „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, a wreszcie w 1970 roku „Irydion" Zygmunta Krasińskiego otrzymał nagrodę I stopnia.

Teatr Grzegorzewskiego jest bez wątpienia trudny, ale nie jest to teatr elitarny. Grzegorzewski wychodzi ze słusznego założenia, że widz jest bardziej wrażliwy i chłonny niż sądzą specjaliści od kultury masowej. Że potrzebuje on spektakli trudnych i dyskusyjnych pod warunkiem, że są one nośnikiem rzeczywistych wartości i odkrywczych lub przynajmniej aktualnych idei.

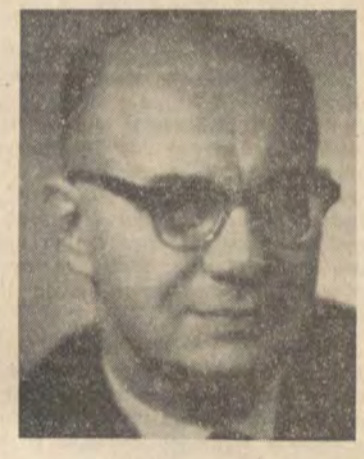

JAN HUSZCZA

Jana Huszczy czytelnikom „Odgłosów" przedstawiać nie potrzeba; znają go z ogłaszanych na naszych łamach tekstów, przede wszystkim zaś znają go z jego książek. (Gdyby wymienić tytuły tylko ważniejszych pozycji z dorobku pisarza, wyczerpałyby zapewne „sylwetkowy" limit miejsca).

Huszcza zadebiutował w roku 1938 tomem wierszy i do dziś pozostał wierny poezji. Zbiór „Stara pijalnia" był literackim wydarzeniem roku i uzyskał nagrodę Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi. A przecież trudno pominąć takie tomy wierszy, jak wydany w wyzwolonym Lublinie „Pamiętnik liryczny", czy też stanowiący ważny etap w rozwoju poetyckim Huszczy zbiór pt. „W kwileniu czajek".

Obok poezji uprawia pisarz także prozę (dwie powieści i liczne tomy opowiadań), jest wreszcie cenionym satyrykiem. Niemal każdy rok przynosi kolejne zbiory opowiadań, humoresek, satyr, żartów, fraszek i felietonów Huszczy i jeśli prawdą jest, że „dobry żart tynfa wart", pisarz jest bez wątpienia jednym z najbogatszych ludzi w Polsce.

Łodzianinem stał się w roku 1945 po odbyciu wojennego szlaku od Lenino do Berlina i w mundurze trafił do zespołu redakcyjnego „Szpilek", które wychodziły wówczas w naszym mieście. Wkrótce „Szpilki" przeniosły się do Warszawy, ale Huszcza nie pociągnął za macierzystą redakcją: uznał Łódź za swoje miasto i związał się z nim na zawsze. Przygody te opisał zresztą barwnie w tomie reportaży pt. „Zdarzenia i zwierzenia".

Pracował w łódzkiej prasie codziennej, można powiedzieć, że był jednym z jej współtwórców, później w „Kronice", aby wreszcie podjąć się redagowania kwartalnika „Osnowa".

WOJCIECH NATANSON

Triumfalny powrót „Turonia"

ZA MŁODU, MIĘDZY DWUDZIESTYM A DWUDZIESTYM CZWARTYM ROKIEM ŻYCIA, ŻEROMSKI PRAGNĄŁ ZOSTAĆ AKTOREM. Czym wytłumaczyć to powołanie u studenta weterynarii, który niedawno przyjechał do Warszawy, i już mocno przeżywał potrzebę wypowiedzenia się poprzez pisarstwo? Można by zwrócić uwagę na pewną, o kilka lat wcześniejszą, notatkę, zapisaną w „Dziennikach". Żeromski opowiada tu, że 5. IX. 1882 roku, recytował wobec kilku kolegów jedną ze scen „Marii Stuart" Schillera. Po wyjściu na ulicę poczuł nagły zawrót głowy. Równocześnie zrozumiał, że gdyby dłużej potrwała owa recytacja — mógłby zemdleć.

Nie było to wydarzenie wyjątkowe. „To samo, w mniejszym lub większym stopniu powtarza się po każdej deklamacji" — notuje Żeromski. Po każdej: można więc przypuszczać, że nie tylko tekst tutaj działał. Emocja spowodowana publicznym występem, potrzeba przekazania słuchaczom tego, czego się samemu doznaje, co jest źródłem artystycznego przeżycia — powoduje za każdym razem wstrząs nie tylko fizyczny, ale i psychiczny. To nie tylko nadwrażliwość i ambicja, nerwowość i entuzjazm. Także poczucie, że w tym właśnie mieści się przeżycie artystyczne.

Dwa lata później, w 1884, ta sama predyspozycja wraca ze zdwojoną siłą. Już nie o recytacje szkolne chodzi, ale o pragnienie pracy w zawodowym teatrze. Marzenie to nie jest przelotne; trwa w ciągu czterech lat — do 1888. Gdy student weterynarii, ciągle mocujący się z nędzą (nawiedzany także miłosnymi pragnieniami) biegnie do teatru, pasjonuje go gra aktorów. Patrzy na nią okiem człowieka bezpośrednio zainteresowanego: omawia w „Dziennikach" role, jakby to czynił adept sztuki teatralnej. Dlaczego więc z tej kariery zrezygnował?

Można przypuszczać, że powołanie pisarskie było jeszcze silniejsze, bardziej przemożne — to chyba powód najważniejszy (jak u Reymonta, czy później u Camusa, Wołoszynowskiego, Iwaszkiewicza, Zawieyskiego). Stan zdrowia miał na pewno znaczenie. Ale może i intensywność przeżycia ostrzegała przed wyborem zawodu. To właśnie, co Żeromskiego tak mocno pchało ku sztuce aktorskiej, równocześnie mu stawało na drodze. Czuł może, że bezpośredniość i siła wrażeń mogłyby go spalić, jak za dotknięciem przewodu najwyższego napięcia.

Żeromski nie zrezygnował jednak z możności wypowiedzenia się poprzez teatr, ani z pracy dla teatru. Należał do tych pro zaików, którzy przez całe życie, od młodości aż po ostatnie tchnienie, uważają dramatopisarstwo za co najmniej równorzędne literackie zadanie. Zdumiewa uparte i niczym nie dające się zrazić, pukanie do bram, które były przez długie lata zamknięte. Już nie wspomnam o próbach młodzieńczych, raz po raz ponawianych. O wielkich buntownikach nachodzących wyobraźnię (Cola Rienzi, Jan Hus, Maria Borecka). W 1887 roku 23-letni autor kończy sztukę „Robotnicy", którą pod zmienionym tytułem („Dla jutra") przesyła wodzowi pozytywistów, Świętochowskiemu, jako redaktorowi pisma „Prawda". Po kilku dniach przychodzi odpowiedź. Jest drwiąca, nie pozostawia na utworze suchej nitki. Żeromski próbuje się opierać, polemizuje ze Świętochowskim w swych poufnie prowadzonych, dla siebie tylko przeznaczonych „Dziennikach". Czy słynny pozytywista nie wyrządził przypadkiem szkody naszej literaturze dramatycznej? Faktem jest, że tekst zaginął; zapewne zniszczył go sam Żeromski. A jednak nie zrezygnował. Widocznie pęd do dramatopisarstwa był zbyt silny, by mogły Żeromskiego zniechęcić raz po raz się powtarzające niepowodzenia. Od klęski w konkursie „Kuriera Warszawskiego", gdy autor „Grzechu" uległ zarówno Kisielewskiemu jak i Andrzejowi Niemojewskiemu, autorowi „Familii", poprzez przygodę nie skończonego, a tak ciekawie się zapowiadającego dramatu z 1900 roku, którego jeden akt został niedawno odnaleziony przez Monikę Żeromską, aż po sprawę „Róży" i „Sułkowskiego"! Dopiero podczas pierwszej wojny światowej tra-

Łodzianie 1970 roku

ROMAN KACZMAREK

Nazwisko Romana Kaczmarka znają wszyscy łodzianie. Historyk i działacz społeczny, wieloletni dyrektor Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, zastępca przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi — dziś dyrektor jednej z najpoważniejszych bibliotek miasta — Biblioteki im. L. Waryńskiego, poseł na Sejm...

Jako historykowi zawdzięczamy Romanowi Kaczmarkowi wiele cennych publikacji, dotyczących przeszłości miasta — choćby monografię o pierwszym piewcy Łodzi, Wiktorze Dłużniewskim, choćby rozprawkę o starym łódzkim rodzie Drewnowiczów... To przecież Roman Kaczmarek jeszcze w pierwszym dziesięcioleciu UŁ wspólnie z prof. prof. N. Gąsiorowską, G. Missalową i A. Rynkowską przystąpił do szerokich badań regionalnych nad formowaniem się przemysłu, miast i klasy robotniczej w okręgu łódzkim.

Jakże też nie wspomnieć o udziale Romana Kaczmarka w przedsięwzięciu dla historii Łodzi kapitalnym — jakim były edycje „Rocznika Łódzkiego". Przez długi czas sekretarzował temu wydawnictwu, które dokumentowało badania historyków i świadczyło o prężności łódzkiego ośrodka naukowo-badawczego.

Łączy w sobie dwie pasje i dwa talenty — działacza i historyka. Dzieli swój czas i swoje wysokie umiejętności organizatorskie na działalność społeczną i polityczną — jest przewodniczącym WK SD — oraz na pracę na niwie dokumentowania kultury i historii Łodzi. U podstaw wielu inicjatyw i dokonań w tej dziedzinie, odnajdujemy — jakże często działanie Romana Kaczmarka, historyka, działacza, organizatora — człowieka związanego swym życiem i pracą z robotniczym miastem, z którego wyrósł i któremu pozostaje wierny. Człowieka, związanego z okręgiem łódzkim, jako poseł Ziemi Łódzkiej i jako historyk penetrujący dzieje tej ziemi.

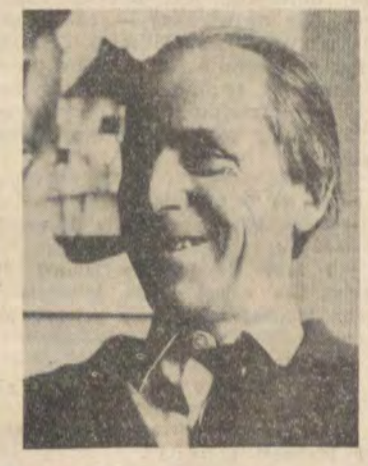

WACŁAW KONDEK

Dwadzieścia trzy lata temu — w roku 1947 — już po studiach w krakowskim Instytucie Sztuk Pięknych, przybywa do Łodzi Wacław Kondek. Przybywa, aby stać się uczniem Strzemińskiego w łódzkiej PWSSP. I w Łodzi pozostał.

Jego urokliwa sztuka wrosła już w artystyczny klimat miasta, dziesiątki wystaw, z których każda była wydarzeniem kulturalnym, pięć filmów, scenografia w łódzkich teatrach lalek...

Twórczość Wacława Kondka od lat zaskakuje nas niezwykłością i bogactwem pomysłów, różnorodnością form i środków wyrazu. Wciąż jest to ten sam Kondek — charakterystyczna kreska rysunku, pociągnięcie pędzlem czy dłutem...

Imponuje niezwykła pracowitość tego artysty, bogactwo inwencji, wysoki poziom jego sztuki, choć bardzo wiele pracuje, choć próbuje sił we wszystkich dziedzinach plastyki. „Wszystko robię oprócz forsy" — powie Wacław Kondek z właściwym sobie dyskretnym humorem.

Więc robi ceramikę w dalekim Bidaczowie, rzeźbi w drzewie, uprawia grafikę, rysunek, malarstwo, film, scenografię — kiedyś dał nam cykl niezwykle przewrotnych, oryginalnych karykatur... W roku 1969 otrzymał artystyczną nagrodę m. Łodzi i przyjął ją jako doping — bez gromkich słów — do dalszej artystycznej dokumentacji zjawiska, któremu na imię Łódź.

Wydał niedawno piękny album „Ulica Piotrkowska" — znakomitą wizję najbardziej łódzkiej ulicy. Co teraz? Chodzi Kondek po starych łódzkich pałacach, nanosi na białe kartki szkicownika piękne ślady łódzkiego rzemiosła artystycznego. Rysuje dziewiętnastowieczne pałacyki — będzie z tego następny piękny album.

Wacław Kondek — artysta najbardziej łódzki, zakochany w sztuce zaklętej w starych domach, wyczarowujący obrazy baśniowe, a przecież realne... Wacław Kondek — po prostu artysta, bez przymiotnika „łódzki".

ANDRZEJ MAKOWIECKI

W jego biografii zawiera się metryka pokolenia.

Absolwent szkoły muzycznej, długo terminował jako muzyk jazzowy, aby wreszcie znaleźć swoje właściwe wcielenie: dziennikarstwo. Ściślej, ten rodzaj dziennikarstwa, w którym zaciera się granica między publicystyką a literaturą. Taką była jego pierwsza książka „Boss" nosząca skromny podtytuł „Opowieść publicystyczna", którą napisał wspólnie z Andrzejem Brychtem. Taką jest też jego nowa książka „Przepis na wymianę twarzy", w której sportretował Łódź. Tę, która odchodzi i tę, którą dopiero wyznacza nowa era wiaduktów.

Urodzony w Warszawie, z Łodzią związany jest od dzieciństwa. I poświęcił jej swą kolejną, świeżo napisaną książkę „Schody na dach", tym razem powieść. Czeka swojej kolejki na druk. A w międzyczasie, wspólnie z Konradem Frejdlichem, ogłosił tom reportaży „Miraże i złoto", gdzie znalazły się również „łódzkie" stronice.

„Reportaż — stwierdza — to gatunek konfliktowy, dramatyczny z samej swojej istoty". Wie o tym doskonale, a jednak jego pióro nie cofnęło się nigdy przed najtrudniejszymi sprawami, jeśli tylko zasługiwały na przedstawienie czytelnikowi. Po jego reportażach przychodzą do redakcji listy, bo nie można przejść obok nich obojętnie. Wywołują spontaniczny odzew. Nie tylko na łamach „Odgłosów", bo drukował także w „Polityce", „Tygodniku Kulturalnym", „Kulturze", „Dookoła Świata" i w innych pismach.

Praca Makowieckiego znajduje także tzw. oficjalne uznanie, jego reportaże i opowiadania były wielokrotnie nagradzane na konkursach literackich, a w roku 1966 otrzymał Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi za cykl publikacji poświęconych miastu. Naszemu miastu.

KRZYSZTOF BIAŁYNICKI

Kiedy wyjedzie na lód od razu zwraca uwagę publiczności swoją nienaganną techniką, błyskawicznym strzałem i świetnym opanowaniem innych elementów hokejowego kunsztu. Nic więc dziwnego, że Krzysztof Białynicki jest ulubieńcem publiczności w całym kraju i bardzo cenionym poza jego granicami.

Z zawodu jest nauczycielem wychowania fizycznego. Ma 26 lat. Hokej zaczął uprawiać dosyć późno, bo w wieku 17 lat, kiedy to na wezwanie wyczytane w rubryce sportowej „Dziennika Łódzkiego" zgłosił się do szkółki hokejowej ŁKS prowadzonej przez znanego trenera Władysława Króla. Barwom ŁKS jest wierny do tej pory i jak twierdzi, w klubie tym pozostanie aż do zakończenia kariery sportowej. Już po roku treningu w 1963 r. jego zespół zdobywu tytuł hokejowego mistrza Polski juniorów. Po tym sukcesie K. Białynicki awansuje do pierwszoligowego zespołu ŁKS. W 1964 r. powołany został na razie jeszcze jako rezerwowy — do kadry narodowej na mecz z Finlandią. „Ostrogi" reprezentacyjne zdobywa 3 stycznia 1965 r. debiutując w zwycięskim meczu z Norwegią, gdzie zresztą strzela swoją pierwszą „reprezentacyjną" bramkę. Od tej chwili bez przerwy jest reprezentantem Polski, zdobywając dla naszych barw już 35 bramek. Przeciętnie w sezonie ligowym strzela dla ŁKS 30 bramek. Pięciokrotnie występował na mistrzostwach świata, z tego dwa razy w grupie A. Grał już w ZSRR, NRD, CSRS, Rumunii, Bułgarii, Danii, Jugosławii, NRF, Szwecji, Finlandii, Francji, Szwajcarii, Austrii, Kanadzie i Japonii, wszędzie otrzymując doskonałe recenzje za świetną grę.

Zdyscyplinowany, posłuszny wskazaniom trenera, doskonały technik i wzór sportowca — oto cechy charakteryzujące najlepszego polskiego hokeistę, łodzianina Krzysztofa Białynickiego.

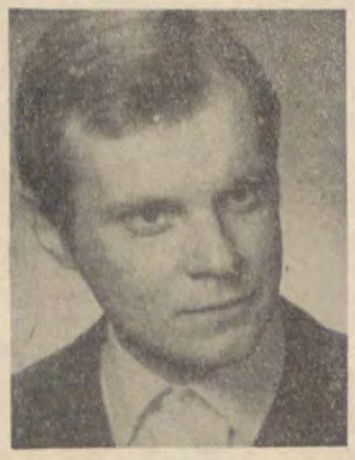

JAROSŁAW JANOWSKI

Swoistą sensacją techniczną tego roku był udany start jednomiejscowego samolotu J-1 „Prząśniczka", którego konstruktorem i budowniczym jest amator — Jarosław Janowski. Samolot budowano przez trzy lata. Najpierw na drugim piętrze czynszowej kamienicy, później na lotnisku. W pracy tej konstruktorowi pomagali: stolarz lotniczy — Witold Kalita i technik elektronik — Stefan Polawski. Przedsięwzięciu patronowała redakcja „Dziennika Łódzkiego" i ZG ZMS, ułatwiając zdobycie odpowiednich materiałów, a także pokonanie wielu przeszkód innej natury.

Jarosław Janowski jest absolwentem liceum ogólnokształcącego. Zajmuje się konstruowaniem i budową aparatów sterujących dla modeli latających. Jest też zamiłowanym modelarzem i kilkakrotnym mistrzem Polski w konkurencjach modeli latających. Poza tym jest pilotem szybowcowym Łódzkiego Aeroklubu.

Z tych rozlicznych zamiłowań, ale przecież ściśle związanych z lotnictwem, narodził się pomysł zbudowania jednoosobowego, taniego samolotu. Mimo wielu wątpliwości sceptyków „Prząśniczka" okazała się samolotem lekkim, zużywającym mało paliwa, łatwym w obsłudze i potrzebnym. Zdaniem specjalistów samolot Janowskiego bardzo przydałby się lotnictwu sportowemu, a bodaj najważniejszą jego zaletą jest to, że mógłby być budowany w warsztatach poszczególnych aeroklubów.

Po udanym starcie „Prząśniczki" na lotnisku w Lublinku, dalsze losy samolotu powstałego dzięki talentowi i uporowi młodego konstruktora spoczęły w rękach wysokich specjalistów. Miejmy nadzieję, że ich opinia będzie przychylna i dla konstruktora i dla jego „Prząśniczki". Niezależnie jednak od tej opinii wydaje się, że Jarosław Janowski zasłużył ze wszech miar na uznanie i społeczne wyróżnienie.

---

fiają utwory Żeromskiego na zawodową scenę. Dopiero „Reduta" przyniesie mu pierwsze wielkie sukcesy. Ciekawą jest jednak rzeczą, że „Grzech", nie doceniony w 1897 roku, odzyskał swe prawa w 1950 i do dziś pozostał w repertuarze naszych scen. Że „Róża" po opublikowaniu traktowana niemal jak powieść, od czasów Schillera i Horzycy, nie przestała być domeną inscenizatorów. Że „Sułkowski", początkowo natrafiający opór ludzi teatru, mógłby już służyć teatrologowi do spisania 50-letnich dziejów jego realizacji.

Ale momentem najszczerszego pojednania teatru z wielkim pisarzem wydają się ostatnie lata jego życia: okres „Turonia" i „Przepióreczki". Myślę, że nie wszystkie perspektywy tak często granej komedii o Przełęckim zostały już odsłonięte: na przykład za mało o tym myślimy, że docent fizyki był przecież wyznawcą teorii Einsteina i umiał znaleźć pewne jej odniesienia — w działaniu praktycznym.

Co do „Turonia", rok 1970 ma zapewne znaczenie przełomowe. Obserwator mógłby ustalić, że teatry polskie znalazły obecnie w tej sztuce — także i pasjonujące zagadnienia formalne. Nigdy w tym stopniu, jak w ostatnich dwóch swoich utworach, nie zdołał Żeromski uzyskać tak wielkiej zwartości. Jakby stosował postulat: „maksimum poetyckich sensów w możliwie najmniejszej ilości słów"! Cała akcja „Turonia" (podobnie jak „Przepióreczki") rozgrywa się jednej nocy zimowej, w ciągu kilkunastu godzin, w jednym galicyjskim dworku. A jednak, jeśli piej niż kiedykolwiek, czujemy, że ściany tego dworku jakby się rozsuwały, ukazując ogólnopolskie, a także i europejskie, perspektywy.

Wydarzenia, których jesteśmy świadkami, mają określoną datę, są mocno osadzone w historii. A przecież akcja dramatu tak jest skonstruowana, że potwierdza obserwację współczesnego polskiego historyka: nie podobną o tym zapomnieć, że powstanie 1846 roku zaczęło się jakby dziesięć lat wcześniej, w momencie ogłoszenia w Poitiers, Manifestu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, który określał cele ruchu wyzwoleńczego i ustalił jego plan. Co więcej, można powiedzieć, że „Turoń" ogniskuje jak w soczewce problemy polskiego losu, że stanowi jakby preludium do pisanego kilka miesięcy później „Przedwiośnia". Jakże nie pojąć, że Żeromski także i mówiąc o 1846 roku, miał na myśli powody tylu klęsk polskich (i może nie tylko polskich), bardzo dążył do sprawiedliwości, do wykrycia istotnych źródeł wydarzeń, mocno czuł nierozerwalny związek całego historycznego procesu, wyraźnie i tak nowocześnie uznawał historię nie za zbiór ciekawostek z epoki minionej, ale za oświetlenie szerokiej drogi, po której posuwamy się wszyscy.

Dla pisarza o dobrej orientacji w faktach dziejowych, który nie zmarnował lat, spędzonych w bibliotekach Rappersvillu, Warszawy, Paryża, Krakowa — historia była także i współczesnością. Mocno zaangażowany filozoficznie i moralnie, umiał jednak zachować ścisłość i bezstronność myślenia. Na rok 1846 patrzył na pewno w taki sposób, że można się tu doszukać oddziaływań myśli Wyspiańskiego i Ujejskiego. Słowa „o, rękę karaj, nie ślepy miecz" z Chorału śpiewanego w tylu domach, są równie silnym motywem, brzmiącym w „Turoniu", jak melodia piosenki w „Przepióreczce" czy pieśń Delavigne'a w „Warszawiance". Jakub Szela pojawia się w dramacie Żeromskiego jako ostrzeżenie o równie wielkiej mocy oskarżycielskiej, co Upiór w „Weselu".

(Dalszy ciąg na str. 13)

KUPON PLEBISCYTOWY

1.	Nazwisko i imię
2.	Adres:
3.	Zawód:

TERESA WOJCIECHOWSKA

Bardzo ważna zabawa

Rys. Sławek Deredas

Okno mojego pokoju wychodzi na budynek przedszkola. Sympatyczne to sąsiedztwo. Latem obserwuję jak dzieciarnia bawi się w ogródku, biega, huśta, wdrapuje na przyrządy gimnastyczne. Zimą widzę przez szerokie okna przedszkolnego gmachu jak krzątają się po swoim gospodarstwie krasnoludkowych mebli, wśród zabawek, tańczą, gimnastykują się. Czasem widać, że siedzą na małych, ustawionych w koło krzesełkach i rozprawiają o czymś z ożywieniem. O, choćby teraz. Wychowawczyni zadaje pytania, podnoszą się do góry ręce, bo dyskusja jest zdyscyplinowana i wolno odpowiadać tylko pojedyńczo.

— Co robili miś z jeżykiem?

— Wzięli kubeł z farbą i malowali listki na drzewach.

— A dlaczego je malowali?

— Bo chcieli, żeby jesienią było lato.

— I udało im się?

— Nie!

— Dlaczego?

— Bo listki usychały i opadały.

— Czy można więc tak zrobić, żeby zamienić jesień na lato?...

Rozmowa trwa. Niedawno skończyła się radiowa audycja — bajka o misiu i jeżu, która bardzo przypadła dzieciom do gustu. Teraz opowiadają co usłyszały. A potem będą rysować kolorowymi kredkami wszystko co z tej bajki zapamiętały. Pracowite przedpołudnie.

W ogóle, jeśli ktoś myśli, że przedszkole jest miejscem nic-nie robienia, zabawy i odpoczynku, to jest w grubym błędzie. Tutaj się pracuje, a jeśli się jeszcze zrozumie, jak trudnym zajęciem bywa czasem samodzielne włożenie bucików lub sweterka — to stanie się jasne, że tutaj się wręcz ciężko pracuje. No bo pomyślmy sami. Najpierw śniadanie (trzeba jeść zupełnie samodzielnie), potem zabawy ruchowe, gimnastyka, czasem rytmika, zajęcia umuzykalniające, zajęcia techniczne — lepienie z masy, robienie zwierzątek z kasztanów, żołędzi itd., rysowanie, malowanie i masa różnych innych przedmiotów, jak mowa ojczysta, ćwiczenia liczbowe itd. itd. Oczywiście stopień trudności zależy od wieku dzieci. Od najprostszych, do bardziej skomplikowanych. Na przykład ćwiczenia liczbowe — wstęp do matematyki. Początkowe odróżnianie pojęć takich jak: mało i dużo, więcej i mniej, aż po początki liczenia. 7-letni absolwent przedszkola udający się na dalsze studia do pierwszej klasy szkoły podstawowej umie już w zasadzie liczyć do dziesięciu. Tyle, że kasztany, jabłka i pajacyki zamienia na cyfry.

Przedszkolna zabawa jest zabawą starannie dobraną i przemyślaną. Ma rozwijać inteligencję dziecka, uczyć je samodzielności, umiejętności i kultury współżycia społecznego, ma rozwijać fizycznie i umysłowo. To jest bardzo ważna zabawa, od niej często zależy pomyślny start w szkole, a od szkoły — cała przyszłość człowieka.

Przedpołudniowe zajęcia kończy obiad. To też swego rodzaju lekcja. Dla niektórych samodzielnego jedzenia, bo przecież wiadomo, że w domu karmi babcia lub mama. Ale tutaj trzeba też popracować na posiłek. Małe gosposie, ubrane w białe fartuszki, w białych przepaskach na włosach nakrywają do stołu, rozkładają obrusy, sztućce, ustawiają naczynia. I już lekcja. Higieny, zręczności, zaradności, gospodarowania. Ulubiona tu zabawa w dom, w sklep, w lekarza — to nie co innego jak lekcja współżycia obywatelskiego, samodzielności. A tego właśnie brak wielu dzieciom, szczególnie jedynakom, którym rodzice starają się ułatwiać życie, ubierając je, karmiąc, wykonując za nie wszystkie zajęcia porządkowe. Dopiero w przedszkolu rozpoczyna się leczenie niedołęstwa. Nauka ubierania, rozbierania, jedzenia, sprzątania po sobie zeszytów, zabawek. Nic dziwnego, że czasem dziecku z „domowego inkubatora" trudno przyzwyczaić się do tej samodzielności. Trzeba więc przedstawiać argumenty racjonalne.

— Skąd mamusia bierze pieniądze?

— Pan dyrektor daje.

— Ale za co mamusia dostaje pieniądze?

— Mamusia pracuje.

— No właśnie. A jak mamusia nie będzie pracowała, to nie będzie miała pieniędzy. I co wtedy zrobi?

— Jak mamusia nie będzie miała pieniędzy, to rozmieni... — pada rozbrajająca odpowiedź.

Rozmowa w tym gronie nie zawsze toczy się zaplanowanym torem. Ale wreszcie wspólnymi siłami ustalono, że mamusia musi pracować, a dziecko musi chodzić do przedszkola, żeby mamusia mogła pracować. I nie wolno płakać, żeby się mamusia nie martwiła. Mała sprawczyni tej dyskusji ma minę dość niewyraźną. Potakuje wprawdzie, ale bez przekonania.

Przedszkolaki uczestniczą również w wydarzeniach życia społecznego. Dzięki obchodzonym różnym rocznicom zapoznają się z pracą różnych zawodów: milicjanta, żołnierza, górnika, nauczyciela. Z okazji Dnia Milicjanta odwiedziły po sąsiedzku Komendę Ruchu MO. Spotkanie przebiegło w atmosferze wzajemnego zrozumienia i serdeczności, ku szczeremu zadowoleniu obu stron. Z okazji Dnia Nauczyciela najstarsza grupa odwiedziła prawdziwą szkołę. Przedszkolaki siedziały w prawdziwych ławkach, obok prawdziwych uczniów, brały udział w prawdziwej lekcji. Podobno ten egzamin wypadł bardzo dobrze, z czego najbardziej była dumna ich wychowawczyni, pani Regina Łazarek.

* * *

W okresie świąteczno-noworocznym widzę z moich okien olbrzymią choinkę, rozświetloną kolorowymi lampkami. Życie przedszkolne przez cały rok jest urozmaicone różnymi atrakcjami, ale największą z nich jest właśnie choinka i wszystko co jest z nią związane. Dla nas, dorosłych święta to okres mniej lub bardziej wypoczynkowy. Wiele rodzin szykuje choinkę, tworzy świąteczną atmosferę głównie dla dzieci. Żeby miały niespodziankę, radość, dobre wspomnienia. Nasze radości, świąteczne przeżycia, zabarwione są zawsze odrobiną smutku złych wspomnień, niepowodzeń, trosk, których nawet w chwilach dobrych nie umiemy całkowicie wyeliminować z pamięci. Pamięć dzieci nie jest obciążona wspomnieniami. Jest to wyobraźnia chłonna, odbierająca wrażenia spontanicznie, silnie, ale nietrwale. Szczęśliwe zapominanie to główny przywilej beztroskiego dzieciństwa. Dziecko przeżywa intensywnie lecz powierzchownie, wrażenia zmieniają się szybko, nowe wypierają z pamięci poprzednie. W miarę upływu lat pamięć zatrzymuje i utrwala silniej sze przeżycia.

Ale choinka należy właśnie do tych, które utrwalają się wcześnie. Choinka, Mikołaj, prezenty... To się już pamięta, mając choćby pięć lat. W przedszkolu przygotowania do świąt zaczynają się wcześnie. Już w końcu listopada dzieci zaczynają robić zabawki, lepić łańcuchy z kolorowych pasków papieru.

— A moja siostra to wzięła jajko, zrobiła małą dziurkę, wylała jajko a ze skorupki zrobiła lalkę!

Podziw jest powszechny, wszyscy chcą robić lalki ze skorupek; ale za chwilę zajmą się czym innym, równie atrakcyjnym. W przedszkolu są dwie choinki. Jedna ogromna, ta reprezentacyjna, na parterze. Przy niej odbywają się wszystkie oficjalne uroczystości, przedstawienia, zabawa itd. Na górze jest choinka mniejsza, ale za to ubrana przez dzieci za bawkami zrobionymi przez nie same. To jest ta milsza choinka. Jej ubieranie jest wielką atrakcją. Ale największą — to się nie da ukryć — jest Mikołaj. O Mikołaju przyjemnie jest choćby poroz mawiać. I trudno teraz utrzymać reżim indywidualnych wypowiedzi. Każdy ma coś do opowiedzenia.

— Po co jest choinka?

— Żeby było przyjemnie i wesoło i ładnie...

— I żeby się świeciły lampki dla gości, dla dzieci i dla Mikołaja. I żeby Mikołaj miał gdzie położyć prezenty...

— A kto to jest Mikołaj?

Chór głosów miesza się, ale przeważa odpowiedź:

— To jest taki przebrany pan, który przynosi prezenty...

— A mnie w zeszłym roku Leszek oszukał. Powiedział, że idzie do sklepu, a poszedł się przebrać za Mikołaja...

— Mikołaj oszukuje dzieci...

— Dlaczego?

— Bo mówi, że jest Mikołajem, a to zwyczajny pan...

— Albo wujek Edek...

— Do Mikołaja trzeba napisać list i podać mu adres, bo jak to jest zwyczajny pan, to nie będzie wiedział, gdzie przyjść i przynieść prezenty...

— A czy Mikołaj przynosi tylko prezenty?

— Nie, czasem, to nawet bombonierkę...

Uwaga rodzice, wujkowie oraz ciocie, bombonierka to nie prezent. Nie można się tym pobawić, nawet kolorowych papierków nie ma.

W dawnych czasach dzieci wierzyły, że ten jegomość, który przychodzi w wieczór wigilijny do grzecznych dzieci, to jest istota nadprzyrodzona, która wszystko wie i może. Dzisiejsze dzieci wierzą w przebranego pana, w którym rozpoznają czasem wujka lub brata. Czy ujęło to atrakcyjności brodatemu dziadkowi w czerwonym płaszczu? Chyba nie. Zachował przecież walor zasadniczy: przynosi prezenty. Na długo przed tem wymarzone prezenty.

...ja bym chciała krakowiankę...;
...ja łyżwy... ja pokoik dla lalki...;
ja książkę, taką do rysowania...

Mam nadzieję, że o tych życzeniach dowie się Mikołaj na czas.

* * *

Przedszkole, które widzę z okna mojego pokoju, Państwowe Przedszkole nr 48, jest takim, jakich w Łodzi wiele. Może ma trochę lepsze warunki niż niektóre, bo w nowym budownictwie, duże, przestronne, jasne. Obserwuję je od dwunastu lat, tyle sobie liczy. Dziesięć lat temu zbierały się tu kolejki matek, które chciały zapisać swe dzieci. I choć jest 120 miejsc, wiele odchodziło rozczarowanych. Wyż przedszkolny szedł przez Bałuty. Teraz wyż przedszkolny przeniósł się na Teofilów, Retkinię. Prawo rozwijającego się miasta. W „moim" przedszkolu jest dziś tylko 85 dzieci. Dzielnica się starzeje, młode pokolenie wyrasta. Pani Maria Mikulska, kierowniczka przedszkola, mówi pogodnie: pewno trzeba będzie przenieść się na Teofilów, albo do innej nowej dzielnicy. Ona jest z dziećmi już 19 lat, pierwsi jej wychowankowie pokończyli studia. Ona wie, że dzieci są wszędzie jednakowe i jednakowe z nimi kłopoty. Ale mnie chyba będzie smutno gdy „moje" przedszkole przestanie istnieć.

Rys. Dorota Stajuda

POLONICA

FRANCUSKI FILM O WITKIEWICZU

5 października pokazany został we francuskiej telewizji trzydziestominutowy film o Ionesco i o twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza, opracowany przez tłumaczkę jego dzieł na język francuski, Jadwigę Kukułczankę. Wstęp o Witkiewiczu — Jarosława Iwaszkiewicza. Ponadto zaprezentowano fragment „Matki", wystawionej w warszawskim Teatrze Współczesnym oraz fragment próby z „Metafizyki dwugłowego cielęcia", przygotowanej przez Nouveau Theatre de Poche (premiera: 30 października). Film ten jest przygotowaniem do premiery „Matki" w teatrze Recamier z Madeleine Renaud w roli głównej (premiera: 3 listopada). Równocześnie ukazał się obszerny numer czasopisma „Cahiers Madeleine Renaud — Jean Louis Barrault", poświęcony Witkacemu, a przynoszący „Mątwę" i „Teorię Czystej Formy w teatrze" Witkiewicza oraz artykuł Jadwigi Kukułczanki o naszym pisarzu.

Genewski Nouveau Theatre de Poche pokaże „Matkę" także i w Liege (Belgia) oraz na festiwalu w Madrycie. Równocześnie Theatre „Carouge" w Genewie rozpoczyna próby „Kurki wodnej" w przekładzie Kukułczanki i p. Marie. Wszystkie te fakty, pomyślne i ważne, świadczą o znaczeniu, które we Francji, Belgii i Szwajcarii zdobywa twórca „Mątwy", przede wszystkim dzięki zasługom niestrudzonej propagatorki naszej kultury, utalentowanej pisarki i romanistki, tłumaczki Anouilha — Jadwigi Kukułczanki. „Le Monde" w numerze z 7 października zdaje sprawozdanie z telewizyjnego filmu paryskiego i podnosi, że Madeleine Renaud dokonała wspaniałej „operacji artystycznej" w roli Witkiewiczowskiej Matki.

W. N.

ULICA PAUL FORTA

W obecności przewodniczącego Rady Miejskiej Paryża, Didier Delfoura, odbyła się uroczystość przyznania ulicy Montsouris w 14 dzielnicy Paryża — nazwy ul. Paul Forta, słynnego poety, twórcy Teatru Artystycznego. W kawiarni Closerie de Lilas spotykał się on z Potockim i Tytusem Czyżewskim.

W. N.

POLONICA

Zagadanie

kolędnicy nocą przyszli
z szopką wystruganą
kolędnicy nożownicy
od panów i chamów

siła chłopa razem było
a może i więcej
a może się rozmnożyło
jak w świecie pieniędzy

kantyczka pierwszego

a jakeśmy przybieżeli
biedni bylim nic nie miel'

jeno stary gwóźdź
zardzewiały cóś

bożą krowę wydoilim
z drzew żywicy utoczyli

jeno w jeden dzban
w ten gliniany pan

z krzyża ramię wyłamalim
ciupinkę je potrzymali

najjaśniejszej gwiazdy blisko
a gwiazda krowisko

ramię słabosilne było
w ognisko się rozpaliło

rozpaliło się w ognisko
na tym świecie wszystko

i do ognia gwóźdź rzucilim
do białości rozżarzyli

kamieniem go brzdęklim
ażeby był cienki

po łeb w mleku zanurzylim
do siności go pławili

pytalim — coś twardy
ażeby był hardy

żywicą go oślinilim
a na dzbanie wyostrzyli

jeden w drugi ojczenasz
i już był w sam raz

kantyczka drugiego

bóg się nam narodził
dziecineczka mała
pod główeczkę dziecineczce
położymy kozik
żeby nie płakała
jak będzie chodziła
sierota po ziemi
po patelni tej czerwonej
stopy niebieskimi
jak będzie chodziła
samotna i boso
żeby chociaż w ręku miał
sprężynową kosę
bo jak się na krzyżu
będzie z bólu wiła
żeby chociaż im tą kosą
po grdykach jeździła
i jak ją do snu wiecznego
będą układali
żeby jej ten kozik
na tamten świat dali

a jak drugi śpiewał

a jak drugi śpiewał
zrobiło się cicho
poleciały z gęby zęby
zbierać się ze śmichu
potoczyły ścięte głowy
szukać się po świecie
zapalili się wisielcy
gwiazdami w niebiesie
a jak trzeci się szykował
kiedy drugi śpiewał

to przy stołach
w krzesłach gołych
dla tych co ich nie ma
zasiadły kaliki bezokie
beznose szkieleciki bose

JERZY JARMOŁOWSKI

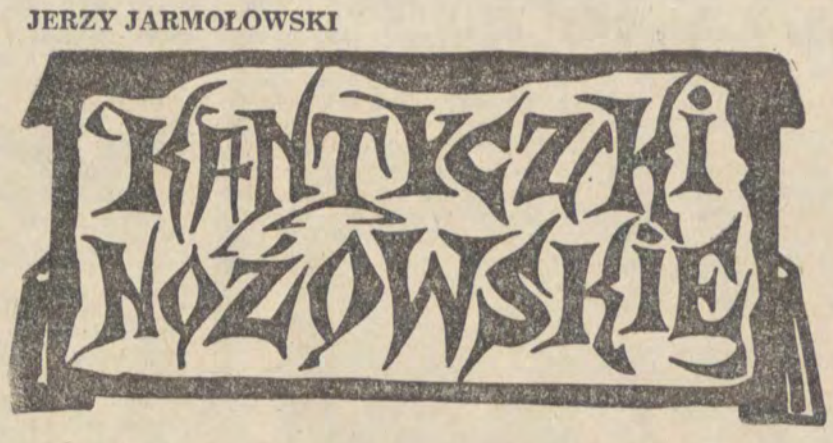

kantyczka trzeciego

chodzi bóg po świecie
w ślepia chat zagląda
ziemia pod stopami
za nim się ogląda

z żalu się ogląda
że jeno pies szczeka
ano nie masz boże baby
co na ciebie czeka

ano nie masz boże sieni
gdzie byś buty zzuł
ano łokcie se wycierasz
jeno nie twój stół

ano kozik ci się ostał
od chleba naszego
tylkoś zmarszczki nie wyrzezał
se z dnia poprzedniego

a jak trzeci śpiewał

a jak trzeci śpiewał
zrobiło się smutno
no to boskie zmarszczki
zmyli ludzie wódką
no to boskie troski
zakąsili chlebem z solą
pili w wilię na dwie nogi
pewnie boga bolą
kiedy trzeci śpiewał
a czwarty szykował
to życzył nóż życiu
żeby było zdrowe

kantyczka czwartego

skacze nóż
w koło drogi
nóż bezręki
jednonogi
weźże w rękę
moją nogę
dotknij co
a pomogę
pomogę ci
dziewki mieć
czy ty chłop
czy ty śmieć
nakraję ci
chleba w bród
czy ty bóg
czy ty głód
utoczę ci
z ziemi śliny
czy ty z drzewa
czy ty z gliny
skacze nóż
w koło drogi
nóż bezręki
jednonogi

kiedy pierwszy śpiewał

kiedy pierwszy śpiewał
zrobiło się jasno
jakby gwiazdę betlejemską
dyszlem z wozu trzasnął
jakby trzasnął między ślepia
i wybił ze śpiku
wyfrunęły kluczem kury
ze wszystkich kurników
ryby się nizały
po deszczu do nieba
został wigilijny stół
z nagim bochnem chleba
kiedy pierwszy śpiewał
a drugi szykował
zakwiczała świni
na haku połowa

kiedy czwarty śpiewał

kiedy czwarty śpiewał
zrobiło się ciemno
zawarczał na stole
stary nóż kuchenny
odszczeknęły inne
na życie sobacze
zapachniało juchą
zarzynanych kaczek
zapachniało na wsi

zapachniało w mieście
oswojonym nożom
ludziska nie wierzcie
kiedy czwarty śpiewał
a piąty szykował
stąpał bóg po puchu
w miękkich kaczych głowach

kantyczka piątego

czy ludziska się gotują
w tym słonecznym garnku
czy to bóg nożami
rzuca na jarmarku

czy to na patelni
podskakują skwarki
czy po ziemi się ruchają
człowiecze kawałki

czy to słońce łuska
pestki słoneczników
czy to pan bóg z płachty
sieje nieboszczyków

ano rzucał
ano siał
może tylko
myśli miał

kiedy piąty śpiewał

kiedy piąty śpiewał
powstał wielki lament
to wypełzły z ludzi
zszalałe sny białe
poszły sny do swoich
legowisk się złożyć
języki ostały
wigilię pożyć
językom językom
gładko sobie żreć
z łańcucha puszczone
poszły sny na wieś
kiedy piąty śpiewał
a szósty szykował
zakwiczała dziewki
na haku połowa

kantyczka szóstego

a że we łbach nóż się zaląg
i począł świat gubić
to musieli ludzie
pana boga ubić

a że im ubijać
było nieporęcznie
jeno nóż mu dali
żeby się dźgnął w serce

i choć pan on był
i choć bóg się zwał
chamski honor miał
do zdechu się zdźgał

a jak go chowali
gdzie światy rozumne
zamiast gwoździ cztery noże
wbili w jego trumnę

*

kolędnicy nocą przyszli
z szopką wystruganą
kolędnicy nożownicy
od panów i chamów

siła chłopa razem było
tyle co trzy woły
a w żłobie na sianku
nóż bosy i goły

Trzecia nagroda na V Ogólnopolskim Festiwalu Poezji.

Triumfalny powrót „Turonia"

(Dalszy ciąg ze str. 11)

Słowa Huberta Olbromskiego, w trzecim akcie „Turonia" są jak by wysnute z wymowy tych scen u Wyspiańskiego, które okrutną rzeczywistość przeciwstawiają nierealnemu marzeniu. Śmiałość Żeromskiego na tym także polega, że jego krytyka próbuje szukać przyczyn ratunku.

Jakub Szela, niepiśmienny chłop ze Smarowej, ucieleśnia w „Turoniu" zarówno krzywdy własne, osobiste jak i całego chłopstwa. Ma świadomość, że jest karą za wieki ucisku i bezprawia. Od służby wojskowej, do której go przeznaczał dziedzic, uchronić się mógł tylko przez obcięcie sobie palców. Dobrze pamięta, że jego własnego stryja i jego samego prowadzono w kajdanach na nabożeństwo, wystawiając na pośmiewisko. Umie jednak w sobie skupić gniew nie tylko własny. Tylko, że jest, mimo swej inteligencji, łatwowierny i naiwny, wierzy, że feudalny i skrajnie reakcyjny rząd metternichowski przeprowadzi radykalną reformę agrarną. Zarazem instynkt wywyższenia się i tyranii, zdrada ruchu, na którego czele stanął, umożliwia rozwój wydarzeń, których jesteśmy świadkami w drugim i trzecim akcie „Turonia".

Prawdziwym wodzem staje się dotychczasowy i milczący świadek i obserwator, Jan Chudy. Żeromski na pewno wiedział o faktach, które oświetlają współcześni historycy, jak prof. Stefan Kieniewicz i prof. Marian Tyrowicz: że w słynnym „kuligu" powstańczym, wiozącym demokratów na austriackie garnizony w Tarnowie, wzięła udział także i część chłopów; że w innych okolicach masy się wahały, nie były pewne; że w Chochołowie i gminach okolicznych pod wodzą organisty — nauczyciela, bibliofila i patrioty, syna chłopskiego, Andruszkiewicza oraz wikarego X. Kmietowicza, górale pokonali austriackie straże i dopiero ciężkie poranienie obu przywódców ruchu powstańczego spowodowało militarne załamanie tego ruchu; że wśród ofiar „rabacji" było zaledwie 10 proc. szlachty, inni to inteligencja, małomieszczanie, oficjaliści, plebejusze; że jednym z najczynniejszych wodzów ruchu powstańczego w Małopolsce był biedny student, Julian Goslar wraz ze swym bratem, czeladnikiem krawieckim; że w Krakowie powstańcy opanowali miasto na dziesięć dni, przy czym duszą był tutaj Edward Dembowski.

O jednym jeszcze warto pamiętać. Żeromski z początkiem lat dwudziestych z zainteresowaniem przyglądał się ruchowi, zmierzającemu do odrodzenia polskiego teatru obrzędowego. W „Snobizmie i postępie", opublikowanym w 1923 roku pisał: „niezmierna dziedzina twórczości leży wśród tego właśnie ludu. (...) Pomysły te nie są czczą i jałową, niepragmatyczną projektomanią, tak obecnie pospolitą, lecz wychodzą ze strefy najbardziej miarodajnej, bo aktorskiej. W piśmie „Teatr Ludowy" (z r. 1922) w artykułach Budzyńskiego i Witolda Wandurskiego poruszona została ze strony technicznej kwestia inscenizacji podań ludowych i przygotowania do wystawienia baśni o „Madejowym łożu". Jędrzej Cierniak, ktory tę wypowiedź Żeromskiego przytaczał, przygotował niebawem inscenizację opowiadania Żeromskiego „O żołnierzu-tułaczu". Budzyński to istotnie przedstawiciel aktorstwa. Witold Wandurski, zajmujący się czynnie pracą w teatrze robotniczym, komunista — to autor „Śmierci na gruszy", która tyle dała natchnień Józefowi Szajnie. Marzenia Żeromskiego zaczynają się spełniać. Znane jest też zainteresowanie pracami Cierniaka w „Reducie", gdzie niebawem Leon Schiller wystawi swą „Pastorałkę". A wiadomo jak ścisłe były związki „Reduty" z prezesem Towarzystwa jej Przyjaciół, Żeromskim.

Otóż Jędrzej Cierniak i jego współpracownicy myślelj o wielkim polskim teatrze „obrzędowym". Wśród owych ludowych obrzędów, związanych z porami roku i przyrodą, znajdował się i karnawałowy ceremoniał „chodzenia z Turoniem". Zajmował on doniosłe miejsce w Cierniakowskiej wizji ludowych widowisk. Żeromskj jakby się tutaj z redaktorem „Teatru Ludowego" spotykał, gdy wprowadzał nie tylko kostiumy Turonia, Kozy i Żurawia do perypetii owego dramatu, ale i taniec obrzędowy. Wiąże się to z obecnością mas chłopskich w tym utworze, ale i z myślą o zastrzyknięciu nowej krwi dramatowi i teatrowi, o ukazaniu mu nowych możliwości formalnych. Być może, iż w „Reducie" (mimo wszystko) tych szans się nie dopatrzono. A przecież Żeromski tak wielką do tej sprawy przywiązywał wagę, że sprawdzał i korygował autentyczność zaprojektowanych przez scenografa kostiumów obrzędowych! I nawet tytuł utworu od tego obrzędu zapożyczył.

Miłość splata się w tym utworze z patriotyzmem, maksymalizm uczuciowy z surowością, historia z teraźniejszością i przyszłością; role aktorskie nie przygłuszają ruchu tłumów; wyczuwalna się staje gra zjawisk przyrodniczych, wichura, śnieżyca, mróz. Jednostkowe sprawy nabierają wymiaru poezji i poetyckiego teatru.

Czy nie warto, by o tym utworze pomyślały także i łódzkie teatry? Triumfalnie już powrócił w Kielcach, Zielonej Górze, Częstochowie i wraszawskim Teatrze Ludowym.

WOJCIECH NATANSON

ANDRZEJ GRUN

STÓŁ

Dochodzi kresu mistycz na noc średniowiecza. Człowiek, po nieudanym dialogu z Bogiem, powraca do przerwanego oneg daj tak brutalnie dialogu z drugim człowiekiem. W cen trum zainteresowań powszechnych staje dzień dzisiej szy, a nie jutro życia poza grobowego — dzień dzisiej szy, którego zapomnianym bogactwem zachłystują się wszyscy, wszyscy — wielcy i mali, bogaci i biedni. Z gęstwiny Czarnego Lasu wy łania się ponownie cudowny błękit Śródziemnego Morza.

Sandro Botticelli maluje „Narodziny Wenus" — z ró żowej krawędzi muszli scho dzi na włoską ziemię kobie ta nie w aureoli boskości, ale boska przez swą nagość i urodę. Wiatr rozrzuca jej złociste włosy. Jej dło nie — dwa ptaki uśpione — lada chwila przebudzą się do życia. Tą kobietą jest najpiękniejsza dama Floren cji, Simonetta Vespuci, żona Marka Vespuci, krewnego A meriga — tego samego, któ ry w klika lat później odkry je Amerykę naprawdę i słać będzie z niej listy do wygnanego z miasta swych oj ców Piotra Medyceusza, aby zabawić go i myśli jego od spraw gorzkich oderwać. W tych właśnie listach Ameri go odkryje Nowy Świat.

A Nowy Świat po drugiej stronie Oceanu daje zatęchłej i dusznej Europie nie tylko złoto, perły i niewol ników — daje powietrze. Lu dzie zachłannie wciągają je w płuca — jest balsamem i winem, pobudza krążenie krwi, rozjaśnia umysł. Nowy Świat otwiera niezmierzone perspektywy. Z perspektywy San Domingo Europa rysuje się w innych proporcjach. Obraz Botticellego to nie „Narodziny" lecz Odrodze nie. Venus Anadyomene już była panią, już rządziła świa tem...

Stara Ziemia jest wielkim targowiskiem. Morze Karaib skie trampoliną dla karier szalonych i areną, na któ rej runda za rundą toczą się walki zawodowców i amato rów. Na scenę życia wcho dzi mieszczaństwo silne pie niądzem i wiedzą, która zdo bywa zachłannie, bez umia ru. Miasta Flandrii i Holan dii to najsolidniejsze banki i domy towarowe, najlepsi złotnicy i szlifierze kamieni, ale też bastiony sztuki i nau ki. Mieszczanie są ludźmi praktycznymi. Są bogaci i chcą żyć bogato. Czerpią ze wzorów dworskich, ale gar dzą tanią pozłotą, błazeń stwem, blichtrem. Chcą esencji życia. A więc nie przepychu a wygody, nie po zorów a władzy, nie na po kaz a dla siebie. Ubierają się w najdroższe tkaniny, ale skromnie. Domy budują o bok innych domów, lecz ich wnętrza są z wielkim smakiem urządzone, wygod ne i solidne. Chyba w tym czasie pojawia się to słowo — solidny, które towarzyszyć będzie tej klasie aż po ko niec wieku XIX.

W malarstwie zjawia się nowy temat — martwa natu ra. Zrazu nieśmiało, w tle portretu jak u Holbeina Młodszego, nadwornego ma larza Henryka VIII, który wolał malowane wizerunki żon niż je same. Przedmio ty spełniają jeszcze rolę atry butów godności, akcesoriów władzy i znaczenia. Niedłu go. Wkrótce zapanują nad postacią portretowaną, odbio rą jej indywidualność. Koro na stanie się ważniejsza od króla, płaszcz gronostajowy zastąpi Ludwika XIV. W dworskim XVIII-wiecznym portrecie francuskim czło wiek stanie się elementem martwej natury. Król mógł być słaby, ale władza królew ska była absolutna.

To Holendrzy i Flamando wie z największym upodoba niem wprowadzają całe zes poły przedmiotów do obra zów, do scen rodzajowych, rozgrywających się we wnę trzach mieszczańskich a z czasem i chłopskich do mostw, do scen dziejących się w pejzażu (u Bruegela). Dla realnych i życiowych Ho lendrów ważny był świat realny, który ich otaczał. Szybko też uporali się z ale gorią, żyjącą we Włoszech na przykład po wiek bez ma ła XX i zajęli się życiem bogatym i różnorodnym. Bie siady van Honthorsta, Jor daensa, Brouwera, van Osta de grupują się wokół sto łów zastawionych jadłem i napojem. Ludzie i przedmio ty są tu na równych pra wach, niemniej coraz czę ściej klamrą ekspozycji sta je się właśnie zastawiony stół. Jest on jak melodia wio dąca, wokół której mistrz buduje misterne, liczne in trygi. W Ostatnich Wiecze rzach stół służył jako podium kompozycyjne. Holendrom stół służy do tego, aby za stawić go bogato, usiąść przy nim, używać życia i rado ści. Zawsze na pierwszym miejscu są dzbany i pucha ry. Sposób malowania i wi na sprowadzane były do Ni derlandów z Włoch i Hisz panii. Za czasów Vermeera i Rembrandta sprowadzano już tylko wina.

Rembrandt z Saskią na ko lanach siedzi przy stole, a w dłoni trzyma wysmukły kielich, napełniony złocistym płynem.

Pieter Claesz zostanie mi strzem martwej natury. Bie siadnicy nie zasiedli jeszcze do uczty, albo odeszli już zmęczeni jedzeniem i pi ciem. Na płótnie pozostaje stół. Stół z całym bogactwem przedmiotów. Dowód niezbi ty kulinarnego kunsztu, wy trawnych gustów, hedoni zmu, rozkochania smakami życia. Martwa natura — za stawiony stół — staje się sztandarem mieszczańskiej po tęgi. Potem tym sztandarem będzie portret...

Kompozycja martwych na tur holenderskich jest po zornie bezładna i przypadko wa. Kanony są stałe — by ła budowana jak pejzaż ho lenderski. Przekątna dzieli płaszczyznę obrazu na przed mioty — ziemię i na złoci ste, wibrujące tło — niebo. Zawężona do brązów gama barw z czasem otrzyma na zwę monochromatyzmu. Kun sztem było grać na tonach złocisto-brązowych lub szaro-zielonych...

Francuska sielanka i kla sycyzm pominą martwą na turę, wyrzucą stoły z mię sem, winem i owocami. Ćwierkający ptaszek nad u pudrowaną peruką klawikor dzisty zastąpi bażanta.

Wachlarze pań wywietrzą zapachy w kuchni.

Horacjusze przysięgający na płótnie Davida żyją ideą.

Romantyzm uzna, że czar ny płaszcz i chmury są w lepszym guście, niż pieczony udziec jeleni.

Z malarstwa sądząc, w kla sycyzmie i romantyzmie pa nowała powszechna abstyn encja.

Dopiero w 1863 roku Ma net namaluje pikantne „Śnia danie na trawie".

Impresjoniści nie lubili martwych natur. Nie potrze bowali przedmiotu, chcieli powietrza i światła. Po ro mantyźmie należało przewie trzyć płótna i rozsunąć za słony. Powietrza i światła. Tylko hrabia Toulouse cie szy się kobietami i absyn tem. Ustawia na stole w Moulin Rouge szklanki i bu telki. Picasso namaluje „Śnia danie cyrkowców", ale to już jest posiłek nędzarzy.

Ostatni raz martwą natu rą zachłyśnie się kubizm. Krótko, głęboko. Będzie to jednak inna opowieść — nie o jedzeniu i piciu, nie o bogactwie, prestiżu i rado ści życia, a o malarskim pro blemie. Obraz opowie jak dzban wygląda z kilku stron naraz, ale nie powie nic o tym, co on zawiera...

Półka z książkami

„KONCERT NA ORKIESTRĘ"

Taki tytuł nosi najnowsza powieść Wacława Kubackiego. Znajduje to swoje uzasadnienie w jej akcji, która toczy się w czasie, kiedy bohater — znany kompozytor — pisze taki właśnie utwór. Uważny czytelnik, rozsmakowawszy się w prozie Wa cława Kubackiego, szybko dojdzie jednak do wnio sku, że tytułowi temu mo żna przypisać szersze zna czenie.

Podobnie jak w „Smut nej Wenecji" są tu opi sane dzieje wielkiej, ale nie mającej zakończenia miłości. Bohater „Koncer tu na orkiestrę" jedzie do Paryża, aby znaleźć spo kój potrzebny mu do two rzenia muzyki. Jest to dziwny spokój, bo wśród wielkomiejskiego hałasu, ale Paryż jest miastem młodości kompozytora, mia stem jego pierwszej, tra gicznej miłości. I tu w czasie licznych wędrówek po placach, zaułkach i bul warach Paryża spotyka Ewę — swoją ostatnią mi łość. Traci ją, za cenę ukończenia swojego dzieła.

Nim to się stanie czy telnik ma okazję poznać niezwykle interesującą in terpretację Salomonowej „Pieśni nad pieśniami", przeczytać piękne karty książki poświęcone muzy ce, krajobrazowi, literatu rze i sztuce. Ewa jest ma larką, w książce jest więc — zresztą wzorem „Smut nej Wenecji" — wiele stron poświęconych malar stwu i architekturze. Jed nak nie duży ładunek in telektualny, nie znakomi ta umiejętność posługiwa nia się niezwykle suge stywnym obrazem, nawet nie subtelne i liryczne por trety kobiet czynią, że książka długo pozostaje w pamięci. Dzieje się tak dlatego, że Wacław Kubac ki w mistrzowski sposób przekazuje czytelnikowi nastroje, jakim podlegają się bohaterowie „Koncertu na orkiestrę".

Prozę Wacława Kubac kiego smakuje się jak do bre wino, powoli, z namy słem, aby nie utracić żad nej z jej licznych warstw, aby zapamiętać kształt ca łości. Dlatego bardzo na mawiam na lekturę „Kon certu na orkiestrę". Przede wszystkim tych, któ rzy prozy Kubackiego jesz cze nie poznali.

(B. M.)

Wacław Kubacki, „Koncert na orkiestrę". Czytelnik, W-wa 1970, str. 318, cena zł. 16.—

KTO JEST KIM?

Kto nie wie (a chciałby wiedzieć), kim jest Karin Stanek, Katarzyna Sobczyk, Czesław Niemen i wiele innych gwiazd krajowych i zagranicznych — niechaj w te pędy śpieszy do księgarni i zaopatrzy się w „Przewodnik muzyki jazzowej i rozrywkowej" Romana Waschko. Leksykon ten, podający hasła w porządku alfabetycznym, jest trzecią pozycją z cyklu wydawnictw, poświęconych kulturze i sztuce. Przedtem Wyd. „Iskry" ogłosiło „Przewodnik operowy" Karola Stromengera oraz „Przewodnik teatralny" Stanisława Marczaka-Oborskiego. Wydany obecnie przewodnik po świecie jazzu i piosenki zawiera dużą ilość fotografii, które podnoszą — rzecz prosta — jego atrakcyjność. Mamy więc cierpiętniczą twarz Ewy Demarczyk, uśmiechniętego (cóś pięknego) Czesława Niemena, serio i poważnie prezentuje się Ada Rusowicz i dziesiątki innych artystów. Nie mniej bogato przedstawia się serwis zdjęć artystów zagranicznych, wśród których królują Ella Fitzgerald, Karel Gott, Elvis Presley, Charles Aznavour i inni.

Tak tedy przewodnik muzyki jazzowej i rozrywkowej jest nie tylko do czytania, ale i do oglądania w długie wieczory jesienne. Teraz już wiem, co znaczy termin „blues" i skąd się wzięli Skaldowie. Leksykon „Iskier" zniknie szybko z półek księgarskich, więc trzeba się śpieszyć z kupnem, póki jeszcze czas.

jk.

Roman Waschko — Przewodnik Iskier muzyka jazzowa i rozrywkowa — Warszawa 1970, str. 370, cena: zł 60.

DOC. DR ANDRZEJ F. GRABSKI

Ojczyzna - Naród - Państwo

O ostatniej książce Konstantego Grzybowskiego

Pogląd, że naród jest kategorią historyczną, nie wymaga chyba uzasadnienia. Jeśli tak jest, winniśmy przyjąć do wiadomości także i to, że w różnych okresach dziejowych jego treść była różna, a co za tym idzie, różnie musiano go określać. W sprawach tych, równie ważnych jak trudnych do badania, w historiografii zarówno naszej jak i obcej panował od lat prawdziwy zamęt, którego nie pomagała przezwyciężać ogólniejsza refleksja socjologiczna, proponująca raz po raz frapujące konstrukcje modelowe, niezmiernie trudno przekładalne na język, z którym historyk najczęściej ma do czynienia, na język źródeł historycznych. W zależności więc od tego, jaką przyjmowano, świadomie czy nie, koncepcję narodu, w oparciu o te same częstokroć informacje źródłowe budowano wykluczające się wzajemnie konstrukcje historyczne. Dobitnym przykładem takiego właśnie stanu rzeczy były dyskusje dotyczące genezy narodu polskiego, ściślej, polskiej świadomości narodowej, jakie toczyły się w historiografii polskiej w okresie międzywojennym: mnogość propozycji, zgłaszanych zarówno przez mediewistów jak i badaczy dziejów nowożytnych, z których każdy miał za sobą jakieś racje, w niewielkim stopniu prowadziła do syntetycznego obrazu całości badanego zjawiska. Próba uporządkowania naszych pojęć, podjęta w latach pięćdziesiątych w oparciu o stalinowską koncepcję narodu i procesów narodotwórczych wprawdzie ożywiła zainteresowania tą problematyką, ale również nie dała w pełni zadowalających rezultatów i dopiero przezwyciężenie schematycznych obciążeń stworzyło lepsze warunki do bardziej wszechstronnego podjęcia zagadnień narodu przez refleksję socjologiczną i myśl historyczną. O tym, że dzieje się u nas w tej dziedzinie sporo, świadczą rozprawy i artykuły w czasopismach naukowych, a także coraz liczniejsze i ambitniejsze książki, by przypomnieć tylko dyskutowaną na tym miejscu pracę „Naród i państwo. Socjologiczne problemy kwestii narodowej" Jerzego J. Wiatra, wnikliwą monografię historyczno-literacką „Naród i narodowość w polskiej literaturze i publicystyce lat 1815—1831" Andrzeja Zielińskiego i wreszcie ostatnią książkę tragicznie zmarłego prof. Konstantego Grzybowskiego „Ojczyzna — Naród — Państwo", która ukazała się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w ramach Biblioteki Myśli Współczesnej (1970).

Autora tej książki nie trzeba prezentować, zbędne byłoby powtarzanie, że jego nazwisko kojarzy się nam z odwagą podejmowania problemów ważnych i najtrudniejszych, jego postawa z zaangażowaniem humanisty w podstawowe procesy i konflikty współczesności, jego poglądy z konsekwencją jakże często zamierzenie dyskusyjnych tez. Zamysł tego dzieła jest więcej niż ambitny, chodzi bowiem o odpowiedź na pytanie, „jak w różnych epokach dziejów, w różnych kierunkach politycznych usiłowano w Polsce określać, co to jest naród i co to jest państwo", przy czym zakres chronologiczny refleksji autora jest najszerszy z możliwych: obejmuje czasy od najdawniejszych po epokę socjalizmu włącznie. Chodzi więc o obraz syntetyczny o szerokiej perspektywie, o konsekwentną i logiczną koncepcję całościową, wynikającą z całokształtu dorobku badań historycznych, która może i powinna wpłynąć na dalsze poszukiwania w tym zakresie. Autor nie polemizuje wprost z dotychczasowymi ujęciami i propozycjami literatury, przeciwstawia im systematyczny wykład własnej koncepcji, nie wdając się w dyskusje i polemiki, które zmusiłyby go do zbaczania z głównego toru swej refleksji.

Czy plemiona słowiańskie, te, które egzystowały na peryferiach świata kultury europejskiej w najwcześniejszym średniowieczu, były „już wówczas w jakimś znaczeniu, w jakiś sposób narodem?" zapytuje K. Grzybowski. Obcy, którym zawdzięczamy pierwsze wiadomości o nich, dostrzegali przede wszystkim Słowian w ogóle, czasem poszczególne plemiona jako składniki większej całości, nie zauważali, „że pomiędzy jednym a drugim, Słowianami jako najogólniejszą całością a plemionami jako elementarną cząstką polityczno-społeczną, jest coś, co się już wyodrębniło, co staje się narodem jednoczącym bliskie sobie plemiona słowiańskie, ale nie całość Słowian". Rolniczy charakter społeczeństw słowiańskich determinował ich kształt, określał cechy mentalne ludzi, bowiem czas rolnika jest czasem „długiego trwania" (Grzybowski posługuje się tu terminologią ukutą we francuskiej szkole Annales), czasem „powtarzalnego trwania tych samych zjawisk". Mentalność pierwotnych Słowian była siłą rzeczy mentalnością w pewnym sensie ahistoryczną, skoro okresały ją zdarzenia przewidziane i regularnie się powtarzające; dopiero „zdarzenie nieprzewidziane i odbiegające od powtarzalności, ulegnięcie pokusie szatana — jak metaforycznie powiada historyk — zaczęło historię i stało się katastrofą; katastrofa stoi u początku historii'. Z historią zaś wkracza państwo, pojawia się ono w drugiej połowie X wieku jako twór już uformowany, o nieznanej przeszłości, jako jedność ponadplemienna, jako jedność ziemi określanej zbiorczą nazwą Polski, jako „jedność narodu określonego jako Polacy, pod jednym (lub górującym nad innymi) władcą określanym jako książę lub król. Od pierwszych o państwie zapisanych wiadomości mamy również określenia, co tę całość wiąże, co ją czyni jednością: świadomość wspólnej ojczyzny". K. Grzybowski przechodzi mimo ekwilibrystycznych, zakorzenionych w piśmiennictwie historycznym rozróżnień między narodowością i narodem, który mógł być tylko albo burżuazyjny, albo socjalistyczny, podobnie, jak czyni to współcześnie wielu innych polskich historyków (G. Labuda, J. Tazbir). Nawiązuje do wątku myślowego dawniejszej historiografii (K. (Dobrowolski, F. Bujak), wskazującego na najdawniejszą metrykę procesów narodotwórczych w Polsce, uwypuklając jednocześnie najściślejszy ich związek z procesami państwowotwórczymi (S. Zakrzewski). Od najdawniejszego dziejopisa polskiego — Galla — podkreśla uczony — „ideologia państwa łączy się ściśle z ideologią narodową: państwo jest własne, gdyż obejmuje ziemie narodu polskiego, jest własne, bo jest państwem

TADEUSZ PAPIER

Spotkanie z Solarzami

Dwóch ludzi zadało mi to samo pytanie. Pierwszy z nich jest cenionym krytykiem; drugi młodym człowiekiem ze wsi, przewodniczącym koła ZMW w Nadziejowie, w powiecie koneckim. Krytyk oczekiwał ode mnie odpowiedzi dla swojej pracy. Byłem tym zaszczycony. Przekazałem tę wypowiedź i na tym na razie się skończyło. Młody człowiek ze wsi, noszący nazwisko, które znane jest w Polsce, ale nie mający nic wspólnego ze swoim „imiennikiem", pytał przez prostą ciekawość. A może było tam coś więcej niż tylko ciekawość? Młody człowiek nazywa się Józef Solarz, a jego pytanie dotyczyło genezy utworu literackiego (w moim przypadku chodziło o „Powtórną śmierć Boryny" i „Narodziny Gerty"), ściślej, prosił, aby mu podać, jakie konkretnie wydarzenie czy przeżycie narodziło pierwszą myśl o tych książkach.

Odpowiedziałem jednemu i drugiemu. Najpierw odpowiedziałem Solarzowi, bo on zadał pierwszy to pytanie, i to, jak mogę sądzić, nie bez powodu. Widział, jak skrzętnie notowałem pytania i uwagi, które wymienialiśmy tego jesiennego, deszczowego wieczoru w małej świetlicy „Ruchu" i jak go wypytywałem o jego życiorys, sytuację materialną i plany na przyszłość. Zaciekawił mnie bardzo, przy tej okazji muszę powiedzieć, że bardzo cenię dzisiejszą młodzież wiejską. Odwiedzam często wieś i zawsze spotykam ludzi, którzy budzą szacunek. Ojciec Solarza posiada niecały hektar ziemi. Sama ziemia nie dałaby mu możliwości utrzymania sześcioosobowej rodziny. Chyba żeby przypadkowo wytrysło na niej źródło nafty. Ale ziemia konecka nie posiada w swoim wnętrzu tego skarbu. I w tych okolicach nie grzeszy urodzajnością. Jednak stosunkowo blisko jest Skarżysko, a pod bokiem Końskie. Ojciec Solarz pracuje w Zakładach Metalowych w Skarżysku, syn Józef także. Obydwaj wstają codziennie o piątej rano, idą pieszo do stacyjki Wólka Plebańska, stąd pociągiem dojeżdżają do Skarżyska. Do stacyjki prowadzi droga polna, tego dnia, kiedy tam byłem, padał deszcz, droga była rozmokła, błoto (grudy tego błota przywiozłem ze sobą do Łodzi), wyobrażam sobie te codzienne marsze w dnie deszczowe, śnieżne czy mroźne. Młody człowiek zarabia przeciętnie 2.500 złotych, ojciec otrzymuje nieco mniej, ale w sumie, myślę, że jest to kwota poważna. Pole więc w tych warunkach staje się jakby działką przyzagrodową, dostarczającą najpotrzebniejszych owoców ziemi. Praca w zakładach trwa od 7 do 15, powrót do domu następuje o godzinie 17. Późną jesienią i zimą są to już godziny nocne. Niebo nad wsią, jeśli nie oświetla go księżyc, jest ciemne.

Czym wypełniają się godziny Józefa i jego rówieśników o tej wczesnej porze nocnej? Przede wszystkim pracą społeczną w kole ZMW, organizowaniem różnych konkursów i spotkań, a jeśli starczy jeszcze czasu i sił, lekturą. Młodzi ludzie z Nadziejowa pracują solidnie, kiedy tam byłem, otrzymali wiadomość, że prawdopodobnie ich koło zdobędzie pierwsze miejsce w powiecie. Koło tamtejsze skupia 30 członków. Otrzymało już szereg dyplomów i wyróżnień w konkursach czytelniczych, w sierpniu bieżącego roku młodzi ludzie przyczynili się do tego, że ich wieś wygrała w Turnieju Wsi z Wólką Zychową. Zdobywano punkty w 17 konkurencjach sportowych i turnieju wiedzy o gromadzie i świecie. Zawody, które przeżywali wszyscy tamtejsi incolae, odbyły się w Niekłaniu. Józef Solarz wyróżnia między innymi Ludwika Wydrę i Helenę Sorbian.

Kim byliby Solarzowie przed wojną? Pytanie zostawiam bez odpowiedzi. A właściwie daję odpowiedź, pokazując, kim są dzisiaj. Młody Solarz może powiedzieć z pewnego rodzaju wzruszeniem: „Mój młodszy brat kończy Technikum Ekonomiczne w Skarżysku, mieszka tam na stancji. Drugi z braci uczy się w tym samym mieście w Technikum Mechanicznym. Starsza siostra wyszła za mąż w Skarżysku. Dwie najmłodsze siostry chodzą do szkoły podstawowej". Rodzina liczna, ziemi mało, a jednak każdy się urządził, a im młodsze dziecko, tym ciekawsze perspektywy. W takich, w każdym razie barwach patrzy na świat Józef. I oto w skrócie sytuacja rodziny Solarzów ze wsi Nadziejów. Życiorys tej rodziny mógłby się także znaleźć w książce, która nosi tytuł „Awans pokolenia".

* ✲ *

Nie wiem, czy odpowiedź, jakiej udzieliłem Józefowi Solarzowi, była wyczerpująca. Ściskał mi gorąco ręce, kiedy żegnaliśmy się ze sobą, widziałem, że robi to szczerze. Czy jednak udzieliłem mu właściwej odpowiedzi? Mogłem, rzecz prosta, pokazać zdarzenie, które dało początek danemu opowiadaniu. Ale czy w tym zdarzeniu czy przeżyciu tkwi pierwsze ziarno? Jak zresztą należy patrzeć na to zdarzenie? Inaczej patrzę na utwór już po napisaniu i wydaniu go w formie książkowej, jeszcze inaczej wzbogacony o recenzje, inaczej na pewno spoglądałem na nie, kiedy zabierałem się do pisania. Dzisiaj występuję nie tylko jako autor, lecz w pewnym sensie i jako krytyk, który ocenia książkę i ze względu na pokrewieństwo z nią, boi się jej błędów. Przy ponownej lekturze powstają różne wrażenia, wyobrażenia, uczucia, nasze dzisiejsze upodobanie czy nieupodobanie ma rozmaite źródła. Które z nich wybiorę teraz ustalając niejako rodowód książki?

Scena, którą umieściłem na początku „Powtórnej śmierci Boryny", nie była najpierw opisana. Najpierw naszkicowałem, i to w okolicznościach trochę dziwacznych, sylwetkę jednej z głównych bohaterek książki, ciotki Melanii. Jest taka postać w życiu, Melania Pyzikowa, jak ją opisuję w książce, matka partyzantów, kobieta mądra. Jej odwiedziny sprawiają zawsze radość rodzinie. Przyjechała pewnego dnia do nas, ujęła mnie tak swoimi opowiadaniami, że poszedłem do stodoły, siadłem na wozie i naszkicowałem jej portret. Ten fragment, nieco przerobiony, znajduje się w książce, ale nie on dał początek opowieści. Nie mogłem sobie długo dać rady z koncepcją książki. I wreszcie napisałem scenę, o której dawno przedtem myślałem, która śniła mi się po nocach. Scena ta zaczyna się tak: „To jest mój ojciec. Jest wysoki, przeraźliwie chudy, ma twarz wyschniętej mumii, ale życie z tej twarzy jeszcze nie uciekło. Oczy duże, piwne patrzą przed siebie z żalem i goryczą. Ojciec jest chory na raka, od siedmiu miesięcy znamy wyrok śmierci na niego. Odprowadza mnie teraz na wojnę...".

Otóż ta scena, „wzięta z życia", bo istotnie w tym przypadku przeżycia bohatera są przeżyciami autora, podpowiedziała niejako koncepcję i budowę książki. I w tej scenie należałoby chyba upatrywać owego pierwszego ziarna, tej pierwszej myśli o książce, dedykowanej wsi, którą Reymont opisał i drugiej wsi, w której urodził się ojciec. Książka miała dobre recenzje i uchylając się w tej chwili od wyrażenia swojej opinii o tych recenzjach, myślę, że mieli rację ci czytelnicy i krytycy, którzy widzą w „Powtórnej śmierci Boryny" realistyczną kronikę życia wsi przedwojennej, powojennej i współczesnej. W każdym razie taką kronikę w tym albumie, poświęconym dziejom jednej rodziny, chciałem przedstawić.

Lecz nie tylko wątki rodzinne użyźniały, jeśli tak można powiedzieć, wyobraźnię, pisałem przecież książkę o przemianach zachodzących dzisiaj na wsi, więc jeździłem do Lipiec, i nie tylko do Lipiec (nie ma powiatu — bo boję się powiedzieć gromady — którego bym dzięki miejscowym władzom nie zwiedził, najdokładniej chyba poznałem ziemię kutnowską), studiowałem życie na wsi, zapisywałem stare podania, tradycje. Ile poznałem nowych twarzy, ile ludzi, a przy okazji tych, którzy pamiętali autora „Chłopów". Ten materiał może znowu kiedyś da znać o sobie. Więc mógłbym chyba tak napisać, że wszystko zaczęło się z powodu ojca. Z powodu tego pełnego gorzkiego bólu i dramatycznego napięcia pożegnania we wrześniu 39 roku. To prawda, ale jeszcze nie pełna. Zaczynało się wtedy także, kiedy postawiłem ostatnią kropkę w książce.

* ✲ *

Ilekroć jestem w tak zwanym „terenie", na wsi czy w mieście, zawsze ogarnia mnie wzruszenie. Bo ja widzę, jak zmienia się kraj obraz i jak zmieniają się ludzie. Są takie wsie, jak Lipce, jak Konopnica (i dziesiątki innych), o których myślę, jak o rodzinnych miejscach. W każdej odnajdujemy, co prawda w innej oprawie krajobrazowej czy obyczajowej, podobne rodzinne dramaty i konflikty, podobnych ludzi, podobne procesy. Warunki życia na wsi gwałtownie się zmieniają i niepostrzeżenie dla samych siebie (choć czasami przy wielkich dramatach) zmieniają się jej bohaterowie. Jakaż jest tutaj funkcja publicysty i pisarza? Jeszcze przed wojną napisał Leon Kruczkowski, że publicystyka stanowi dokumenty „bezpośredniego mierzenia się pisarza z gorącymi, najżywotniejszymi problemami czasu", to „świadectwo czynnego uczestniczenia w burzliwym nurcie zjawisk" to codzienne „stawanie twarzą w twarz z rzeczywistością". To samo można by powiedzieć o pisarstwie. Niechże to stawanie twarzą w twarz z rzeczywistością nazywa się dokumentalizmem czy inaczej, swoje, niejako świąteczne wrażenia z podróży po małych ojczyznach powiatowych i gromadzkich chciałbym wyrazić nie tyle w kreśleniu obrazu tych ojczyzn, ile w stosunku, jaki mamy do nich i funkcji, jaką one odgrywają w naszych przeżyciach, dojrzewaniu, kształtowaniu się takich czy innych planów twórczych. Wracając do rozmowy z młodym przedstawicielem wsi Nadziejów, Józefem Solarzem, czy ta rozmowa nie była przeżyciem, w którym tkwi pierwsza myśl o nowym opowiadaniu? Czy można zatrzeć w wyobraźni czy pamięci obraz młodego człowieka, który wczesnym rankiem, kiedy jeszcze ciemno, idzie do małej stacyjki kolejowej, bo tam, z daleka, już widać światła pociągu, który zawiezie go do pracy?

---

wolnym — i dlatego jego mieszkańcy są wolni, jest własne, bo ma swojego władcę, władcę ze swego narodu i w genezie swej władzy z woli narodu". To wszystko, to ideologia — pierwotna wczesnośredniowieczna koncepcja narodu mówi o narodzie wewnętrznie zróżnicowanym, bowiem in na jest wolność jednych a odmienna drugich, ale pojęcie narodu, „GENS POLONICA", związane najściślej z pojęciami „REGNUM", „RES PUBLICA" i wreszcie „PATRIA" obejmuje wszystkich „POLONI", jak ojczyzna — „PATRIA" jest wspólną — „COMMUNIS" wszystkich Polaków. Świadomość jedności narodowej i jedności państwowej była tym czynnikiem, który ułatwił w Polsce przetrwanie jedności bardziej niż w innych państwach w dobie rozdrobnienia feudalnego: jedności sprzyjało wówczas „współgranie trzech czynników: instytucji, języka, świadomości narodowej", zaś zagrożenie zewnętrzne aktualizowało ich istnienie, jednakże na pewno ich „nie stwarzało", jak podkreśla K. Grzybowski. W zgodzie z poglądami licznych mediewistów (R. Grodecki, K. Tymieniecki, O. Balzer) historyk podkreśla doniosłe znaczenie uświadomienia niebezpieczeństwa ze strony zagrożenia wewnętrznego i zewnętrznego dla kształtowania się ogólnopolskiej świadomości narodowej, przy czym przestrzega przed zbyt modernistycznym rozumieniem tego skomplikowanego procesu. „W żadnym stanie, w żadnej warstwie nie ogarnęła ona wszystkich. W każdym stanie, w każdej warstwie społecznej, w każdej ziemi polskiej były jednostki w miarę wzrastania zagrożenia zewnętrznego i wewnętrznego coraz liczniejsze i coraz aktywniejsze, o coraz bardziej rozbudzonej świadomości wspólnoty narodowej, i one to były motorem „odrodzenia Królestwa Polskiego".

Wieki następne niosą ze sobą, jak wiadomo, pogłębienie procesów dyferencjacyjnych w społeczeństwie feudalnym, co znajduje swoje odbicie także w nowych koncepcjach narodu i państwa. Jednolite, całościowe pojęcie narodu jeszcze zanim się zdołało w pełni uformować — podkreśla historyk — „rozkłada się nie tylko na pojęcia odrębnych narodów w odrębnych częściach państwa", które było wielonarodową Rzeczapospolitą, „ale także na pojęcia odrębnych „narodów", odpowiadających podziałowi stanowemu na szlachtę i na plebejów, czyli nieszlachtę". Nie jest przypadkiem — szkoda, że K. Grzybowski nie podjął tego wątku — że właśnie w XVI wieku w Polsce, podobnie jak w innych krajach europejskich, występują coraz częściej próby dowodzenia różności pochodzenia poszczególnych stanów. Średniowieczna, oparta o Biblię, genealogia ludów poczyna stawać się genealogią stanową, skoro dowodzi się, że szlachta pochodzi od biblijnego Jafeta, chłopi zaś od Chama; ponieważ zaś w Księdze Genesis napisano, że potomkowie Chama mają być sługami potomków Jafeta, struktura klasowa Rzeczypospolitej szlacheckiej zyskuje sankcję nadprzyrodzoną, jawi się jako wyraz woli Opatrzności, przybiera kostium konieczności i stabilności. Jeszcze Marcin Kromer — podkreśla historyk — „widział w Polsce jeden naród, POPULUS POLONUS, choć na dwa stany, szlachecki i plebejski, podzielony", a podobne poglądy reprezentowało wielu postępowych pisarzy okresu Odrodzenia i późniejszych.

„Ale już rok 1950 przyniósł w przywileju Zygmunta Augusta, potwierdzającym prawa i przywileje w Królestwie Polskim, rozróżnienie dwóch narodów, „narodu szlacheckiego" i „narodu prostego", wszystkich innych obejmującego, i panującą staje się doktryna inna. Pierwsza wolna elekcja (1573), a zarazem pierwsza elekcja bez żadnego niemal udziału miast, przynosi w poprzedzającej ją literaturze politycznej zwycięstwo wcześniejszej już tezy Stanisława Orzechowskiego: naród polski to tylko szlachta, istnieje w Polsce tylko „naród szlachecki" i tylko oni są CIVES — obywatelami Rzeczypospolitej".

„Tak zaczynał się barok, kontrreformacja i upadek — podsumowuje K. Grzybowski. — Upadek państwa także (choć nie tylko) dlatego, że naród i pojęcie narodu ograniczono do jednej jego części". Nie jest sprawą przypadku, że w okresie który określa się mianem okresu reform, kiedy pojawiają się w naszej myśli historycznej coraz bardziej śmiałe próby przezwyciężenia tego wąskiego pojmowania narodu, w konserwatywnym nurcie historiografii szlacheckiej powstaje długi szereg dzieł, nawiązujących do rozwijającego się od XVI wieku mitu o sarmackim pochodzeniu szlachty, uzasadniających prawem miecza, podbojem konieczność jej panowania nad podbitym ludem. Koncepcję taką rozwijali zarówno Szczęsny Czacki (ojciec Tadeusza), jak Michał Wielhorski; jej echa odnajdziemy nawet u Adama Naruszewicza i innych, nawet postępowych autorów; przedostatnie jej pogłosy znajdujemy jeszcze u schyłku XIX wieku w fantastycznych teoriach Franciszka Piekosińskiego o „dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu".

Naród nowożytny i nowożytna świadomość narodowa kształtują się w walce ze stanową, feudalną strukturą społeczeństwa. Procesy te przebiegały w Polsce w warunkach niezmiernie trudnych, wobec braku właśnej ogólnonarodowej państwowości w dobie rozbiorów, które zaostrzyły kryzys tradycjonalnych struktur społecznych, wpływały na zróżnicowanie tempa przekształcania się społeczeństwa polskiego w społeczeństwo burżuazyjne. Kiedy po latach sześćdziesiątych proletariat wystąpi jako klasa i siła społeczna — „naród i pojęcie narodu są już w swych podstawowych zarysach uformowane. Stanie przed nią wtedy dylemat: czy najpierw włączyć się w walkę o odzyskanie własnej państwowości, a dopiero potem walczyć o nadanie już istniejącemu państwu kształtu adekwatnego do jej roli w społeczeństwie, czy też najpierw walczyć o nadanie takiego kształtu społeczeństwom, z którymi go zabory złączyły, a potem dopiero postawić problem państwa. Problem rozstrzygnął, w wysokim stopniu dzięki tej klasie społecznej, rok 1918", Nowoczesna polska świadomość narodowa — pisze K. Grzybowski — była jednocześnie międzyklasowa, ponadklasowa i klasowa. „Była międzyklasowa, decydowały bowiem o niej treści wspólne wszystkim klasom narodu. Była ponadklasowa, bo w chwili zagrożenia bytu narodowego świadomość narodowa, a nie sprzeczności klasowe, decydowała o stanowisku, jakie Polacy, niezależnie od przynależności klasowej, zajmą wobec niebezpieczeństwa. Była równocześnie klasowa, bo przecież walka o to, jaka ma być treść świadomości narodowej, co ma być dla tej treści decydujące, toczyła się z punktu widzenia różnic klasowych, była walką o to, która z klas społecznych i w jakim stopniu tę konkretną treść świadomości narodowej ukształtuje".

Historyk myśli politycznej, a przecież ta właśnie dziedzina była szczególnie bliską prof. K. Grzybowskiemu, rozważając w swej książce problem narodu w nowożytnych dziejach polskich skupił swą uwagę nie tylko na tak dziś często dyskutowanych kontrowersjach, jakie istniały wokół niego w nurtach lewicowych; znakomity znawca dziejów polskiego konserwatyzmu ukazał zróżnicowanie postaw i poglądów myśli burżuazyjnej, wskazując na ich złożone implikacje społeczno-polityczne, a wreszcie i konkretne funkcje, jakie poglądy te spełniały w skomplikowanej rzeczywistości II Rzeczypospolitej. Jest to pierwsza w naszej literaturze historycznej próba uporządkowania wiedzy w tym zakresie, próba, która pozwala nam zrozumieć lepiej także i niektóre problemy, z którymi spotykamy się w czasach nam współczesnych. Jako taka, wymagałaby osobnego rozważenia.

„Polski ideolog burżuazyjny kapitulował, zanim znikł z powierzchni życia politycznego i ideologicznego Polski" — rozpoczyna autor epilog swej książki, który opatrzył tytułem: „Naród socjalistyczny". Jest to końcowy punkt dojścia refleksji uczonego. Naród polski wszedł w 1944 roku na drogę, wskazaną przez Karola Marksa: „droga ta otwiera możliwość przekształcenia narodu socjalistycznego, a nie stwarza takiego narodu. Narodu nikt nie stwarza. Naród tworzy się sam, jego twórcą jest każda wchodząca w jego skład jednostka, a tak samo przebiega proces przekształcenia narodu, nadania mu nowych treści". Przemiany te są naszą współczesnością.

— Od wieków pies chodzi za człowiekiem, widać lubi kiepskie towarzystwo — powiedział kiedyś Bernard Shaw, lapidarnie charakteryzując tę w gruncie rzeczy dziwną parę: człowiek — pies. Dziwną, bo trudno ustalić, kto kogo bardziej potrzebuje — człowiek psa czy pies człowieka. Dziwną również dlatego, że dla jej opisania używa się wielkich słów: bezinteresowną przyjaźń, ślepa wierność, bezgraniczne przywiązanie, miłość, które jednak bardziej odnoszą się do psa niż do człowieka i najczęściej właśnie pies płaci koszta tej dziwnej przyjaźni.

BOGDA MADEJ

PSIA DOLA

W Łodzi jest około 20 tys. psów, ale jeśli uważnie przyjrzeć się życiu tylko niektórych, to łatwo się przekonać o słuszności Shawowskiego stwierdzenia. Im lepiej poznaje się psi żywot, tym więcej można dowiedzieć się o jego właścicielu, tym bardziej można utwierdzić w przekonaniu, że wielu ludzi nie dorosło do tego, aby mieć psa.

W psiej społeczności można wyodrębnić co najmniej trzy grupy. Pierwsza to „championy", psy z rodowodem, własnym związkiem i dorocznymi turniejami. Druga — psy rasowe, ale bez rodowodów, bez związku i splendoru należnego właścicielom championów. I trzecia — kundle.

•

Kynologia to według słownika nauka o psie, jego hodowli i tresurze. Łódzki Oddział Związku Kynologicznego ma swoją siedzibę w przytulnym lokalu przy ul. Narutowicza, do którego wstęp mają zarówno właściciele, jak i ich psy. Te ostatnie, aby móc swobodnie wchodzić do związkowego lokalu muszą legitymować się metryką, czyli dowodem potwierdzającym czystość rasy, a powinny także rodowodem sięgającym możliwie daleko w przeszłość. Wyrobienie metryki kosztuje dwadzieścia złotych, rodowodu — osiemdziesiąt i już z takiego ustawienia cen od razu widać, że kłopoty z drzewem genealogicznym są przynajmniej cztery razy większe niż ze świadectwem urodzenia. Takie na przykład polskie owczarki nizinne są niewątpliwie psami rasowymi, a więc ich właściciele mogą ubiegać się o otrzymanie metryki, ale gorzej jest z rodowodami, gdyż dokumentacja tej rasy jest prowadzona od niedawna.

Psia arystokracja oprócz imienia ma także swoje „nazwisko". Rodowód zobowiązuje, toteż nie wypada nadawać imion typu: Bobik, As, Azor lub nawet Reks, gdyż są to imiona zbyt pospolite. Psy rasowe nazywają się więc: Amik za Ogrodem, Edo Arry, Ivo-Boy z Olimpu Boy od Yardy, Grom Regina, albo Soraya z Czarnolasu. Wprawdzie owe „nazwiska" to przydomki hodowców, ale i tak dla właścicieli Puś, Ciapków i Neptków brzmi to co najmniej dziwnie.

Posiadanie psa rasowego nakłada na jego pana szereg obowiązków. Powinien abonować dwumiesięcznik „Pies". Powinien uczestniczyć w zajęciach poszczególnych sekcji Związku Kynologicznego, gdzie zdobywa wiadomości o racjonalnej hodowli i podstawowych zasadach dobrego wychowania psa. Z dobrym wychowaniem może być różnie, bo nawet najzdolniejszy teoretyk — właściciel może się okazać kiepskim pedagogiem. W tym wypadku należy bardziej niesforne okazy — psów nie panów — umieścić na kursach prowadzonych pod hasłem: pies — towarzysz, po ukończeniu których znakomicie ułożony,

pies, udekorowany odpowiednim znaczkiem, może towarzyszyć swojemu panu nawet w najbardziej wytwornym lokalu. Dobre ułożenie jest potrzebne rasowemu psu również do innych celów reprezentacyjnych, na przykład w czasie zagranicznych wojaży. Rasowy pies wyjeżdża za granicę w dwóch przypadkach: po pierwsze — na międzynarodowe wystawy, po drugie — w celach matrymonialnych.

Ukoronowaniem starań i wysiłków hodowców jest zdobycie przez psa możliwie jak najwięcej medali na różnych wystawach, a jeszcze lepiej — tytułu championa. Szczytem marzeń jest zdobycie międzynarodowego lauru, który dla nie wtajemniczonych brzmi co najmniej jak szyfr: CACIB lub CAC. Nie jest to jednak łatwe. Z około tysiąca psów zrzeszonych poprzez swoich ośmiuset właścicieli w łódzkim Związku Kynologicznym, tylko pięćdziesiąt czworonogów szczyci się tytułami championów krajowych, a kilka ubiega się o tytuł championa międzynarodowego.

Podejrzewam jednak, że najbardziej na tej rywalizacji zależy właścicielom, którzy w ten właśnie sposób zaspokajają swoje, chyba nie tylko sportowe ambicje. Tym bardziej, że hodowanie psa rasowego jest hobby dość kosztownym, gdyż samo tylko kupno szczenięcia — a nie szczeniaka, bo to miano ponoć nie pasuje do psa rasowego — kosztuje średnio około półtora tysiąca złotych. Za wysokość tej „średniej" odpowiedzialności jednak nie biorę, bo z różnych mniej lub więcej kompetentnych w psich sprawach źródeł słyszałam i o czterech tysiącach i więcej. No, a przecież doliczyć tu trzeba przy tym i koszty odpowiedniego menu i fryzjera...

A no właśnie — fryzjera, bo interesując się życiem psa rasowego trzeba koniecznie zajrzeć do „Saby" — salonu pielęgnacji psów, który od marca br. istnieje przy ul. 22 Lipca i jest obecnie jedynym w kraju, gdyż podobne salony w Sopocie i w Warszawie zlikwidowano. W „Sabie" psią fryzurą zajmuje się pani Krystyna Matecka, która w sezonie, a więc wiosną, latem i wczesną jesienią, ma ręce pełne roboty. Oznacza to, że dziennie strzyże po dwa psy, a wbrew pozorom nie jest to mało, gdyż jedno strzyżenie trwa od trzech do czterech godzin. Koszt — od 100 do 250 złotych. Najdroższym zabiegiem jest trymowanie airedalleteriera, ale jak do tej pory właściciele psów tej rasy wykazują mniejszą troskę o fryzury swoich pupilów, niż właściciele pudli.

Znałam kiedyś rasową czarną pudliczkę, która, wiem to z całą pewnością, do „Saby" nigdy nie trafi. Bo Kropka spełniała inne zadania niż reprezentacja właściciela. Zarabiała na ukończenie domku jednorodzinnego. Dwa razy w roku Kropka miała małe, choć właściciele dobrze wiedzieli, że suka powinna się szczenić najwyżej raz w roku. Z nabywcami pudelków kłopotów nie było, za to właściciele mieli inne zmartwienia. Pierwsze, żeby Kropka nie urodziła za mało szczeniąt. I drugie — poważniejsze — że suka nie ma metryki, bo wtedy można byłoby brać za pudelki dużo więcej. Opowiadano mi też o pewnym hodowcy, który miał pięknego, rasowego boksera — reproduktora. Bokser zarabiał podobno nie tylko na swoje utrzymanie.

Są to oczywiście skrajne wypadki wyzysku psa przez człowieka, niemniej jednak spotykane i rzucające cień na tę dziwną, jak się rzekło, przyjaźń.

•

Pora zająć się wreszcie trzecią, najliczniejszą grupą psiej społeczności — kundlami. Na pewno wiadomo, że o rodowodzie nie ma tutaj co mówić, bo często spotyka się psi okaz, który łapy odziedziczył po jamniku, łeb po owczarku, sierść po terierze, a ogona wcale nie ma, bo ucięli mu właściciele. Mimo to, część kundli trzeba zaliczyć do grupy — nazwałabym ją „psów ukochanych", które wprawdzie nie przynoszą właścicielom medalowych satysfakcji, ale podobno są psami najmądrzejszymi i najwierniejszymi. Inna sprawa, że właściciele czasem z tym „ukochaniem" przesadzają, o czym łatwo się przekonać, oglądając na psich grzbietach owe prześmieszne kołderki, kaftaniki, ba, nawet przeciwdeszczowe pelerynki, domowym sposobem uszyte z foliowej torebki. Ale to tylko jedna strona życia psa nierasowego.

Druga — los bezdomnego, włóczącego się po ulicach psa, najbardziej obciąża człowieka. Nie podoba nam się, że coraz więcej kundli samopas biega po Łodzi, że hałasują, brudzą, czasem kogoś ugryzą. Ale przecież te psy miały kiedyś właścicieli. Bierze się małe szczenię, bo ma z niego wyrosnąć rasowy pies, a kiedy okazuje się, że to, co wyrosło, z rasą nie ma nic wspólnego, wyrzuca się psa na ulicę. Przynosi się do domu miłego, małego psiaka, bo taki mały będzie się bawić z dziećmi. Kiedy zabawka zaczyna być nudna, podrzuca się ją gdzieś na klatce schodowej. I spokój, psa nie ma. Niektóre wałęsające się zwierzęta mają nawet swoich panów. Kiedyś mieszkańców Teofilowa zdenerwowało pokaźne stadko biegających pomiędzy blokami psów. Potem okazało się, że tylko jeden jest naprawdę bezpański. Tę resztę wypuścili „na pobieganie" właściciele, którym nie chciało się wyjść z psem na spacer.

Przy ul. Śnieżnej znajduje się, założone przed siedmiu laty przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, schronisko dla psów. Schronisko dysponuje obecnie pomieszczeniami dla około 200 zwierząt. W ciągu miesiąca przyjmuje się ich około 250, w ciągu roku już grubo ponad 2 tysiące. Większość to psy z ulicy, doprowadzane przez inspektorów — pracowników schroniska, rzadziej przez obcych ludzi, a czasem przez samych właścicieli, którzy nie mogą lub nie chcą dłużej psem się zajmować. Każdy pies przebywa w schronisku przez 14 dni. To czas dla właściciela, żeby mógł swojego czworonożnego przyjaciela odnaleźć, albo tylko szansa dla psa — może ktoś go ze schroniska wykupi. Z tej szansy korzysta miesięcznie przeciętnie około 30 pensjonariuszy schroniska. Ludzie najchętniej kupują te psy, które urodą przypominają jakąś rasę, no, i oczywiście rasowe, choć takie trafiają się rzadko. Resztę, po przewidzianych 14 dniach, usypia się.

Kiedy między klatkami pojawia się ktoś obcy, psy skaczą na siatkę, wypychają przez nią nosy, głośno szczekają i machają ogonami. Jest to coś więcej niż normalne łaszenie się. W psich oczach widać nadzieję, że może obcy będzie nowym panem. Najbardziej wdzięczą się do ludzi zwyczajne, niezbyt zgrabne i nieurodziwe kundle, do których czasem podchodzi kierowniczka schroniska i mówi: „Widzisz, Misiek, taki jesteś miły pies i nikt cię nie chce!".

Handel tajemnicami

PEWNEGO POCHMURNEGO DNIA W SIERPNIU 1965 ROKU NIELICZNI PRZECHODNIE PRZYSTAWALI NA CHWILĘ, ŻEBY SPOJRZEĆ Z CIEKAWOŚCIĄ NA CZARNE „ROLLS-ROYSY", SAMOCHODY KRÓLÓW I MILIONERÓW, ZAPARKOWANE PRZED LUKSUSOWYM HOTELEM W LONDYŃSKIM WEST ENDZIE.

1.

Najwidoczniej naznaczyły tu sobie spotkanie wpływowe osobistości. Jednak że nazajutrz nie było w gazetach o tym rendez-vous ani słowa. Ba, gdyby nawet ktoś na własną rękę usiłował dowiedzieć się czegoś o tym spotkaniu brytyjskich przemysłowców (oni to bowiem spotkali się w tych zagadkowych okolicznościach), natrafiliby na mur nie do pokonania — hotelu strzegło wielu detektywów.

Te daleko idące środki ostrożności towarzyszyły jednodniowemu seminarium, w którym wzięła udział grupa pewnej kategorii wielkich przemysłowców. Przewodniczył R. B. Mathews, prezes niedawno powstałej firmy „Prace badawcze nad problemami zarządzania".

Nazwiska uczestników seminarium (było ich około czterdziestu) pozostaną w tajemnicy, ale z treści wykładów to i owo przesączyło się do prasy. Otóż seminarium poświęcono w całości sprawom szpiegostwa przemysłowego i metodom zwalczania go.

Obecnie, w większości rozwiniętych krajów kapitalistycznych szpiegostwo przemysłowe przemieniono w nader dochodowy biznes. W USA, Anglii, Japonii, NRF, Szwajcarii powstały już, i powstają nadal, dziesiątki biur, które proponują różnym konkurującym ze sobą firmom, sprzedaż informacji, dotyczących tajemnic produkcyjnych. Powstał więc szczególnego rodzaju czarny rynek, na którym handluje się bardzo specyficznym towarem. Dostawcami, jeśli można tak powiedzieć, tego „towaru" są — jak można się tego domyślić — byli zawodowi pracownicy wywiadu, którzy postanowili pewnego dnia podjąć pracę w prywatnym przedsiębiorstwie... Zajęcie jest istotnie bardzo intratne, ponieważ — mimo wysokich cen — „towar" jest niezwykle atrakcyjny, a jego „produkcja" rozwija się szybko.

Taka właśnie sytuacja spowodowała powołanie do życia „kontrwywiadu przemysłowego", a wreszcie powstanie organizacji w rodzaju firmy Mathewsa. Warto zwrócić uwagę, iż „wykrywalność" przestępstw, pozostających w związku ze szpiegostwem przemysłowym jest zdumiewająco niska. W wielu krajach, na przykład w Anglii nie uważa się go w ogóle za „przestępstwo" i wyłącza z ustawodawstwa karnego. Policja brytyjska ściga złodziei tajemnic przemysłowych tylko w tych wypadkach, gdy, dążąc do zdobycia tajnych informacji przemysłowych, dokonują kradzieży z włamaniem, zabójstwa itp. Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych.

W listopadzie 65 roku sądzono w Londynie niejakiego Williama Downy, który zrabował jednej z kompanii chemicznych tajne dokumenty. Nie biorąc pod uwagę ogromnej wartości skradzionych dokumentów: plany produkcji i koncepcja rozszerzenia rynków zbytu. — Downy został oskarżony jedynie o dokonanie drobnej kradzieży. Sąd wyszedł bowiem z założenia, iż wartość mienia, które oskarżony sobie przywłaszczył, wynosiła 3 funty szterlingi — to jest sumę, na którą oszacowano wartość skradzionego papieru.

Według amerykańskiego pisma „Machine Design", na każde sto przestępstw związanych z kradzieżą tajemnic przemysłowych, wykrywa się zaledwie 10—12. Nic więc dziwnego, że zapotrzebowanie na zorganizowanie jakiegoś skutecznego aparatu kontrwywiadowczego rośnie z roku na rok. Istniejąca w USA państwowa agencja do walki ze szpiegostwem w przemyśle ocenia straty, które co roku ponoszą różne firmy amerykańskie, w wyniku wykradania tajemnic produkcyjnych, na 5 miliardów dolarów.

2.

Brytyjska gazeta „People" opublikowała artykuł poświęcony firmie, która specjalizuje się w dostarczaniu tajemnic przemysłowych. „Przy sposobności", niejako na marginesie swej działalności, dostarcza ona „użytecznych informacji" współpracującym z nią szajkom gangsterskim. Innymi słowy, występuje ona w roli informatora dla złodziei tajemnic przemysłowych.

Agentów werbuje firma spośród przedstawicieli tzw. sfer towarzyskich, których — po specjalnym przeszkoleniu — umieszcza w przemyśle na wpływowych stanowiskach. Po wykonaniu zleconego zadania zwalniają się oni z miejsca pracy, co stwarza im swego rodzaju alibi i umożliwia kontynuowanie pracy szpiegowskiej w innej firmie przemysłowej. Również i gdzie indziej istnieją mocno zakonspirowane, specjalne szkoły szpiegów przemysłowych. Jedna z nich działa w Szwajcarii, druga w Japonii. Jednakże, aby opanować metody szpiegostwa przemysłowego nie trzeba siadać za szkolną ławą. Stosunki panujące w świecie kapitalistycznym stwarzają niemałe możliwości dla podnoszenia kwalifikacji szpiegowskich.

3.

Amerykańskie pismo „Chemical Engineering" opublikowało swego czasu serię artykułów, będących swego rodzaju krótkim kursem specjalizacyjnym dla agenta szpiegostwa przemysłowego. Podano w nich długi wykaz metod legalnych i nielegalnych zdobywania informacji o charakterze szpiegostwa przemysłowego.

Eksperci z kompanii „Macgrow-Hill" uważają, iż każda, nawet niewielka firma, powinna mieć własny „wydział wywiadowczy", odpowiedni personel i roczny budżet. „Chemical Engineering" podał nawet na swych łamach wysokość uposażenia tego „personelu": kierownik — 12 tys. dolarów rocznie, sekretarz — 6 tys. dolarów, pozaetatowy konsultant — 5 tys. dolarów, itd. Ogólny budżet „wydziału" wynosi 31 tys. dolarów.

Komentując ten budżet, autor wydanej niedawno w Londynie książki pt. „Szpiegostwo i działalność destrukcyjna w przemyśle", P. Hamilton, pisze m. in. „Sedno sprawy polega nie na tym, czy można sobie pozwolić na taki wydział, a na tym, czy można się bez niego obyć..."

Straty finansowe firm i zresztą nie tylko finansowe, które stały się obiektem zainteresowania „wywiadu" konkurentów, są często bardzo wysokie. Za przykład niech posłuży jedna z wielkich amerykańskich kompanii farmaceutycznych, która w początku lat 60-tych padła ofiarą głośnej wówczas operacji szpiegostwa przemysłowego. W wyniku przeniknięcia do jej laboratoriów agentów włoskich firm farmaceutycznych, poniosła ona straty w wysokości 100 milionów dolarów.

W tej sytuacji kompanie i firmy przemysłowe są gotowe płacić, praktycznie rzecz biorąc, nieograniczone sumy, aby tylko uchronić swoje interesy od penetracji nasyłanych agentów. Ale bronić się jest coraz trudniej.

Rozmiary, jakie osiągnęło dziś szpiegostwo przemysłowe w świecie kapitału, świadczą, jak szybko zaciera się granica pomiędzy tzw. „solidnym przedsiębiorstwem" a jawnym gangsterstwem. Staje się ono coraz bardziej nieodłącznym instrumentem bezpardonowej walki monopoli, dążących do usunięcia konkurentów i zabezpieczenia własnych interesów, jak również zagarniania coraz większych dochodów.

(w)

W Brooklynie i gdzie indziej

„NEWSWEEK" — NOWY JORK

Lesly Spiwak spacerował po Brooklynstreet, prowadząc na smyczy alzackiego owczarka. Naraz ujrzał przed sobą mężczyznę w brązowym płaszczu. „Bierz!" — rzucił komendę i Blacky skoczył wprzód, wpijając kły w rękę nieznajomego.

Tym razem „ofiarą" psa był współpracownik Spiwaka, a „skaleczoną" rękę miał owiązaną grubą warstwą ochronnej tkaniny...

W Brooklynie trenuje się tysiące psów obronnych, bowiem w związku z plagą napadów bandyckich w mieście rośnie gwałtownie zapotrzebowanie na czworonożnych obrońców w rodzaju Blacky'ego.

W San Francisco liczba szkół dla psów podwoiła się w przeciągu roku. W Bostonie amatorów na posiadanie tresowanego psa obronnego jest tak wielu, że Robert Smith, który kieruje szkoleniem psów ochronnych Nowej Anglii (północno-wschodni rejon USA — red.) odrzuca co tydzień setki zgłoszeń. Pies może zastąpić broń, gdy uliczny bandyta napada na przechodnia.

Obecnie mnożą się jednak wypadki, świadczące o tym, że sukcesami mogą się pochwalić nie tylko treserzy, którzy układają psy do obrony przed bandytami. Oto któregoś pięknego wieczoru ulicami Chicago śpieszył do domu przechodzień. Nagle usłyszał za sobą czyjś głos, podający komendę „Bierz!" — i ani się obejrzał, jak olbrzymi owczarek alzacki powalił go na ziemię... Właściciel psa podszedł do leżącego i najspokojniej w świecie wyjął mu portfel z kieszeni... Nie trudno się domyślić, że był to zawodowy rabuś uliczny.

Odille — dublerka nr 1

„FIGARO" — PARYŻ

Tę 26-letnią paryżankę, dublującą role wielu francuskich gwiazd filmowych, która też doskonale zna chwyty samba i karate, nazywają „mistrzem dublerów nr 1".

— Zarabiam na chleb, zbierając złamania i sińce przeznaczone dla innych — mówi Odille Astie.

W filmie „Czy płonie Paryż?" najeżdża na nią czołg. Dublując Ursulę Andres, zażywa kąpieli wśród stada hipopotamów i na lianie przeprawia się nad bezdenną przepaścią. Zamiast aktorki filmowej D. Gober — spuszcza się po linie z czterdziestometrowej wieży. Dublując Juliette Greco, Odille balansuje na wysokości 26 metrów, na gzymsie szerokości 36 centymetrów. Podczas zdjęć do filmu „Pułapka na Kopciuszka" jest policzkowana 156 razy w ciągu dwóch dni, aż wreszcie reżyser jest zadowolony z ujęcia...

W ciągu siedmiu lat swej kariery podczas zdjęć do westernów Odille Astie skakała na dwustu koniach wyścigowych, wyskakiwała z 25 zamkniętych okien, dziesiątki razy siedziała za kierownicą koziołkujących aut. Gdy dwa lata temu zginął w katastrofie samochodowej bezkonkurencyjny mistrz filmowych dublerów Gil Delamare, Odille Astie jechała z nim w tym samym wozie: z pięcioma pęknięciami czaszki przewieziono ją do szpitala. Ale w niespełna rok po wypadku znów stanęła przed obiektywem.

Oto, co mówi o swym „powołaniu" ta znana dublerka francuska:

— To praca niezwykle ciężka, ale co robić? Gdyby nie tych pięć centymetrów, których mi brakuje, zostałabym tancerką. Długo nie mogłam znaleźć pracy i byłam wprost szczęśliwa, gdy do rąk wpadło mi ogłoszenie z gazety. W teatrze komedii muzycznej była potrzebna dziewczyna do roli, w której spada się ze schodów. Tak się zaczęło. Oczywiście, wszystko to jest bardzo dalekie od sztuki, ale przecież trzeba jakoś zarabiać na życie.

Dlaczego nie elektryczny?

„AFTENBLADET" — SZTOKHOLM

Jednym z interesujących eksponatów w sztokholmskim muzeum techniki jest samochód o napędzie elektrycznym, skonstruowany i wyprodukowany w Detroit w roku 1915. Pod wieloma względami przewyższa on nowoczesne wozy, które codziennie schodzą tysiącami z taśm samochodowych gigantów produkcyjnych w tymże Detroit. Jego silnik jest prawie bezdźwięczny i nie zatruwa powietrza spalinami.

Silnik elektryczny nie potrzebuje podgrzewania i może normalnie funkcjonować nawet przy temperaturze minus 30 stopni. Nie wymaga także specjalnego systemu chłodzenia.

Silniki spalinowe są w pełni sprawne tylko przy określonej liczbie obrotów, w dodatku w bardzo wąskim zakresie i wymagają stosowania skomplikowanych i kosztownych skrzyń biegów oraz systemu sprzęgła. Silnik elektryczny pracuje tak samo efektywnie zaraz po zapuszczeniu, jak i na wysokich obrotach i nie potrzebuje ani skrzyni biegów, ani sprzęgła.

Dlaczego więc silnik elektryczny poniósł klęskę w walce ze spalinowym? Dlaczego w ciągu ostatnich pięć dziesięciu lat nikt nie pomyślał poważnie o produkcji takich samochodów?

Auta z niezależnym źródłem zasilania mają jeden, ale istotny minus. Produkowane dzisiaj akumulatory, na razie przynajmniej, nie są w stanie dostarczyć wystarczającej ilości energii. Akumulatory użyte w pierwszych samochodach o napędzie elektrycznym i używane dziś we współczesnych samochodach, w istocie niczym się nie różnią. Są ciężkie, nietrwałe i zajmują sporo miejsca.

Nad udoskonaleniem akumulatorów pracowali swego czasu konstruktorzy łodzi podwodnych, a później — twórcy statków kosmicznych. Tylko konstruktorzy samochodów zignorowali ten problem od początku.

Współczesna fizyka podsunęła kilka nowych rozwiązań: na przykład wykorzystanie paliwowych ogniw stosowanych w rakietach kosmicznych, albo udoskonalenie istniejących akumulatorów drogą zamiany ołowiu jakimiś innymi ogniwami itp.

Podobno firmy samochodowe już zainteresowały się tym problemem technicznym i dają do zrozumienia, iż prowadzi się w tym zakresie pewne eksperymenty. Świadczyłyby o tym doniesienia, przewijające się od czasu do czasu przez szpalty pism zachodnich o skonstruowaniu w różnych krajach, pojedyńczych modeli samochodów napędzanych energią elektryczną.

ZSRR — potęgą morską

„ENTREPRISE" — PARYŻ

Doniesienia prasowe po wizycie Pompidou w Moskwie wskazują, iż, być może, zostanie uruchomiona regularna morska linia komunikacyjna Marsylia — Odessa. W związku z tym zwraca się uwagę opinii publicznej na mało znany aspekt wysiłków, jakie podjął Związek Radziecki w zakresie rozbudowy floty morskiej, a zwłaszcza transportu handlowego. Trzy liczby ilustrują skalę tych wysiłków: 8 milionów ton w 1965 roku, 12 mln — w 1970 roku i 25 milionów ton w 1980 roku!

Jeśli dziesięć lat temu program ten mógł się wydać zbyt rozbudowany, o tyle dziś nie ma najmniejszych podstaw, by wątpić, iż będzie on wykonany.

W 1980 roku będą Rosjanie o krok od posiadania najnowocześniejszej i najbardziej zróżnicowanej floty handlowej na świecie (o ile nie ubiegną ich Japończycy). Obecnie, ogólny tonaż radzieckiej floty handlowej sięga 12 milionów ton, z czego 53 procent stanowią drobnicowce, 35 procent zbiornikowce i 10 procent — statki handlowe. Pod względem tonażu flota handlowa ZSRR zajmuje szóste miejsce w świecie (Francja — dziesiąte), a obok tego jest również najmłodsza spośród wszystkich flot handlowych świata: 75 proc. jej statków pływa mniej niż dziesięć lat, podczas gdy np. brytyjska flota handlowa posiada takich statków zaledwie 45 procent.

Na świecie istnieją tylko bardzo nieliczne morskie szlaki handlowe, po których by nie pływały radzieckie statki. Obecnie ZSRR handluje z przeszło 60 krajami i do transportu towarowego używa swoich własnych transportowców.

Kraje zachodnie zaczynają się mocno niepokoić, zaś kompanie okrętowe o światowym autorytecie uważają wręcz rozwój radzieckiej floty handlowej za „potężne wyzwanie, którego celem jest przechwycenie we własne ręce przewozów towarowych".

Proteza dla niewidomych

„WELTWOCHE" — ZURICH

Wszystko wskazuje na to, że już w ciągu kilku najbliższych lat ludzkość otrzyma z rąk uczonych i konstruktorów unikalną — jedyną w swoim rodzaju, protezę dla niewidomych. Będą oni mieli „wmontowane" do oczu miniaturowe telekamery, przetwarzające obraz w impulsy elektryczne, przekazywane następnie na specjalną elektrodową siatkówkę.

Od pewnego czasu uczeni prowadzą intensywne doświadczenia, które zmierzają do stworzenia możliwości — bez angażowania do tego żadnych innych organów czucia — bezpośredniego oddziaływania na mózgowy ośrodek postrzegania.

Na Zachodzie, ogromne zasługi w opracowywaniu tej niemal fantastycznej metody „widzenia", położył wybitny uczony z londyńskiego instytutu psychiatrii, dr Brendly.

Przy uderzeniu głową o coś twardego, jak również przy mechanicznym obrażeniu gałki ocznej, spostrzegamy tysiące „sypiących się iskier". Te zadziwiające świetlne błyskawice, jak dowiedziono, powstają równocześnie w mózgu, nazwano fosfenami. Brendly dopatruje się w nich elementarnych cząsteczek, które, jak przypuszcza, istnieją w normalnym procesie widzenia. Zgodnie z jego hipotezą, dziesiątki milionów tych cząsteczek — fosfenów — odtwarzają w ludzkim mózgu obraz, który widzi oko.

Czy nie można w jakiś sposób, bez szkody dla zdrowia, wywoływać fosfeny i wykorzystywać je do tworzenia obrazów w kształcie np. liter, symboli itp? Tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę, iż fosfeny, te najdrobniejsze „gwiazdeczki", są bardzo podobne do świecących punktów telewizyjnego kineskopu. Właśnie tą drogą poszedł brytyjski uczony.

Przede wszystkim trzeba będzie rozwiązać problem, jak wywołać pojawienie się fosfenów bezpośrednio na dnie oka, jak zmusić je, aby z bezładnego skupiska przemienić je w jakiś określony kształt?

W celu „przerzucenia" na wewnętrzny ekran więcej lub mniej podobnego „obrazka" świata zewnętrznego, potrzebny jest raster składający się z 10 tysięcy kolorowych punktów. Skonstruowanie takiego rastra jest dziś, na razie przynajmniej, niemożliwe.

Jednakże, jak się okazało, do „czytania" czcionek i poznawania prostych symboli wystarczy raster składający się ze 144 kolorowych punktów. Dr Brendly skonstruował już specjalny raster, składający się z 80 superminiaturowych elektrod, umocowanych drogą operacji na dnie oka człowieka niewidomego. Każda z tych elektrod łączy się z miniaturowym odbiornikiem impulsów. Sam odbiornik umocowuje się trwale pod czaszką. Pozostaje skonstruować przyrząd, składający się z 80 mikroprzekaźników, który można by połączyć ze specjalną kamerą telewizyjną. Kiedy to nastąpi? Wydaje się, że nie trzeba będzie na to czekać zbyt długo.

T-O OBIEKTYW

NA ZDROWIE!

Zacznę od zacytowania Norwida. Nie dlatego, że teraz taka moda („Cytuj Norwida i z Norwida się ucz!" — śpiewała na melodię Cole Portera Alina Janowska w duecie z Wieńczysławem Glińskim w telewizyjnej szopce noworocznej anno 1970), ale dlatego, że jeszcze jestem pod wrażeniem pięknego przedstawienia „Norwid", wystawionego przez Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym.

Otóż w wierszu pt. „Na zapytanie: Czemu w konfederatce? Odpowiedź" poeta pisze:

Kończy się Era starego oręża,
Czas jej ucieka;
Nie człowiek dziś już kuty dla oręża;
Oręż — dla człowieka.

Pozwolę sobie na śmiałość oderwania tego czterowiersza od kontekstu, w jaki go Norwid wpisał, i spróbuję przystosować myśl w nim zawartą do współczesności. Oręż współczesnego człowieka rozumieć można rozmaicie. Dosłownie, jako środek rażenia nieprzyjaciela, i szerzej, jako zespół środków technicznych stojących do dyspozycji ludzkiej.

Typowy dla starej ery był oręż indywidualny, służący bezpośrednio jednostce. Więc broń osobista, narzędzie do wykonywania pracy rękodzielniczej, instrument do muzykowania dla własnej przyjemności, względnie dla przyjemności najbliższego otoczenia. Typowy dla współczesności jest oręż udoskonalony, zaspokajający potrzeby społeczne, nie indywidualne.

Wiadomo, że nie broń osobista żołnierza, lecz inne, potężne środki rażenia mają dziś znaczenie decydujące. Indywidualne majsterkowanie może mieć już tylko sens margineso wy wobec zautomatyzowanych procesów produkcyjnych o najbardziej złożonych reżimach technologicznych. Już nie jednostkowe muzykowanie, ani nawet sala koncertowa zaspokajają obecnie zapotrzebowanie na muzykę, lecz tranzystorowe radio, płyta gramofonowa, magnetofon.

Telewizja przejęła na siebie rolę zaspokajania rozlicznych potrzeb ludzkich. Przede wszystkim zaspokaja potrzebę informacji. Skomplikowana struktura świata, w którym żyjemy, powoduje, że brak szybkiej i dostatecznej informacji powodowałby absolutną dezorientację. Poruszalibyśmy się wśród zjawisk życia jak ślepi i głusi.

Dawniej, podstawowe i niezbędne dla siebie informacje o świecie czerpał człowiek z książek. W miarę przyspieszającego się rytmu życia rosła w tej mierze rola gazet. W obecnych czasach informację prasową uzupełniło i wzbogaciło najpierw radio, a potem telewizja.

Najwięcej jednak funkcji telewizji wiąże się z wypełnianiem czasu ludzkiego wolnego od pracy. Zakres działalności kulturalnej i rozrywkowej telewizji dominuje coraz bardziej we współczesnym życiu. Teatr, kino, kabaret, sala koncertowa, czy odczytowa, salon wystawowy — te wszystkie formy wypełniania czasu wolnego są stopniowo wchłaniane przez telewizję. Nie niweczone przez nią, ale właśnie wchłaniane.

Jest więc telewizja jakby pałacem tysiąca dziwów, w którym każdy znaleźć może coś dla siebie. Czy jest jednak w stanie zaspokoić w pełni indywidualne zachcianki, jednostkowe gusty? Nie. Jest wielką taśmą produkcyjną, z której — jak w nowoczesnym zakładzie przemysłowym — schodzą produkty masowe, przeznaczone dla ogółu. W ich masie szukać musi jednostka tego, co w największym stopniu zbliżone jest do tego, na co miałaby ona ochotę.

Od lat trudnię się ocenianiem programów naszej telewizji. Nie uprawiam wprawdzie systematycznej recenzji, ale na przykładzie wybranych pozycji programowych staram się analizować warsztat telewizyjny i właściwe mu środki wyrazu. I stale odczuwam niedosyt, stały głód jeszcze lepszych programów niż te, które nam prezentuje szklany ekran.

Myślę, że podobnie reaguje na program każdy telewidz. Zawsze jest niezadowolony, lub przynajmniej nie do końca zadowolony. Każdy nosi w sobie jakiś bliżej nieokreślony model programu i sądzi, że gdyby go zrealizować, wszyscy byliby usatysfakcjonowani. Otóż nie! Takiego idealnego programu nie da się wymyślić, bo on po prostu nie istnieje.

Pisałem kiedyś w T-O o wizycie w telecentrum przy ulicy Woronicza w Warszawie. Ogólne wrażenie, jakie się stamtąd wynosi, to właśnie analogia z wielką fabryką. Fabryką są nie tylko studia, pomieszczenia mikserskie, sale nagrań, sale prób, montażownie i salki synchronizacyjne, ale także komórki programujące i redakcyjne. W tym wielkim mrowisku krzyżują się drogi najróżniejszych pozycji programowych, znajdujących się w różnych stadiach realizacji. Zły program sąsiaduje z dobrym i na to generalnie nic poradzić nie można.

Oczywiście nie znaczy to, że nie należy stale i na co dzień kontynuować walki ze szmirą, z niedonoszonymi pomysłami, z niedbalstwem, chałturą i innymi chorobami toczącymi wszelką działalność artystyczną. Tak jak walczy się z brakami w przemyśle.

Tę garść luźnych rozważań przekazuję czytelnikom w świąteczny T-O. A że święta łączą się zazwyczaj z toastem, pierwszy zaś toast zwykliśmy wznosić za zdrowie pań, więc i ja wypiję zdrowie kobiet, które w zespole programowo-artystycznym TVP grają niepoślednią rolę.

Więc zdrowie pań reżyserów, realizatorów telewizyjnych, scenografów, prezenterów, redaktorów, spikerek, inspicjentów itd.

Wesołych Świąt!

Władysław Orowski

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MARZENIE O LATANIU

Są marzenia, które już w zaraniu ludzkości pobudzały wyobraźnię człowieka. Zawsze ludzie marzyli o tym by latać, oderwać się od ziemi — pisze Anni Wagner w miesięczniku „Die Kunst und das schone Heim", omawiając krótko wyobrażenia malarskie lotów człowieka. Początkowo ludzie marzyli o tym, by tak jak ptaki móc oderwać się od ziemi i szybować w powietrzu. Nie wiedziano przez długi czas nic o stratosferze i panującym tam zimnie czy o niebezpiecznych promieniowaniach. Najstarszą legenda o locie człowieka jest opowieść o Dedalu i Ikarze. Sporządzili oni sobie skrzydła na kształt ptasich, by uciec z Krety rządzonej przez króla Minosa. Lot się udał, ale Ikar pofrunął zbyt wysoko przybliżając się do słońca. Pod wpływem słonecznego ciepła roztopił się wosk jakim zlepione były pióra i Ikar pozbawiony skrzydeł runął do morza. Lot Dedala i Ikara stał się potem natchnieniem wielu artystów. W XIV wieku Andrea Pisano podjął ten temat w płaskorzeźbie, która zachowała się we florenckiej katedrze. W wiekach XV i XVI rośnie coraz bardziej zainteresowanie lotem powietrznym człowieka. Pieter Brueghel maluje obraz na którym przedstawia upadek Ikara do morza.

Leonardo da Vinci pracował intensywnie na podstawie badań i doświadczeń naukowych nad realizacją idei lotu człowieka i sporządzał liczne rysunki latających ludzi. Podobno Leonardo w latach 1503-1506 próbował sam latać, ale nie wiemy o tym nic pewnego. Podczas gdy twórca słynnej „Giocondy" chciał oprzeć swe prace na ścisłych badaniach naukowych i stworzył podstawy dla przyszłych poszukiwań naukowych w tym zakre

Hans Schaeuffelein (ok. 1480—1539). „Aleksander jako żeglarz powietrzny".

sie, inni artyści śmiało dawali upust swej fantazji. I tak Hans Scheuffelein wykonał w roku 1516 drzeworyt opatrując go tytułem: „Aleksander jako żeglarz powietrzny". Artysta ustawił swego bohatera w gondoli uwiązanej do dwóch olbrzymich, drapieżnych ptaków. Pilot stojący w gondoli trzymał długi drąg na którego końcu umieszczone było martwe zwierzę, być może zabity baran. Ptaki, które chciały żerować wzlatywały w górę nie mogąc jednak dosięgnąć łupu. Ciągnęły za to ku górze gondolę z pilotem.

Malarzem, który fantasmagoryczne widziadła lotu pomieścił na swym obrazie, ogromnym płótnie przedstawiającym kuszenie św. Antoniego jest Hieronymus Bosch, współczesny Leonardo da Vinci. Tu taj wprawdzie nie ludzie, ale jakieś dziwaczne postaci szybują na żaglowych łódkach albo na latających rybach. Motyw latającej ryby znajdziemy na wielu obrazach głównie z osiemnastego wieku. Sztych z roku 1784 nieznanego artysty francuskiego przedstawia podróż trzech ludzi siedzących okrakiem na rybie-pile. Lecą oni poruszając wiosłami w kształcie olbrzymich piór.

Od czasu wynalazku braci Montgolfière balonu unoszącego się w powietrzu a po raz pierwszy udało im się to w roku 1783 lot balonem trafia często na płótna malarzy. Sam wielki Francisco Goya v Lucientes namalował balon unoszący się w powietrzu. Podobnie Francesco de Guardi (1712-1793) uwiecznił na swym obrazie „Wzniesienie się balonu w Wenecji". Jak widać z tego płótna była to chwila niezwykła, a lot ten był sensacją, która zgromadziła wielu ludzi. Lot balonem jeszcze przez długi czas będzie interesował malarzy. W naszych czasach Max Beckmann namalował podróż balonem ponad miastem. Surrealiści znowu powrócili do utopii, dziwności i nadzwyczajności lotów powietrznych. I tak np. Mac Zimmermann (ur. 1912) przedstawił balony o rozmaitych kształtach, m.in. w kształcie latającej ryby czy też ptaka. Na obrazie tym widać na ziemi puste powłoki balonów, inne w przeważnej części przywiązane do masztów czekają na moment kiedy będą mogły wzbić się w powietrze.

Nieznany artysta francuski z XVIII w.

CIĄGLE MŁODY GILBERT BECAUD

Wspominaliśmy na tym miejscu niedawno, że dla paryskich miłośników piosenki występy Gilberta Becaud są prawdziwym wydarzeniem. Niemal cała tygodniowa prasa francuska poświęca mu uwagę, podkreślając, że ten „czterdziestotrzyletni młodzieniec" — jak go określa „l'Express" — występując zawsze w ciemnobłękitnym garniturze, ciągle jest jak dawniej, pełen werwy i życia. Zachował swój styl nieśmiałego młodzieńca w momencie kiedy pojawia się na scenie grzecznie kłaniając się publiczności. Ale oto kiedy śpiewa, coraz bardziej podnieca się muzyką rytmem, słowami piosenki, biega po scenie, miota się, jego śpiew przechodzi w krzyk, orkiestrę zmusza do wariackiego tempa, sam skacze do fortepianu, wali w klawisze, płacze, śmieje się, czasem po prostu wyrzuca orkiestrę z estrady, panuje niepodzielnie nad rozszalałą z entuzjazmu salą. Potem zmęczony, wyczerpany śpiewa jakąś spokojną balladową liryczną piosenkę.

Pierwszy raz pojawił się na scenie „Olimpii" w roku 1953. Nazywał się wtedy jeszcze Gilbert Francois Silly. Miał za sobą studia w konserwatorium w Nicei.

Kiedy Gilbert Becaud przyjechał do Paryża zwrócił na siebie uwagę m.in. Edith Piaf. I nie jest dla nikogo tajemnicą, że to słynna piosenkarka pomogła w karierze młodego Gilberta. Edith poleca go katalońskiemu poecie Louisowi Amade. Poeta pisze teksty dla Becaud, do których piosenkarz komponuje melodie. Tak powstają „Krzyż" i „Moje ręce". Piosenki te zyskują znaczną powodzenie.

W kwietniu 1954 roku znów Gilbert Becaud występuje w paryskiej „Olimpii". Tym razem młodzi

Gilbert Becaud

słuchacze wpadają w istny szał. Po koncercie sala wygląda jakby przeszedł przez nią huragan. Naliczono później 439 połamanych foteli, na podłodze znaleziono mnóstwo kartek z rysunkami serc przebitych strzałą, na meblach napisy szminką lub powycinane nożami: „Gilbert moja miłość". „Mój król Gilbert". Gilbert staje się idolem, bożyszczem młodzieży. Wówczas w 1954 roku po raz pierwszy jakiś pieśniarz zostaje awansowany do rangi młodzieżowego idola. Wkrótce młodzież paryska będzie miała kolejno coraz to inne bożyszcza i będzie demolowała sale, a zjawisko to jest dziś przedmiotem badań socjologicznych i psychologicznych.

Gilbert przetrzymuje sezonowych idolów. Fala krzykliwej ekstrawaganckiej piosenki z bożyszczami w rodzaju Antoine'a, w koszulі w kwiatki zapowiadającego „erę Antoine'a", przemija bez śladu. Gilbert Becaud nie traci nic ze swej popularności. Ale jego ambicje są szersze. Nie chce być jedynie kompozytorem i wykonawcą piosenek. Marzy o napisaniu i wystawieniu opery.

W październiku 1961 roku Théâtre des Champs-Elysées wystawia starannie przygotowany spektakl — „Opere z Aran" Gilberta Becaud. Przedstawienie trwa czterdzieści minut, obsada aktorska liczy dwadzieścia cztery osoby plus piędziesięciu statystów. Przygotowano wspaniałe dekoracje. Orkiestra składa się z siedemdziesięciu wykonawców. Wystawienie opery było marzeniem życia Gilberta. Niestety. Publiczność przyjmuje dzieło Becaud bez entuzjazmu. Krytyka nie jest bynajmniej zachwycona. „Opera z Aran" schodzi dość szybko z afisza i w sumie przynosi milion franków strat.

Następne trzy lata są dość ciężkie dla Becaud, ale już w 1964 roku piosenkarz triumfuje. Jego utwory w wykonaniu zwłaszcza takich sław jak Barbara Streisand czy Frank Sinatra zdobywają rynek amerykański. Jedna z jego piosenek pt. „A teraz" ma 176 nagrań w Ameryce i przynosi mu prawdziwy majątek. Otrzymuje zamówienie z Broadwayu na napisanie komedii muzycznej. Pisze ją. Jest już gotowa i z początkiem przyszłego sezonu zostanie wystawiona. Na razie Becaud chce znowu triumfalnie zdobyć Paryż. Przywiózł nowe piosenki z tournée po Kanadzie. W „Olimpii" występuje w ciągu pięciu tygodni. Na cały ten czas bilety zostały już dawno wykupione.

„Gilbert wyjdź na scenę!" — wołają widzowie i Gilbert wychodzi. „Rzuca swe piosenki jak różnokolorowe baloniki, jak bańki mydlane — pisze recenzent l'Expressu". „Lekkie, tęczowe, pryskają pozostawiając w sercu wrażenie świeżości — kolorowe confetti przynoszące na moment szczęście."

DOM LE CORBUSIERA W PASSY

Obecnie, pięć lat po śmierci wielkiego architekta, Le Corbusiera, powstała zgodnie z jego życzeniem, w willi w Passy pod Paryżem fundacja jego imienia. Tu przechowywane będą pamiątki po Le Corbusierze. Właściwie chodzi tu nie o jeden dom, ale dwa połączone ze sobą, stojące wśród akacji.

Wybudował je Le Corbusier w roku 1923. Jeden dom przeznaczony był dla przyjaciela Raoula La Roche, drugi — dla brata, Alberta Jeanneret (jak wiadomo właściwe nazwisko Le Corbusiera brzmiało — Jeanneret). Domy te zawierają główne koncepcje architektoniczne jakie Le Corbusier rozwinął i zastosował budując wielkie kompleksy mieszkaniowe w Marsylii czy Nantes. W willi La Roche'a powstaje muzeum Le Corbusiera, makiety jego projektów, jego rysunki i obrazy, jego meble, jego książki. Tu też będą się odbywały kolokwia młodych architektów. W willi zaś Alberta Jeanneret będzie biblioteka i pracownie, tu też będą pomieszczenia dla personelu fundacji Le Corbusiera i gości zagranicznych, pracujących nad swymi projektami architektonicznymi.

UCZNIOWIE NIE KUPUJĄ PODRĘCZNIKÓW

Wydawcy książek szkolnych w Stanach Zjednoczonych przeżywają ciężki kryzys. Ucząca się młodzież na znak protestu przeciw systemowi szkolnemu odmawia nabywania podręczników, „textboks". Wydawcy książek szkolnych ponoszą straty idące w miliony dolarów.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

DZIWY NAD ŁÓDKĄ

ROBOTNICZE GAWĘDY ♦ DIABEŁ BORUTA W ŁODZI ♦ „PANNA PIOTRKOWSKA" ♦ GAYEROWSKIE OKNA ♦ „WE WSZYSTKICH STYLACH!" ♦ NOWY ŁÓDZKI BAJARZ

Jakież to dziwy mogły się dziać nad tą — symboliczną dziś — rzeczułką? A mogły, mogły — i działy się historie piękne i wzruszające, straszne i nieprawdopodobne... „Nowy łódzki bajarz", książeczka wydana w sam raz na święta w pięknej edytorskiej szacie, zrobiona na druk bibliofilski prawie, z piękną oprawą graficzną Stanisława Ibisa-Gratkowskiego. A ów „Nowy łódzki bajarz" to przecie nikt inny tylko Zdzisław Konicki, który od lat bez mała dwudziestu pięciu tropi łódzkie legendy, podania i anegdotki. Tropi i publikuje od lat — dorobił się pół tysiąca felietonów rozrzuconych po całej łódzkiej prasie, ale „Dziwy nad Łódką" to coś zupełnie nowego.

Jest to po prostu zbiór opowiadań, obejmujących dzieje legendarne Łodzi, lata rodzącego się kapitalizmu oraz jego najżywotniejszy, najbardziej drapieżny okres. W literackiej formie opowieści zamknął Konicki robotnicze gawędy przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jest w nich osobliwa, charakterystyczna dla Łodzi zbitka prostej, robociarskiej obserwacji z ludową fantazją — tak jak łódzki proletariat zrodził się przecież z elementu wiejskiego, który zrządzeniem losu dostał się w tryby przemysłowego molocha.

Wędrowali więc do Łodzi — miasta ludzie z łęczyckich równin, stąd może później w gawędach zjawia się i czarownica z łęczyckiego zamku i diabeł Boruta, który do Łodzi na gościnny występ przybył, wszystką wódkę, jaka była w miasteczku wypił i co z tego wynikło...

Właśnie! Co z tego wynikło? A przybył Boruta zwabiony sławą wódki „Żubardziówki", znanej w całej okolicy, pędzonej z domieszką traw z żabich stawów na dzisiejszym Żabieńcu... Ale przyszedł nie sam, tylko w towarzystwie drugiego diabła, Rokity. Więc piły diabły w łódzkich karczmach, a płaciły monetą straszliwą — czerwonymi dukatami, które wieczne gorzały. Stale były gorące i chciwy arendarz nie mógł ich dalej puścić w kurs, bo nikt pieniędzy nie mógł wziąć do ręki — takie były ogniste. Zrobił więc żelazem obitą skrzynię i codziennie polewał wodą. Aż raz — zapomniał... zapalił się kufer, a od niego cały zajazd. Wnet, skoro tylko buchnął płomień na dachu owej karczmy, pół miasteczka z dymem poszło...

A wiecie jak to było z „panną Piotrkowską" jak się narodziła słynna łódzka „Pietryna"? Po raportach Rembielińskiego, po wizytacjach Staszica wyłoniła się potrzeba regulacji starych miast i zakładanie nowych. W samej Łodzi należało opracować plany dla kilku osad fabrycznych i przeszło tysiąc parceli wykroić... „Jeometra Królestwa Polskiego" imć pan Leśniewski i jego pomocnik, młodszy geometra, Leszczyński, huk mieli roboty. Uwielbiali linię prostą, kwadrat, prostokąt — funkcjonalność miejskich arterii zawsze mieli na względzie, a o kole mówili że biędne... To w ich pracowni, w dwu ciasnych, łęczyckich izdebkach narodziła się kiedyś „panna Piotrkowska". A jest jeszcze w tej legendzie wątek romansowy, piękna córka łęczyckiego aptekarza Dudzicza, cudowny portrecik pięknej panny, romans skończony klasztorem... Piękna to opowieść, choć — jak pisze Konicki — gościniec piotrkowski istniał już od wieków, ale furda Historia, kiedy jest wśród ludu nad Łódką taka wzruszająca Legenda!

No, bo zważcie! Czyż nie prawda, że plan Łodzi powstał z zaczarowanego portretu pięknej aptekarzówny? Głowa — to plac Wolności; warkocze — długie, ciemne, odchodzące od głowy ulice — Nowotki i Obrońców; szyja wysmukła, zdobna wystawami Piotrkowska do Narutowicza i Zielonej; tułów — obsadzony secesyjnymi kamienicami i drzewami w stronę dawnego „Górniaka"... Piękna jest „panna Piotrkowska" i nie tylko młodszy geometra Leszczyński zakochał się w niej na zabój!

A wiecie ile okien ma fabryka starego sępa Gayera? Równe 365 — tyle ile dni w roku. Chodziło o to — głosi legenda — aby każdego dnia w roku złote promienie słoneczne, wpadające przez jego szyby do jego fabryki, na jego warsztaty, zamieniały się w złote ruble... A w dachu specjalnie na rok przestępny — kazał umieścić Gayer 366-te okno. Po co miał być stratny ten jeden dzień?

Legenda legendą — złociły się ruble nie przez cudowny fortel z oknami, ale dzięki ciężkiej pracy polskich robotników, lecz, proszę bardzo — policzcie okna w Białej Fabryce.

W pięknym pałacu mieści się dziś Wojewódzka Rada Narodowa — a budowę tego olbrzyma zaczęto jeszcze za życia starego Poznańskiego, który przywędrował do Łodzi z pobliskiego Aleksandrowa i od razu rozwinął wielki interes. Architekt miał trudną przeprawę, gdy zapytał, w jakim stylu ma wybudować pałac. Usłyszał bowiem: „Co jest, w jakim stylu? We wszystkich stylach! Ja mam na to! Może to być nawet sam paryski Louvre..."

A miał na to! Chciał nawet podłogę sali balowej wyłożyć złotymi 5-rublówkami. Ale car spytany o zgodę odpisał, że owszem, ale monety mogą być ustawione na sztorc... Nawet w najbardziej nieprawdopodobnej legendzie nie mógł Poznański sprostać temu warunkowi, gdyż wymagało to co najmniej miliarda rubli. Poznański dorabiał się dopiero... piątego miliona.

Żyjący w nędzy łódzki proletariat nie bardzo wówczas mógł ogarnąć ogrom i źródło zysków fabrykanckich, choć źródłem tym były robotnicze ręce. Stąd może tyle w tych legendach diabłów i diabelskich paktów, stąd te machiny produkujące złoto za każdym stąpnięciem robotnika wychodzącego z fabryki, stąd te wiatraki na pałacu naganiające ruble do piwnic...

Szajbler, który do Łodzi przybył z Nadrenii via Ozorków też się prawem legendy pokumał z łęczyckim Borutą. A może było inaczej — jak chce inna legenda? Może to biedny kuzyn Boruty w szajblerowskiej maszynie parowej siedział — huczał i parą z gęby gwizdał?

Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że „Dziwy nad Łódką" są książką uroczą. Bibliofilska, graficzna oprawa dodała jej smaczku, ale zawartość to już zasługa Zdzisława Konickiego. Czuły zbieracz i kolekcjoner wszelkich „łodzianów" zadedykował ją „przyjaciołom Łodzi"... wyrażając przekonanie: „jeśli ta książka wywoła czasem zadumę nad ciekawą przeszłością Łodzi, wzbogaci wyobraźnię, wywoła uśmiech a przede wszystkim rozbudzi uczucie lokalnego patriotyzmu — spełni swą rolę". Spełni ją na pewno!

JERZY WIDOK

Lewym okiem

O medalach

Przed dwoma laty minęła setna rocznica wynalezienia pieczęci gumowej. Od stu dwóch lat nie trzeba już rozgrzewać nad świecą laku albo wosku i wyciskać na nim herbu sygnetem własnym dla udowodnienia, że dokument znakiem tym uświetniony jest autentyczny i należy go z estymą honorować. Nawet gdyby pieczęć była jedynym praktycznym zastosowaniem gumy, czyli zwulkanizowanego kauczuku, byłoby to zastosowanie rewelacyjne i rewolucyjne. W tysiącach biur zaczęły stukać stempelki, stempluje się wszystko jak leci, brak stempla jest formą nieistnienia sprawy, rzeczy, człowieka. Wkroczyliśmy w nową erę, w Erę Pieczęci, pieczęci na wszystko i przeciw wszystkiemu.

Nic dziwnego tedy, że Zrzeszenie Pieczęciarzy i Grawerów Niemieckich opracowało specjalny, jubileuszowy stempel z napisem: „Sto lat pieczątki gumowej — tysiąc lat oszczędności pracy". Szkoda, że tylko stempel, a nie medal. Medali byłoby mniej, medalu nie da się powielić milionkrotnie jak stempla, za to trwa dłużej, pyszni się w gablotach zbieraczy, dzieciaki grają nim w klipę, czasem pasuje też do jakiegoś automatu na dworcu. Czy byśmy dziś wiedzieli o tym, że w 1666 roku rada miejska w Paryżu jako pierwsza bodajże na świecie uchwaliła urzędowe oczyszczanie ulic z błota i nieczystości, gdyby nie aż dwa wybite z tej okazji pamiątkowe medale? Czy nie warto by u nas wybić takiego medalu wtedy, gdy ktoś uchwali oczyszczenie Parku Kolejowego przed Dworcem Fabrycznym z grubych warstw guana ptasiego na chodnikach, ławkach, gałęziach oraz na głowie Moniuszki?

Stanowczo — należało stempel uczcić medalem. „Tysiąc lat oszczędności pracy"! Pewnie, że jak się ten tysiąc rozłoży na setki milionów pogłowia ludzkiego, to na głowę wypadną minuty, ale przecież — ziarnko do ziarnka... Mądrzy ludzie na całym świecie na uszach stają żeby zmniejszyć tak zwaną pracochłonność, czyli mówiąc po ludzku — żeby oszczędzić pracy. Dlatego, że praca jest wysiłkiem, a tak że dlatego, że kosztuje. W Ameryce doszli już nawet drogą różnych sztuczek do wyhodowania kur, pozbawionych zupełnie upierzenia. Co za wygoda — nie potrzeba po zabiciu obdzierać ptaka z pierza, można go od razu sprzedać, zamrozić, przerobić na pasztety. Prób zresztą zaniechano, bo nagie kury nie chciały znosić jaj. Może nie podobały się kogutom. Tymczasem u nas nie spróbowano jeszcze nawet drukować na lekarstwach podwójnych cen: tych wolnorynkowych i tych ubezpieczalnianych. Nie, pani farmaceutka musi najpierw wszystko przemnażać, dodawać, zestawiać, potem przeliczyć na trzydzieści procent, potem zaokrąglić, bo dwugroszówek i tak nie ma w obrocie, potem się pomylić i zacząć od początku, a tłum klientów niech ta stoi cierpliwie i niech myśli, na czym by zaoszczędzić czasu żeby go mieć na stanie w aptece.

W niemieckich domach to warowych dużym powodzeniem cieszą się stoiska z resztkami tkanin. Resztki wiszą długimi rzędami, każda na osobnym wieszaku, odprasowana, apetyczna. Na każdej czytelna kartka z podaniem co to za materiał, ile kosztuje metr, ile metrów, jaka szerokość, ile kosztuje cała sztuka, na co się nadaje i jak się czyści. Wszystko wiadomo. Długie narady przed kupnem odbywają się w gronie rodziny, matki z córką, męża z żoną. Wiele dyskusji naraz przy wielu resztkach. Sprzedawczyni nie musi przy tym asystować wściekła, znudzona i zmęczona, nie nawołuje „proszę się nie pchać", panie niczego sobie z rąk nie wyrywają. Nie ma kolejki. Jest oszczędność pracy. War to by u nas wybić medal temu, kto zainicjuje taką sprzedaż. Duża część resztek na pewno przestałaby straszyć po przeładowanych magazynach i butwieć na półkach sklepików, gdzie nikt ich nigdy nie dojrzy.

Zresztą — czemuż to przy święcie mamy się denerwować zbytnim szastaniem czasu? Czasu się nie waży i nie ewidencjonuje, czasu nie ma w kartotece, nie będzie manka ani superaty. Nie ma się czym przejmować. Choinki pachną i założę się sto przeciw jednemu, że nie będzie takiego pisma, które by nie pożałowało lasów, padających ofiarą naszego najpiękniejszego święta. Bardzo kocham lasy, fascynuje mnie las, wolę lasy od morza, gór i jezior. No, ale dlaczego wszyscy chórem płaczemy nad rachitycznymi świerczkami, które i tak trzeba przecinać żeby umożliwić wzrost silniejszym egzemplarzom, a nie płaczemy na przykład nad tysiącami hektarów dorodnej papierówki, kładzionej pokotem pod potrzeby setek kilometrów półek archiwalnych, wypełnionych corocznie nowymi aktami? Nowymi wagonami papieru!

Jeśli lepszą alternatywą choinki naturalnej ma być potworek z plastyku za kilkaset złotych — to przecież pamiętajmy, że ten plastyk produkowany jest w fabrykach, które zatruwają nam rzeki jak żadne inne zakłady przemysłowe. Może i te rzeki są też warte politowania?

Na szczęście przeczytałem niedawno, że opracowano już metodę przerobu makulatury na paszę dla bydła. Świetnie! Akta się wreszcie kiedyś przeterminują i pójdą na przemiał. Przeczytane przez nas grube świąteczne numery czasopism — razem z „Odgłosami" i razem z niniejszym felietonem — dadzą się zamienić na obrok, a pośrednio — na befsztyki z polędwicy i na ser z dziurkami. Nie wszystko więc zostanie bezpowrotnie zmarnowane i nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy sobie w naszym gronie pożyczyli Wesołych Świąt. Takich na duży medal!

CWIEK

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Widzów	Proc.
TEATR WIELKI			
„Orfeusz w piekle"	1	1260	100
„Cyrulik sewilski"	1	1260	100
„Romeo i Julia"	1	1260	100
„Wieczór baletów"	1	1260	100
„Lohengrin"	1	1260	100
NOWY			
„Janosik"	2	500	70
„Zemsta"	3	2100	100
„Sprawa Dantona"	2	1200	75
„Będę mówił szczerą prawdę"	1	700	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	2	1400	100
NOWY — MAŁA SALA			
„Rodeo"	2	280	70
„W małym dworku"	2	300	75
„Kariera"	2	400	100
POWSZECHNY			
„Lizystrata"	2	1100	95
„Zatopione królestwo"	1	663	100
„Profesja pani Warren"	3	1980	100
JARACZA			
„Wszystko w ogrodzie"	3	1398	84
„Król Edyp"	2	1093	99
„Ania z Zielonego Wzgórza"	1	519	94
„W pustyni i w puszczy"	1	524	95

Bez strachu

PŁONĄCY KRZAK

Ogień płonącego krzewu wzmaga się i przygasa we mnie i w niejednym z nas w ciągu całego roku, nocami i dniami. Co do mnie pamięć płonącego krzewu jest najżywsza wtedy, kiedy latem zdarza mi się wypoczywać na słonecznej plaży. Krzycza mewy, pluszcza fale uporczywie milcza podobne do czterolistnych koniczyn meduzy, a ja zamykam oczy przed ostrym blaskiem słońca i myślę sobie powoli, plażowo: „To krzew, zimowy krzew płonie w ciemnym pokoju". Otóż ustanowić jednostkę mocy dla światła i ciemności, doznawanych z zamkniętymi oczami latem, na słonecznej plaży oraz dla doznawanych zimą w pokoju ze zgaszonym elektrycznym światłem przy blasku krzewu płonącego tylko świeczkami — myślę, że jednostka ta określałaby moc świetlną nieomal identyczną. Zatem poniekąd myślenie o płonącym krzewie na plaży wydaje się równie uzasadnione (pod warunkiem zamknięcia oczu) jak myślenie o słonecznej plaży w ciemnym pokoju (pod warunkiem otwarcia oczu) przy płonącym krzewie. Cóż z tego, że działa na nas światło potężne lub słabe, kiedy możemy nieomal dowolnie łagodzić, lub wzmagać jego moc. Przy pomnienie żywe światła bardzo silnego równa się prawie aktualnemu, realnemu doznawaniu światła bardzo słabego. Znam nieźle te manipulacje ze światłem, jego postrzeganiem i pamięcią, ale tęsknię do światła prawdziwego, światła, które nie tylko świeci, ale mówi głosem kolęd. Podobno w nocy tego światła dzieją się rzeczy osobliwe. Przemawiają zwierzęta, krzycza przedmioty, po domach krążą starsi panowie przebrani za świętych, czy też świeci przebrani za starszych panów. Dzieje się także wiele innych dziwnych spraw ledwo przeczuwanych, trudno powiedzieć czy to sprawy ważne i konieczne, ale dziwne, na pewno dziwne. Co więcej — ja siedzę sobie w blasku krzewu na tapczanie, a gdyby policzyć ilość płonących tej nocy krzewów, można by mniemać, że za palono dla nas lasy, a ja oto jestem świadkiem miniaturowego kataklizmu, kataklizmu przeznaczonego wyłącznie dla mnie. Mogę otwierać i zamykać oczy — zmniejszać lub zwiększać światło krzewu, lecz nie mogę zrozumieć celu bezustannej, całorocznej pamięci, która kaprys nie ruguje rzeczy praktycznie ważne, a pozostawia widzę płonącego krzewu. Powoli zbliża się czas w którym sam, wiedziony całkowicie nie poznanym nakazem, zgasze elektryczne światło i zapale świeczki. Rad bym kiedyś spojrzeć w całkowitą zupełną ciemność, ale ciemność taka nie jest mi znana, nie jest znana nikomu i dla nikogo nie jest możliwa. Zawsze, nawet kiedy zgaśnie elektryczne światło, płonąć musi świeczkami krzak, świecić musi chociaż tylko jedna gałązka.

BERNARD SZTAJNERT

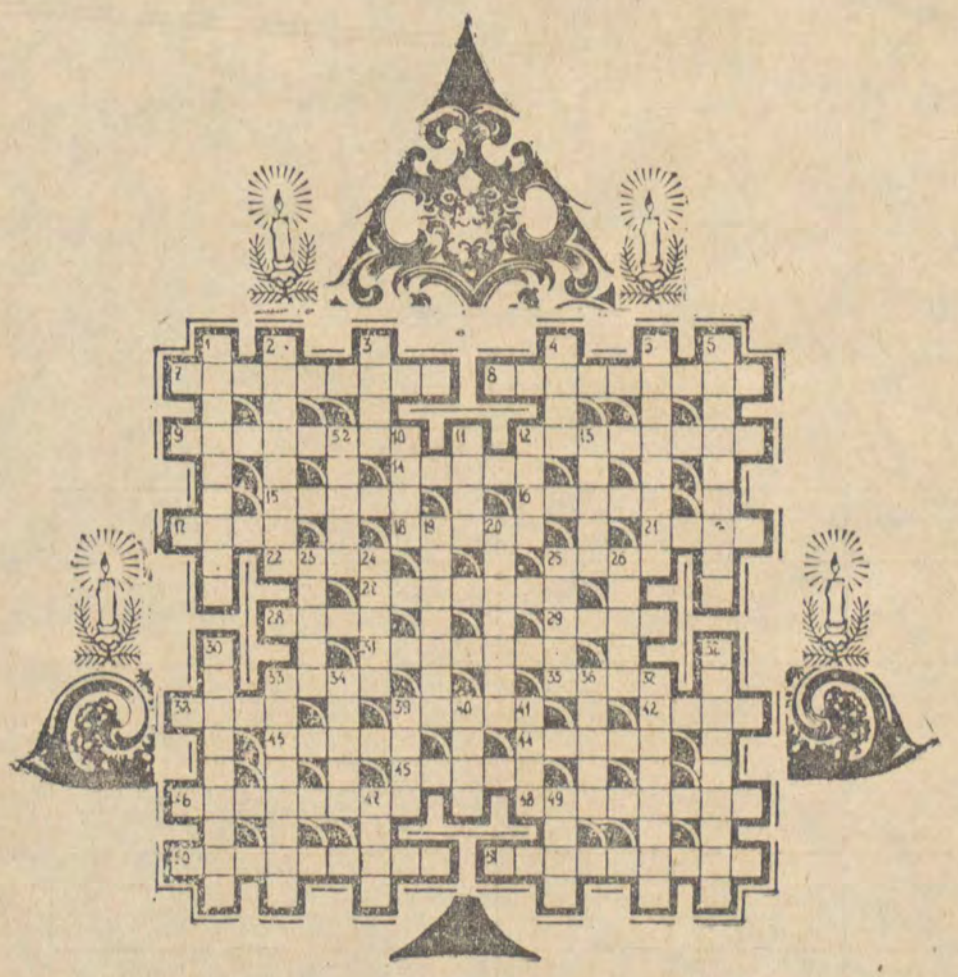

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 7. Odmiana pianina, 8. Strunowy instrument muzyczny, 9. Wielobok, 12. Świat topogląd socjalistyczny, 14. Uczta pierwotnych chrześcijan, 15. Plac targowy, 16. Zebranie zwierzchników kościoła w sprawach religii, 17. Zimowe obuwie gumowe, 18. Kąpielisko w woj. koszalińskim, 21. Wpada deltą do jez. Bałchasz, 22. Wysiłek, 25. Starożytna luksusowa miejscowość kąpieliskowa w Zatoce Neapolitańskiej, 27. Porozumienie między państwami, 28. Miara długości, 29. Miasto w zagłębiu donieckim, 31. Rzymska bogini mądrości, 33. Najsmaczniejsza jest Santos, 35. Tytuł powieści Zoli, 38. Obóz, koczowisko Tatarów, 39. Polskie zdrojowisko dla dzieci, 42. Może być dyplomatyczna, 43. Reguła, przepis, wzór, 44. Stolica Maroka, 45. Biegacz długodystansowy, zdobywca 10 złotych i 3 srebrnych medali olimpijskich, 46. Poprawienie omyłki drukarskiej, 48. Zbiór utworów literackich, 50. Rysunek wytrawiony na miedzi, 51. Czołowy wioślarz polski.

PIONOWO: 1. Władą wieloma językami, 2. Rysunek wygrawerowany na stalowej płycie, przeznaczony do reprodukcji, 3. Wówczas najlepiej uprawiać narciarstwo, 4. Połączenie się, zjednoczenie, 5. Najpiękniejsze są Liszta, 6. Urzędnik ziemski w d. Polsce, 10. Leży nad zat. Pohai, 11. In. umiar, 12. Jednostką jej jest gram, 13. Stopień w hierarchii urzędowej, 19. Podnoszą ją ciężarowcy, 20. Śpiewający ptaszek, 23. Miasto nad Łabą, 24. Imitacja skóry, 25. Popularny pilot polski — zwycięzca challenge'u (1934), 26. Monarchia w płd. Arabii, 30. Chroni przed deszczem, 32. Miasto w delcie Wołgi, 33. Ubiegający się o posadę, 34. Największy port Bułgarii, 36. Do zdjęć i znaczków, 37. Imię żeńskie, 39. Bywa cięta, kłuta, szarpana, 40. Poeta i pieśniarz celtycki, 41. Utwór operowy wykonywany solowo, 47. Najmłodszy węgiel kopalny, 49. Tandetne drzewo, 52. Leży nad rzeką Kongo.

Autorów trafnych rozwiązań czekają cenne nagrody książkowe.

Oprac.: JERZY KAŁUŻKA

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-96 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. 17 Zam. 2566. H-10.

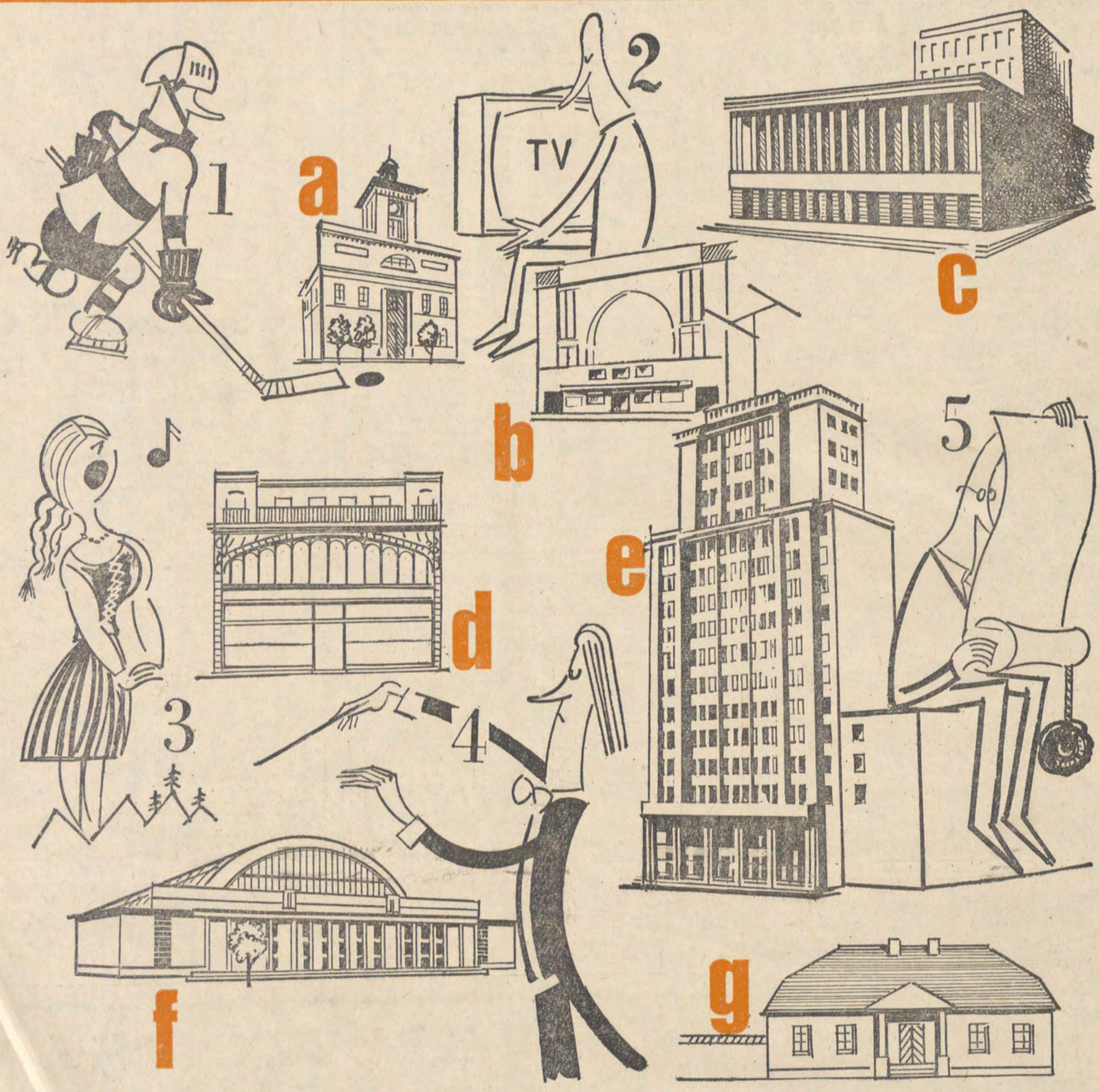

Świąteczny konkurs

„Mówią gmachy"

Stara legenda głosi, że w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem. W Łodzi zdarzyła się rzecz jeszcze dziwniejsza — oto ludzkim głosem przemówiły... domy. Wielkie gmachy, znane nam wszystkim, mijamy je w codziennych wędrówkach po mieście...

I oto mamy Łódź widzianą z lotu ptaka — pięknie narysowaną przez Stanisława Ibis - Gratkowskiego. Niektóre z narysowanych tu domów przemówiły — i to wierszem! Które? — to zadanie uczestników konkursu. Zadanie jest proste — wystarczy przeczytać umieszczone obok teksty, aby bez trudu dopasować czterowiersze do gmachów.

Teraz tylko należy odszukać na planie miasta, gdzie stoją owe gmachy — tzn. do kuponu wpisać odpowiednią literkę oznaczającą budynek.. W ten sposób mamy już dwa elementy konkursu rozszyfrowane. Ale to nie wszystko. Oto ulicami idą ludzie. Cechy charakterystyczne łódzkich przechodniów wskaża nam do jakiego gmachu zdążają. Będzie to trzeci element naszego konkursu. Należy więc do kuponu wpisać:

1. nazwę gmachu i literę, jaką został oznaczony na planie miasta.

2. numer tekstu „wypowiadanego" przez gmach,

3. człowieka (oznaczonego cyfrą) idącego do właściwego gmachu.

Odpowiedzi należy nadsyłać do dnia 15 stycznia 1971 roku na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96, „ODGŁOSY" — z dopiskiem na kopercie „Mówią gmachy".

WŚRÓD ZWYCIĘZCÓW KONKURSU ROZLOSUJE SIĘ PIĘĆ NAGRÓD W POSTACI BONÓW TOWAROWYCH PO 1000 ZŁOTYCH.

I

Ciągną wycieczki co niedzielę
gdy słyszą mojej Carmen trele.
Książ Igor przy nabitej sali.
— sam Waldorff akustykę chwali.

II

Choć z góry patrzę anten wzrokiem
i całe miasto mam pod bokiem
ze smutkiem wyznać muszę, że
strasznie mnie nudzą ŁWD.

III

Lat temu parę w czasie remontu
spaskudzono mnie od frontu
Może dlatego nie chcą przy mnie
pozostać moje Polihymnie?

IV

Drzewiej bywało — burmistrzowie
i rajców miejskich całe mrowie...
Brak dzisiaj rajców w mojej chacie
— mam archiwistów na etacie.

V

Big-bitu koncert i hokeje,
bokser boksera w szczękę leje.
Dziś rundy — jutro klawiatury
— oto mój wkład do fiz-kultury.

Jaki to gmach?	Litera na planie	Numer tekstu	Cyfra oznaczająca przechodnia

Nazwisko i imię : . . . . . .

Adres : . . . . . .

WSHDP im. J. P. w Łodzi

Przc. Reg. 10840-A